

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/595**

**1997**

---



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

R. KACZMAREK: **WIEDZA I INFORMACJA**

M. WILK: **ZAPISKI SOŁOWIECKIE (II)**

A.K. WRÓBLEWSKI:

**MIESZKANIE, BUTY, TELEWIZOR**

L. UNGER: **BRUDNE ZŁOTO**

K. CZYŻEWSKI: **GŁOS INNEGO**

## SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek:	<i>Wiedza i informacja</i> . . . . .	3
Mariusz Wilk:	<i>Zapiski solowieckie (II)</i> . . . . .	16

### WIERSZE

Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Nienormalna</i> . . . . .	35
Tomasz Jastrun:	<i>Samotna. – Westchnienie. – Stół</i> . . . . .	36
Aldona Pienczewska:	<i>Znaczenie odległości</i> . . . . .	37

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli: Brudne złoto</i> . . . . .	39
Zdzisław Szytylko:	<i>W drodze do następnego Millenium</i> . . . . .	57

### KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Z przedwyborczego notatnika</i> . . . . .	64
Smecz:	<i>Z ukosa</i> . . . . .	69
Konrad W. Studnicki-Gizbert:	<i>Polska – kraj (prawie) normalny</i> . . . . .	78

### Z PERSPEKTYWY POGRANICZA

Krzysztof Czyżewski:	<i>Głos Innego</i> . . . . .	87
----------------------	------------------------------	----

### SPRAWY I TROSKI

Andrzej Krzysztof Wróblewski:	<i>Mieszkanie, buty, telewizor</i> . . . . .	98
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> . . . . .	104

### CI, CO ODESZLI

Jarosław Abramow-Newerly:	<i>Agnieszka</i> . . . . .	111
---------------------------	----------------------------	-----

NOTATKI REDAKTORA	. . . . .	116
-------------------	-----------	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Danuta Hiż:	<i>Wspomnienie o Alicji Iwańskiej</i> . . . . .	123
Alicja Iwańska:	<i>Szpitala</i> . . . . .	129
Leszek Szaruga:	<i>„Nurt”: poezja i historia</i> . . . . .	132
–	<i>Nagrody</i> . . . . .	146
–	<i>Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za rok 1996</i> . . . . .	148
–	<i>Komunikat Polcul Foundation</i> . . . . .	149


### KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Książka o Bronisławie Prżyluskim</i> . . . . .	151
Florian Śmieja:	<i>Początki Kongresu Polonii Kanaadyjskiej</i> . . . . .	154
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> . . . . .	157
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i> . . . . .	159

# KULTURA

**Szkice • Opowiadania • Sprawozdania**

**PARYŻ Kwiecień/Avril 1997**

**INSTYTUT  LITERACKI**

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Albrecht, Monachium – zamiast kwiatów na pożegnanie Agnieszki .....	F.	100,00
Ryszard Głowacki, Noble Park, Vic. (Australia) – dol. 44,60	F.	223,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires – po raz 18-ty – dol. 50,00	F.	250,00
Stanisław Kwiatkowski, Cleveland, OH (USA) – po raz 3-ci – dol. 20,00 .....	F.	100,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada) – po raz 20-ty ..	F.	460,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż .....	F.	500,00
Lili Semkow, Frankfurt/M (Niemcy) – w drugą rocznicę śmierci nieodżałowanej Marii Topperman (Toronto) – DM 100,00	F.	340,00
W 1-szą rocznicę śmierci (18.02) zmarłego w Nicei Jana, „Macieja” (w POWN-ie) Stefańczyka – żona Helena ...	F.	200,00
A.T. – Na szkoły polskie na Wschodzie – dol. 7,00 .....	F.	35,00

DZIĘKUJEMY

## SPROSTOWANIE

Do zamieszczonej w marcowej *Kulturze* wpłaty na nasz Fundusz Adeli i Władysława Żeleńskich (str. 176) zakradł się przykry błąd – mianowicie zamiast „dla uczczenia pamięci serdecznego przyjaciela Wacława Szyszkowskiego” podano „Władysława”. Przepraszamy. *Redakcja.*

## Wiedza i informacja

Wiek informacji, wiek wiedzy... Przejęci rozwojem komputerów i telekomunikacji chętnie nadstawiamy ucha opisom numerycznego modernizmu, w nienagannej logice jego elektronicznych struktur szukając być może odtrutki na egzystencjalne lęki końca tysiąclecia i niepewności globalnego rynku. Wśród licznych wypowiedzi na ten temat uwagę moją przyciągnął wywiad polityka i publicysty Rafała A. Ziemkiewicza zamieszczony w listopadowym numerze *Odry*, gdzie znajdujemy podstawowe składniki futurologicznej krzepy: znajomość wybranej bibliografii amerykańskiej, własną pewność sądów i pomieszanie materii. Ale nie tylko to.

Ziemkiewicz przytacza ocenę George'a Gildera z jego książki „Microcosm”, na temat zmian społecznych wywołanych nowoczesną technologią: „(...) pierwszą falą było opanowanie kultury rolnej, drugą uprzemysłowienie – trzecią jest fala informacji, myśli, wiedzy”. Ziemkiewicz nie podziela optymizmu amerykańskiego konserwatysty w sprawie skomputeryzowanej demokracji, w szczególności zaś piętnuje błąd polegający na tym, że Amerykanie „uznali, że (...) podstawowym warunkiem bezpieczeństwa i wolności będzie swobodny dostęp do tejże wiedzy każdego chętnego. Ale ograniczyli się do rozważenia sprawy na poziomie *hardware*'u, założyli, że wystarczy, aby każdy miał teoretyczną możliwość dostępu do wiedzy, czyli posiadał własny komputer i wejście do sieci”. Tu leży błąd, zdaniem Ziemkiewicza, ponieważ „zawsze się znajdą tacy, którzy potrafią się nią (wiedzą) posługiwać lepiej i zrobią to, aby ograniczyć możliwości pozostałych”. „W każdym ustroju są rządzący i rządzeni – tutaj

demokracja postawiła świat na głowie, zakładając że wszyscy chcą i mogą kontrolować władzę”. Nie trzeba się martwić o „szanse szarego człowieka w starciu z infokratami”, wszak „szary człowiek... nigdy żadnej szansy nie potrzebował... ponieważ potrzebuje tylko jeść, pić, używać seksu i wydalać oraz posiadać mieszkanie i jaki taki standard materialny”. Nic w tym nowego, wszystko bowiem „co w historii ludzkości stało się ważnego i odkrywczego, było dziełem ludzi, którzy z szarości zdołali się wyzwolić”. Nastąpi jedynie zmiana warty: „Obecnie pojawia się elita wiedzy, informacji, która żywiłowo będzie dążyć do zniszczenia obecnego systemu władzy... Kiedy władza wysunie się z rąk elity pieniądza i dostanie się w ręce ludzi wiedzy, którzy potrafią posłużyć się nową potęgą – informacją; politycy oczywiście zostaną – tylko kto inny będzie pociągał za ich sznurki”. Spisek zwieńczający sekciarską wizję stosunków społecznych i wybiórcza diagnostyka stanu rzeczy, wskazująca na słabe w nim rozeznanie – jeśli nie na problem psychopatologiczny – wywiad rysuje osnowę ideologii zbliżonej do zwyczajnego faszyzmu, budząc zakłopotanie nie tylko przez rangę pisma, w jakim się ukazał, ale także wskutek poufałej sankcji dla poglądów Ziemkiewicza, jakiej udziela mu redakcja przez wyrozumiałość pytań i potulną aprobatę odpowiedzi.

### Znaczenie słów

Jestem przekonany, że ani informatyka, ani telekomunikacja nie są nośnikami politycznego spisku; demokracja nie potrzebuje komputerów, by przepoczwarczyć się w dyktaturę, wszak Hitler doszedł do władzy w demokratycznych wyborach bez pomocy informatyki. Niepokój w obliczu triumfu informatyki wydaje się nam uzasadniony nie tyle w zakresie spisku wtajemniczonych „infokratów”, lecz przede wszystkim jakości życia na planecie okablowanej sieciami łączącymi miliony maszyn przetwarzania danych. Ranga problemu wskazuje najpierw na konieczność uściślenia pojęć dotyczących komputerów i sieci, których lawinowy rozwój budzi troskę o wychowanie człowieka do tajemniczej technologii o wielostronnym obliczu. Zarówno bowiem demokracja, jak i wszel-

kie zasady współżycia, mogą doskonale wykorzystać technologię informacji dla własnej obrony. Wszystko zależy przede wszystkim od zrozumienia, czym jest informatyka i telekomunikacja, a w szczególności jakie jest ich miejsce w procesie emancypacji człowieka, ponieważ los cywilizacji to nie tylko sprawa oręża, jakim posługują się zwolennicy gwałtu, ale przede wszystkim środków zastosowanych przez tych, co gwałtowi przeciwstawiają własne sumienie „szarego człowieka”.

Punktem wyjścia do naszych rozważań będzie uznanie przez Ziemkiewicza komputera i wejścia do sieci za dostęp do wiedzy, co wydaje się poglądem raczej zaciemniającym niż porządkującym chaos pojęciowy. Wypowiadanie jednym tchem tak różnych pojęć, jak informacja i wiedza, radośnie mieszanych lub stosowanych wymiennie w cytowanym wywiadzie, jest poważnym błędem rzeczowym, sprzyjającym demagogii w opisie politycznego i moralnego aspektu procesu poznania. Jak często w demagogii zarysowany został istotny problem: do czego zmierza porządek, w którym obieg informacji staje się fenomenem na wielką skalę.

### Pokusa czystego rozumu

Moglibyśmy z ufnością oczekiwać realizacji tego porządku, gdybyśmy nie byli dziećmi XX-wiecznych utopii. Cechą charakterystyczną utopii jest ignorowanie pamięci. Utopia jest propozycją wyzwolenia człowieka poprzez odrzucenie ciężkiej mu świadomości obowiązku. Jej atrakcyjność uwypukla się na tle niezaradności postawy troskliwej w stosunku do otaczających realiów, obraz bowiem utworzony przez widzenie świata w jego złożoności łagodzi dynamikę działania, a niekiedy obezwładnia wszelką wolę; kto w decyzjach swych chciałby wszystko uwzględnić, nie robi kroku naprzód. Z tego punktu widzenia utopistom jest łatwiej, ponieważ celem utopii nie jest zrozumienie kondycji człowieka, lecz dostosowanie świata do cząstkowej o nim wiedzy.

W warunkach społeczeństw świadomych przeżywanego kryzysu, gdzie dojmujące pragnienie zmiany łączyć się może z silną potrzebą własnej identyfikacji, rewolucja informatyczna otwiera drogę do ujednoczenia raczej, niż uwolnienia

zróznicowanych aspiracji; mamy tu do czynienia z pseudo-rewolucją, a nie z wyzwalającą zmianą. Punkt Omega, do którego zmierza informatyczna dynamika, to globalna wioska „białego szumu”, w której wszyscy naraz mówią do swojego ekranu, nareszcie wyzwoleni z obowiązku rozumienia o czym i do kogo, to planetarny mózg Lemowego Solaris, gdzie nieważna jest osobowość partnera, lecz jego życzliwa anonimowość, nie rzeczywistość lecz informacja o niej, nie szacunek dla realiów, lecz ich podatność na obróbkę, nie potwierdzenie własnej identyczności, lecz ucieczka od otoczenia; to nie jest wizja spisku, lecz ogólnego poddania się nieskończonemu pesymizmowi.

Historia zna takie fazy rozwoju. Diaboliczna rola przywódców została już w nich mniej więcej rozpoznana, nie dając jednak wystarczającego wyjaśnienia źródeł zła, które w dużej mierze mieszczą się w obszarze zachowań społecznych.

Niezależnie od różnic dzielących uniwersalizm komunizmu od partykularnego faszyzmu oba te nieszczęścia łączyła wspólna postawa wobec wiedzy, a ściślej rzecz biorąc stosunku pomiędzy wiedzą, obowiązkiem i nadzieją. Od czasów Kanta stosunek ten leży u podstaw zachodnich koncepcji człowieka, spekulacyjnej oceny jego miejsca w społeczeństwie i celu jego istnienia. Kant postawił problem trójką pytań „Co mogę poznać”, „Co powinienem robić” i „Na co mogę mieć nadzieję”. Połączenie sfery teorii (poznania), praktyki (obowiązku) i wyzwolenia (nadziei) w jeden system wiedzy o człowieku, nie mogło jednak zadowalać niecierpliwych modernistów XIX stulecia. Począwszy zatem od Hegla, dojmującym imperatywem modernistów stało się uwolnienie myśli od poznania, oderwanie od kantowskiej trójcy jej pierwszego członu; odtąd czysta myśl, przekuta w praktykę, wystarczyć powinna na zrealizowanie egzystencjalnej nadziei bez żadnego związku z historyczną wiedzą. W takim widzeniu spraw nie jestem spętany imperatywem poznania, wystarczy, jeśli udzielę myśli suwerennego prawa decydowania o tym, co „powinienem robić”, by otworzyć sobie i innym prostą drogę do nadziei; praktyczną realizacją tego skrajnego racjonalizmu stały się oba totalitaryzmy naszego wieku, które bez cienia wątpliwości pozwalały na budowę rajy na ziemi począwszy od zera, od kompletnej

pustyni, w twórczym zastosowaniu suwerennej myśli, uwolnionej od więzów nagromadzonej wiedzy.

Komunizm i faszyzm były nie tylko ideologicznym spiskiem, przede wszystkim stanowiły logiczną sublimację wiary w rozum, która bynajmniej nie spadła z nieba, by zaskoczyć społeczeństwa Zachodu. Perspektywa totalitaryzmów zatrwożyła już Komenskiego, współczesnego Galileuszowi i Kartezjuszowi wychowawcę czeskiego, który na trzysta lat przed zdezastowaniem Ziemi przez szczytowe osiągnięcia racjonalizmu, żywiłowo kwestionował „jednostronność rozumu”. Rozum bowiem, zdaniem wielkiego Czecha, „zredukowany do własnego wymiaru, lecz przy tym wyniesiony do rangi suwerennej władzy, może jedynie uświęcić abstrakcyjną dominację podmiotu myślącego nad zdesakralizowanym światem, gdzie rychło gwałt tego egocentrycznego rozumu umieści projekt uniwersalnego zniewolenia w samym centrum procesu poznania”.

W takim porządku wartości myśli, uwolniona od nagromadzonej wiedzy i psychologicznej perspektywy społeczeństw, staje się osnową politycznej wiary, a działania, do których prowadzi – utajoną magią, w kręgu której pojedynczy człowiek służyć może jedynie jako przedmiot rytuału. W przeciwieństwach już utopii chodziło o rytuał stworzenia, którego zbiorowy wysiłek uświęcono całkowitym osamotnieniem jednostki, likwidowanej jeśli nie pasowała do aktu kreacyjnego. Łatwość, z jaką całe społeczności uległy tragicznej pokusie tworzenia nowego ładu opartego o prymat rozumu, nakazuje baczną uwagę. Chodzi tu o uświęcenie informacji w stosunku do wiedzy, ślepią wiarę w dane przetworzone za pomocą maszyn, algorytmów i modeli, separację nauk i umiejętności ze szkodą dla integralnego ujęcia człowieka w jego środowisku – krótko mówiąc chodzi o nową formę kultu rozumu, który ogniskując aspiracje człowieka w krótkoterminowej przyszłości osłabia jego kulturowe i moralne korzenie. Doraźna informacja o krótkotrwałym żywocie tworzy wówczas niestabilną podstawę decyzji i kanwę obyczajów wzorowanych na zachowaniach i aspiracjach liderów rewolucji informatycznej, czego następstwem jest zaniedbanie wieloznaczności i bogactwa lokalnych realiów. W tych warunkach doraźny komfort zapewniony przez ruchliwą

i wydajną technologię narusza egzystencjalną stabilność człowieka nie tylko uwidaczniając jego codzienną samotność, ale i osłabiając jego zaradność w obliczu samego problemu przetwarzania.

### *Informacja: potop danych*

Rola istotnej informacji w niczym nie wyróżnia stosunków gospodarczo-politycznych w naszych czasach. Proces byłego dyrektora General Motors Lopeza, oskarżonego niedawno o sprzedaż tajnych dokumentów Volkswagenowi to przejaw obyczajów tego samego rodzaju, co przed wiekami kara śmierci grożąca za przekazanie tajemnicy chińskiego jedwabiu czy porcelany, albo zakaz rozmowy z obcokrajowcami dla portugalskich załóg w portach wzdłuż morskiej drogi do Indii w XV wieku: informacja była zawsze ceniona, a cenna informacja warta była wszystkich zachodów. Dzisiejsza renoma informacji nie wynika również z jakiejś szczególnej skuteczności działania opartej o wielką liczbę dostępnych danych, można bowiem przytoczyć liczne przykłady niepowodzenia operatorów zaopatrzonych w kolosalne zbiory informacji, wśród których szczególnie malowniczym epizodem była bezradność zachodnich ośrodków wywiadowczych i najlepiej poinformowanych sowietologów, którzy jeszcze w 1988 roku przewidywali jasną przyszłość dla ZSSR. O ile uznanie kapitalnego znaczenia informacji w historii ludzkości wydaje się ćwiczeniem tyleż trywialnym, co koniecznym, to szukanie porównań pomiędzy epokami byłoby zajęciem równie niemożliwym, co jałowym. Dla uwolnienia się odeń można przyjąć pewną współmierność pomiędzy informacją i stanem rozwoju w historii: jaskiniowcy dysponowali dokładnie taką ilością informacji jakiej potrzebowali i to samo dotyczy naszych pokoleń.

Uświęcenie informacji w naszych czasach wynika głównie z upowszechnienia komputerów. Fascynacja rosnącymi możliwościami informatyki prowadzi do przewartościowania jedynej funkcji informatyki, jaką jest przetwarzanie danych, przez przypisanie jej roli sprawczej w rozwiązywaniu problemów; bijąc czołem przed szybkością oscylatora jednostki centralnej

gotowi jesteśmy przyjąć, że sam fakt podwojenia tej szybkości podwaja naszą wiedzę.

Człowiek od zawsze gromadził informacje, choć dopiero od niedawna zdaje sobie sprawę, że odbywa się to w dwóch obszarach: składni czyli przetwarzania danych oraz semantyki dotyczącej wiedzy zawartej w informacji. Bliższa analiza tych dziedzin ujawniła mechaniczny charakter przetwarzania danych, co pozwoliło na uwolnienie człowieka od działalności nie posiadającej charakteru „inteligentnego”; tak wynaleziono komputer, który nie ma nic z „myślącej maszyny”, a przeciwnie, jest udoskonalonym kołem zębatym operacji logicznych.

Z czasem jednak okazało się, że udoskonalanie i obsługa maszyn liczących to procesy o samowzmacniającej się dynamice, mnożące własną wydajność w takim tempie, że stały się sztuką złożoną, tajemniczą i na poły samowystarczalną. Systemy operacyjne komputerów pochłaniają dziś poważną część pamięci maszyn; języki programowania otwierają subtelne możliwości optymalizacji, które angażują dużą część wysiłku badawczego na samo opanowanie języków i algorytmów; symulacja procesów dostarcza rozległej gamy wniosków, które sprzyjają pomieszaniu symulacji z rzeczywistością; liczne modele mające przedstawiać realne procesy zaczynają się odrywać od swych własnych desygnatów, przede wszystkim dlatego, że pościg za nowymi, coraz bardziej doskonałymi modelami odbywa się kosztem wiarygodności parametrów, i zdarza się, że do doskonałych modeli wsadzamy byle jakie, niewiele tłumaczące dane. Człowiek uwalniając się od formalizmu przetwarzania danych stał się zarazem jego niewolnikiem ponieważ składnia informacji, odnosząca się do techniki przetwarzania danych, bywa widziana jako wiedza sama w sobie, skąd już krok do uznania formy informacji za jej treść.

Prowadzi to do wirtualizacji wielkiej części informacji, które łatwo mogą zastąpić wiedzę, lecz niekoniecznie muszą ją tworzyć. Jeśli do tego dorzucić osiągnięcia telewizji i gier informatycznych, które zastępują rzeczywistość jej spreparowanym obrazem, to ujawni się dramatyczna rozległość wiedzy pozornej, zajmującej umysły i kształtującej obyczaje. Odbywa się to kosztem wiedzy operacyjnej, to jest dostarczającej człowiekowi środków do działania, poszukiwania szczęścia

i prób wyzwolenia się od lęków. Kiedy model rzeczywistości staje się obiektem pilniej studiowanym, niż sama rzeczywistość, a przetwarzanie danych większą sztuką niż określanie danych do przetwarzania, kiedy cyfra zastępuje refleksję, a obraz życia jawi się jako ciekawszy niż samo życie, kiedy technika opisu bierze górę nad treścią, wówczas człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak dostosowanie się do niepojętych mechanizmów technologii i rynku, ponieważ w przetwarzaniu numerycznego obrazu świata komputery zawsze będą szybsze i bardziej precyzyjne niż umysł ludzki, którego domenę stanowi wiedza o tym świecie.

Stajemy tu przed ośrodkiem konfliktu poznawczego naszych czasów, jakim jest branie informacji za wiedzę, albo – co stanowi istotę manipulacji – podsumowanie przygotowanej informacji jako wiedzy koniecznej. Choroba informacyjna zawsze prowadzi do bezpłodności, co wynika przede wszystkim z lawinowego wzrostu informacji; kiedy bowiem jej ilość staje się celem samym w sobie, to zwieńczeniem procesu może być nie tyle wzrost poznania, co jego zanik. Rosnąca ponad wszelkie miary ilość informacji oznaczać bowiem musi, że albo każda z nich ma wartość bliską zeru, albo muszą się one wzajemnie anulować, inaczej mielibyśmy do czynienia z niemożliwym w praktyce nieskończonym wzrostem poznania. Wywiadowcy i dziennikarze sumujący w nieskończoność sznur sowieckich armat w roku 1988 dostąpili tego samego poziomu wiedzy, co dzisiejszy czytelnik polskich gazet, który co dzień czyta o nowym sukcesie warszawskiej giełdy.

Najbardziej widocznym przejawem informacyjnej inflacji jest przedłużający się okres kształcenia młodzieży, który ostatecznie produkuje wielu bezrobotnych; tymczasem bez względu na nieskuteczność zasady długotrwałej nauki, rozwijana jest ulepszona jej forma, zakładająca konieczność ustawicznego kształcenia się, zdobywania nowych kwalifikacji przez całe życie, by w każdym momencie być zdolnym do podjęcia innej pracy. Tym sposobem uswięcenie informacji utrwala i racjonalizuje niezrozumiały fatalizm zawodowej niestabilności wraz z całym wachlarzem wynikających stąd egzystencjalnych lęków.

Dużą rolę odgrywa technika komputerowa w dziedzinie

obrazowej rzeczywistości wirtualnej, wychowującej ludzi samotnych i niezradnych w ścisłym związku ze stanem informacji technologicznej; to właśnie doskonałości technik symulacji i przetwarzania danych zawdzięczamy zalew krwi i gęstwinę sytuacji scenograficznie niesamowitych na ekranie. Nieograniczone możliwości tworzenia obrazu za pomocą komputera kierują marzenia widzów ku przygodzie nie z tego świata, zaludniając obszar ich wyobraźni nadludźmi, zjawiskami paranaturalnymi albo nieistniejącymi cywilizacjami. Technika nie po raz pierwszy kształtuje formę ucieczki od rzeczywistości: o ile kamery dźwiękowe wywołały eksplozję filmu muzycznego, który przenosił ofiary kryzysu lat trzydziestych albo amerykańskich żołnierzy II wojny w świat kolorowych marzeń o intymnym szczęściu, to japońskie konsole i komputery Spielberga rysują już nie życie, jakie powinno być, ale świat, którego nie ma, świat przybyszów z kosmosu, wojen gwiazdnych, dinozaurów. Współbieżny z rytmem skomputeryzowanego życia ekranowy rytuał pośpiechu, indywidualnej dynamiki i dramaturgicznej gęstości obrazu kształtuje wirtualne horyzonty osobistych i społecznych aspiracji wielu ludzi i już dzisiaj atrakcyjność propozycji telewizyjnej usuwa w cień wartość realnego kontaktu rodzinnego i społecznego, co wzmacniać się powinno wraz ze wzrostem technicznej doskonałości obrazu. Wszystko można dziś poddać obróbce numerycznej i skondensować w postaci obrazu; bardziej nawet niż cyfra określa on horyzont i sens zastosowań techniki komputerowej. Po rychłym mariażu komputerów i telewizorów „dostęp do komputera i do sieci” oznaczać będzie przede wszystkim wejście w obszar interakcyjnego filmu. W świecie umeblowanym głównie obrazami rzeczywistości wirtualnej mielibyśmy do czynienia z powrotem w świat jaskiniowców, dla których jedynie drobna część dostępnych obrazów określała przyjazne środowisko, a cała reszta była dostępna jedynie przez magię.

Zauważmy tutaj, że dzisiejsza telewizja to istna dziecinada wobec zapowiadanych osiągnięć techniki komputerowej w przyszłości, z ekranami przestrzennymi, generatorami obrazu wszczepionymi wprost w źrenicę, a wreszcie sterowaniem procesami wirtualnymi za pomocą głosu, wzroku albo nawet myśli. Można być pewnym, że zapotrzebowanie na te techni-

ki będzie ogromne, ponieważ oferta umeblowania samotności widza strumieniem rozrywki i sugestywnych danych, przyjęta będzie przez wielu jako poprawa jakości życia. Komputer ujawnił, jak dalece człowiek woli informację od wiedzy, choćby dlatego, że wiedza jest pospołu niepokojącym dziedzictwem i wymagającym celem.

Komputer sprzyja tej przypadłości, lecz nie jest jej źródłem, czego dowodzą perypetie poznawcze w skali całych społeczeństw nie poddanych jeszcze presji masowego dostępu do cudownych maszyn. Przykładem może tu być obraz byłej NRD, jaki do końca lat osiemdziesiątych przekazywały nam zarówno źródła zachodnie, jak i rodzime, kiedy z podliczeń ilości trabantów i ton węgla brunatnego wychodziło obserwatorom, że Niemcy Wschodnie to dziesiąta potęga gospodarcza na świecie.

W powyższym przykładzie suma wielu informacji złożyła się nie na wiedzę, lecz na bzdurę. Dezinformacja może również polegać na przekształceniu przeciwnym, kiedy jedna cyfra zastąpi wiedzę o złożonym stanie rzeczy. Rodzimy przykładem będzie tu zjadła propaganda niskiego wskaźnika inflacji osiąganego środkami administracyjnymi. Czołowa informacja polskich gazet i polityków przez kilka lat po obaleniu komunizmu to cyfra inflacji, która służyć miała jako świadectwo dobrych obyczajów władz i gwarant pomyślności obywateli, pozwalając ukryć, albo zastąpić złożoność problemu rozwojowego. Wreszcie nieprzeliczonych przykładów poświęcenia wiedzy na rzecz informacji dostarczają na co dzień środki przekazu, z telewizją na czele, zapamiętane krytykowanej pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, lecz wszędzie sankcjonowanej bezkrytycznymi preferencjami publiczności.

Przeżykając mnożone w nieskończoność obrazy, gromadzimy wiele informacji o świecie, które mogą nam pozwolić na jego ignorowanie. Oznacza to zepchnięcie na drugi plan tradycji, warunków społecznych i rodzinnych, czy realnego obrazu środowiska, które mogą tylko wówczas zasłużyć na akceptację, jeśli nie zagrażają standardom modernizmu. Na opisanie możliwych następstw w psychologii społecznej Amerykanie ukuli celny termin *Not In My Backyard* (nie na moim podwórku), co można przełożyć na zasadę „nasze życie

wówczas będzie znośne, gdy wszelkie dramaty znikną z sąsiedztwa”: bieda, gwałt i samotność, tak jak odpadki, nieczystości chemiczne czy atomowe, albo budowle zniekształcające środowisko muszą być ulokowane gdzie indziej niż my. Wiedza o naszej kondycji, pozwalająca działać, zmagać się z zagrożeniami i szukać wyzwolenia od nich, ustąpiłaby wówczas doraźnie pocieszającej informacji.

### *Telekomunikacja, idol niecierpliwych*

Z powszechnym użyciem telefonów komórkowych zetknąłem się po raz pierwszy zaledwie parę lat temu, w Japonii w roku 1992, spacerując pomiędzy nowoczesnymi budynkami centralnych dzielnic Tokyo. Wzdłuż nieskazitelnie nowoczesnych fasad hoteli, banków i zarządów, bezszelestnie przepływał ciemny strumień drobnych postaci – do momentu kiedy tu i ówdzie od aksamitnego dywanu drepczącego tłumu odrywała się jakaś postać, przystawała z boku i mówiła coś pod pachę, śmiała się w przestrzeń, potakiwała na wiatr, niczym pojedynczy elektron wypchnięty na zewnętrzną orbitę wzbudzonego atomu, by po chwili powrócić na stare tropy, wtapiając się na nowo w szeregi bezpiecznej wspólnoty. Przed moimi oczami rysował się alegoryczny obraz desynchronizacji pracy i obyczajów za pomocą sieci telekomunikacyjnych, szczególnie znamienny w społeczeństwie, które przejmując zasady zachodniego kapitalizmu zachowało tradycję etosu zbiorowego. Telefon komórkowy, niejako fizycznie wyłupując jednostkę ze zbiorowości, sygnalizował tu nadchodzącą zmianę.

Od tego czasu telefon komórkowy i sieci komputerowe z mitycznym już internetem dotarły i do Polski, urastając – jak i wszędzie – do kolejnego symbolu nowoczesności.

Fascynacja technologią przekazywania sygnału z daleka przypomina wczesny optymizm epoki maszyn. W ostatnich latach, wraz z uwolnieniem handlu od barier celnych i z łatwym dostępem do taniej pracy na odległych terenach, odesłano maszyny na peryferie rynku albo na złomowisko historii, a na to miejsce niepowstrzymany marsz mikroprocesorów, kanałów przesyłowych i odbiorników rysuje



nowy obraz egzystencjalnych nadziei, opartych na wzroście precyzji i szybkości urządzeń. Tego rodzaju nadużycie techniki zajdzie szczególnie łatwo tam, gdzie surowce i maszyny już kojarzą się z minionymi czasami, wyzwalając agresywną niecierpliwość młodych wilków gospodarki; w tych warunkach materiałoszczędne i unormowane technologie przetwarzania, kodowania, przesyłania sygnałów, takie jak telekomunikacja, sieć, czy informatyka, uchodzą za pewny znak nowoczesności i szybkiego powodzenia, w przeciwieństwie do produkcji materialnej, wysiłku kształtowania środowiska i harmonijnego współżycia z bliźnim.

Ideologiczna sytuacja tych technologii jest zupełnie inna niż maszyn elektrycznych sto lat temu. Dla wielu ludzi maszyny rysowały perspektywę wspólnej i wyzwolonej pracy, natomiast sama koncepcja sieci telekomunikacyjnych oparta jest o układ odizolowanych indywidualności, gdzie liczy się nie wspólnotowy obyczaj, lecz inicjatywa osobista, nie zespół ludzi zaangażowanych w procesie pracy, lecz pojedynczy operator na rynku.

Sieci telekomunikacyjne mogą symbolizować liberalne pojęcie kapitalizmu, określonego przez skuteczność rynkowego zaangażowania. Z perspektywy zastosowań komputera czy telefonu komórkowego kapitalizm to szybkość, elastyczność i złożoność, składające się na wolność inicjatywy. Od tej strony postęp techniczny niesie ze sobą obietnicę uwolnienia i sukcesu, dowartościowując myśl liberalną za pomocą wizji świata „okablowanego” bezprzewodowymi połączeniami. Jest to pewien paradoks, gdy zważyć, że tradycyjny liberalizm nie uznawał pojęcia kierunku w historii; bowiem poprzez obietnicę powszechnej użyteczności rynkowej sieci telekomunikacyjne zdają się materializować trajektorię wstępującą dziejów ludzkich, co zwykle było domeną utopii lewicowych.

W tych warunkach sukces telekomunikacji i wyfaniający się zeń kształt unormowanego społeczeństwa indywidualistów, samotnych lecz nareszcie wolnych, stanowią poważną przeszkodę dla rozwoju myśli lewicowej, potężnie już sponiewieranej katastrofą gospodarki planowej. Nikt poważny nie podejmie u nas zasadniczej refleksji socjalnej, ponieważ wykazuje się zacofaniem; wszak wystarczy obalić granice i założyć sieci, a naród wejdzie w stan błogosławiony. Powszechna na

globalnym rynku fascynacja telekomunikacją, samym aktem przesłania sygnału bez względu na jego wartość, będzie zachłannie przeżywaną przygodą w społeczeństwie rozczarowanym do komunizmu, lecz zachowującym złudzenia programowego postępu. W Polsce zatem, jak i w reszcie Europy Środkowej, prometejski mit wielkich pieców ustępuje miejsca mitowi Merkurego, handlowego posłańca bogów, który w swej elektronicznej postaci przemieszcza się z szybkością światła.

Zafascynowani tą szybkością, a co za tym idzie liczbą informacji możliwych do przesłania i przyswojenia, łatwo możemy stracić z oczu horyzont rozsądnych zastosowań nowej technologii, oddającej wielkie usługi w specjalnych sytuacjach, lecz stanowiącej jedynie ślepe narzędzie, samą tylko ilością otwartych kontaktów i przeniesionych danych, nie gwarantując nawet godziwej wartości swej własnej funkcji. Czyż domniemanie, że dla osiągnięcia pełnego porządku w ludzkich sprawach należy zapewnić sobie dostęp do wszystkich informacji, nie jest niebezpiecznym złudzeniem, przypominającym iluzję przeciwczonych już totalitaryzmów politycznych? Wstępem do tego złudzenia jest przymknięcie oczu (i uszu) na tę okoliczność, że rosnący gwar strumienia sygnałów w kanałach transmisyjnych ukrywa potężniejącą sferę ciszy pomiędzy ludźmi. W tej ciszy złudzenie zamienić się może miejscem z rzeczywistością, myślący człowiek przekształcić w automat, a wówczas ignorancja uznana będzie za wiedzę.

Robert KACZMAREK

## Zapiski sołowieckie (II)

„Jedno jest pewne: ci, co studiują Rosję z książek, w ogóle jej nie pojmują, albowiem w niej się kryją osobliwości, które ja bym pojechał na prowincji badać, gdybym tylko znał język”.

Joseph de Maistre, list do hrabiego..., 18 czerwca 1814

1.

Ot, choćby w'juszka, czyli zasłonka w ruskim piecu. U Wasilija Rozanowa w „Opadłych liściach” można znaleźć następujący ustęp: „Obecnie w nowych piecach przekręcasz rączkę w jedną stronę – komin otwarty, przekręcasz w drugą stronę – komin zamknięty. To nie po bożemu (w oryg.: *niebłagocziestwo*). Albowiem brakuje w tym pomysłu i pieczołowitości. Aliści dawniej kładłeś maleńką zasłonkę, nie nachylając jej ani w prawo, ani w lewo – i ona przylegała od razu i szczelnie. Potem dużą zasłonkę – i ta tamtą przykrywała, niczym czapka...”. Jakież cudzoziemiec pojmie „pobożność” Wasilija Wasiliewicza w tym ustępie? Wszak w europejskich domach ani pieców ruskich ani zasłonek nie ma. Kiedy pierwszy raz zajrzałem do „Opadłych liści”, zamieszkując w moskiewskim wieżowcu nie opodal Izmajłowskiego parku, nie zwróciłem uwagi na subtelność rozanowskich rozważań o zasłonkach i bogobojności. Doświadczenia zabrakło, wyobraźnia spała. Powtórnie rzecz czytałem na Sołowkach, w domu dawnej biostancji na Cyplu Śledzia, wysiadując długimi zimowymi wieczorami u otwartych

drzwiczek naszej *pieczki*. Trzaskał ogień, płomień rzucał cienie na ściany, w oknach pełgały odbłaski, jak w magicznej latarni, a na noc zamykałem komin, kładąc najpierw maleńką zasłonkę, uważnie, by nie przekrzywić jej ani w lewo, ani w prawo, a potem dużą przykrywałem tamtą małą, jak czapką. Od razu też, i szczelnie, poczułem precyzję myśli Rozanowa. Można powiedzieć, że samemu jej popróbowalem.

2.

Albo: *kormuszka*... Od przyjazdu do Rosji wciąż słyszę to słówko, w różnych supozycjach i przypadkach. Trudno się rozeznać. W słowniku *kormuszka* to żłób dla bydła, lub karmnik dla ptaków. W potocznym języku, podobnie jak w polskim, bywa używane też jako „koryto”, czyli źródło znacznych dochodów, zwykle z funduszków publicznych. Natomiast w ruskiej historii ma przebogatą tradycję, ba, w cały system obrosło: system *kormlenija*. Kluczewskij pisze: „*Kormlenijami* nazywano w Dawnej Rusi sądowno-administracyjne stanowiska, przynoszące urzędnikom dochód, zbierany wprost z poddanych. Dochód ten nazywano *korma*, co odpowiada obecnym poborom, stąd samo stanowisko nosiło miano *kormlenija*”.

Już w końcu XVI-go wieku cudzoziemcy piszący o Rusi, na przykład Fletcher, zauważali: „... że naród ruski nienawidził rządców na prowincji, bowiem ich interesy były mu z gruntu obce. Owi rządcy, rokrocznie nowi, przybywali na prowincję świeży i głodni, i obierali naród bez skrupułów, by jak najwięcej nachapać dla siebie i na dań dla zwierzchników, którzy patrzyli na jego poczynania przez palce. Ruski naród dawno pojął, iż rządcy przybywają na prowincję nie dla pilnowania porządku, ale dla zdejmowania zeń sierści, i to, bynajmniej, nie raz do roku, jak właściciele ze swoich owiec, lecz by go strzyc na okrągło, przez cały rok”.

3.

Dziś cała Rosja się wybiera (zmienia skórę?). Po rusku: zapamiętałe. W TV wybory, w gazetach wybory, w posiołku wybory, gdzie nie zajdziesz, w jaką kuchnię, czy banię, tam

o wyborach gadają. Ledwie zakończono batalię o Dumę, jak rozgorzał bój o tron Prezydenta, jeszcze Prezydent nie doszedł do siebie, po tej kampanii, a już pobiegły konie w stawce o rosyjskie prowincje. Prasa, radio i telewizja dmą w jedną dudkę, że nareszcie, że pierwszy raz w historii, i że w ogóle – ewenement! Naród runął do urn *na ura*, każde sioło swoją dumę chce wyłaniać. Wybierają prezydentów, gubernatorów, merów i naczelników wszelkiego autoramentu: od Czukotki do Klina, od Magadanu do Górnej Tot'my i Sołówek. Na Sołówkach akcja wyborcza ruszyła tydzień temu.

Póki co, zarejestrowano sześciu kandydatów na mera Wysp Sołowieckich, czyli Głowę Administracji, oraz dwa tuziny chętnych do sołowieckiej deputacji, tak zwanej Rady Muncypalnej. Zatem rzucono losy o kolejkę w eter w miejscowym radiu i wybuchła wojna *kompromatow*: w ruch poszły pomówienia, potwarze i pomyje. Bo na Wyspach, jak celnie zauważył poeta (Josif Brodski), „życie toczy się zawsze wedle immanentnej logiki plotki” i jaki bądź strzęp informacji urasta w okamgnieniu do rangi całej opowieści. Oto ze szpitala, dla przykładu, zniknęła była karta zdrowia jednego z kandydatów na mera i z miejsca orzeczono, że ją ukradli, by dokazać, że ów pretendent ma żyłaki odbytu, czyli tak zwane hemoroidy, od długiego siedzenia na kierowniczych stanowiskach, i że go czeka poważna operacja. I jak tu nie wspomnieć Witkacego:

*I ja by toż był gieroj,  
no u mienia jest' giemoroj.*

4.

Wyborom '96 na Sołówkach warto się przyjrzeć z bliska z dwóch powodów: po pierwsze, to rzeczywiście historyczne przedsięwzięcie na Wyspach, bez precedensu tego typu od zarania ich dziejów, zaś po drugie, Sołówki skupiają – niczym soczewka – promienie, całą wiązkę zjawisk i problemów rosyjskiej prowincji. Na początek jednak parę dygresji w przeszłość, by czytelnicy *Kultury* lepiej pojęli, w czym rzecz.

Do przybycia monachów na Wyspy, a wraz z nimi zakonnych latopisów, brzegi Białego morza, od Sumy do Warzugi, zamieszkiwały fińskie plemiona, tak zwane *korelskije*

*ludi*, uważające się za właściciele owych ziem, oraz nowgorodcy koloniści, stopniowo przywłaszczający owe ziemie sobie. Do Sołówek pretendowali i jedni, i drudzy, ale nikt się nie odważał tutaj żyć na stałe, i tylko latem, sporadycznie, rybaczyli tu, i tiula bili, czasem ci, a czasem tamci.

Uważny czytelnik „Sołowieckiego Pateryka” znajdzie w żywotach świętych, w ich cudach i cudownych przywidzeniach, niejeden ślad konfliktu z Pomorami, którzy nie od razu chcieli się pogodzić z oddaniem braciom bogatych łowisk śledzia. Czasami owe spory wymagały interwencji sił niebieskich, na przykład na Sekirnej górze, gdzie anioły różgami babę karelską po tyłku wysiekły, ucząc niebogę w ten sposób, że Wyspy do prawosławnych monachów należą. Rzecz jasna, świętobliwi ojcowie nie poprzestali na gwarancjach mocy nadprzyrodzonej, ale zadbali także o porękę władzy świeckiej. Już w 1450 roku została podpisana pierwsza gramota, w niej Wielki Nowgorod oddawał ziemie, lasy, jeziora i tonie morskie Sołówek monastyrowi we władanie. Tym samym, twierdzi Kluczewskij, „rozpoczął się ciekawy proces skupiania w rękach sołowieckich braci obszernych połaci Białomorza, proces, który niewątpliwie zawążył na historii tego kraju”.

Początkowo, jeszcze w XV wieku, nadania objęły brzeg Pomorski i Karelski morza Białego, a jednym z pierwszych darów były wsie nad rzeką Sumą, ofiarowane mnichom przez Marfę Posadnicę, potem, w XVI wieku, sołowiecki monastyr wyciągnął ręce aż po daleki Terski brzeg półwyspu Kolskiego i dwie największe jego rzeki Umbę i Warzugę. Moskiewscy kniaziowie, po zwycięstwie nad Wielkim Nowgorodem, nie tylko stare nadania potwierdzili, ale i nowych kupę ponadawali, przy tym z gramoty Iwana Groźnego, z 1539 roku, warto zapamiętać przypis, dający igumenowi prawo do sądzenia chłopów z monastyrskich włości. Klasztor tymczasem wciąż nowych ziem się domagał, albowiem głównym dochodem braci było warzenie soli morskiej, związane z wypalaniem nadbrzeżnych lasów. I tak w połowie XVII wieku w rękach sołowieckich monachów znalazły się wszystkie ważniejsze ruskie osady w ujściach pomorskich rzek: Umby, Warzugi, Kiereti, Kiemi, Szui, Wyga, Sumy, Koleźmy, Niuchczy, Unieźmy, Liamcy, Purniemy, Kuji i Uny. Nie od

rzeczy też będzie wspomnieć o bogatych wkładach do brackiego skarbcza, tak w złocie, jak i w innych kosztownościach, oraz zwolnienie monastera z rozlicznych podatków, w zamian za straż na rubieży Rusi i stróżowanie w tiumie.

W 1764 caryca Katarzyna Wielka sekularyzowała pomorskie dobra monachów i oddała je pod zarząd kolegium Ekonomii, zostawiając braciom, niejako na otarcie łez, sołowiecki archipelag na własność. Tym samym, wedle dzisiejszych historyków, ucisk chłopów na Pomorzu zelżał nieco. Natomiast zakonny dziejopis, ojciec Mioletij, tak komentuje wydarzenie: „Monaster wprawdzie zubożał, i to znacznie, ale uzyskał zarazem moralną korzyść, albowiem bracia, uwolniwszy się od konfliktów, związanych z zarządzaniem dobrami, odnaleźli spokój, niezbędny bogobojnemu życiu monachów”. Na temat bogobojności... cóż, można by się spierać, wystarczy wnikliwiej czytać Mioletija, lub przestudiować klasztorną regułę, zwracając szczególną uwagę na te jej punkty, które dotyczą zakazu przechowywania wódki i *dienieg* w celach. Jedno jest pewne, dla braci nastąpiło parę lat chudych...

## 5.

Latem 1871 roku na Sołowki zawitał Niemirowicz-Danczenko, znany w swoim czasie podróżnik i pisarz. Od sekularyzacji dóbr monastycznych wiek zaledwie upłynął, z niewielkim okładem. Sołowiecki klasztor oszołomił przybysza przejęciem. W swojej książce o Sołowkach Wasilij Iwanowicz twierdzi, że to niezwykle bogactwo monastera opierało się na darmowym (proszę zapamiętać!) trudzie pątników i szczodrych datkach. Zatem nieco danych:

Licząc po 30 kopiejek każdy roboczy dzień każdego z 400-tu *godowikow*, czyli dobrowolnych robotników, ślubujących pracować tu rok na chwałę błogosławionych Zosimy i Sawwatija, najczęściej w podzięcie za zbawienie od sztormu, choroby, lub biesa, monaster zaoszczędzał 43.800 rubli w rok.

Licząc po 10 kopiejek każdy roboczy dzień każdego ze 100-tu chłopców, oddawanych tu na chwałę błogosławionych Zosimy i Sawwatija przez rodziców, którzy nie byli w stanie utrzymać potomstwa, monaster dodawał 3.650 rubli w rok.

Licząc po 8 rubli każdego z 15-tu tysięcy pątników, którzy przynosili po 10 rubli (minimum) na chwałę błogosławionego Zosimy i Sawwatija, natomiast ich utrzymanie kosztowało monachów 2 ruble, w wyniku czego monaster zwiększał sumę o 120.000 rubli. Jeśli dorzucić 10.000 rubli za kwaterek pątników w domu gościnnym w Archangielsku, oraz 15.000 rubli za ich transport na Sołowki, to ciężar monasterskiej sakiewki wzrastał do 200.000 rubli w rok. Plus 25.000 rubli procentu od kapitałów.

Należy zauważyć, że oprócz mąki w Archangielsku i węgla w Anglii, mnisi sołowieccy niczego nie kupowali, bowiem wszystko, co im niezbędne, produkowali na miejscu, a nadwyżki dodatkowo sprzedawali, z czego monaster uzyskiwał następne 30.000 rubli.

Trzeba wreszcie zaokrąglić, choćby do 10.000.000 rubli, wartość wszystkich dóbr, ruchomych i nieruchomych, czyli same wyspy, ich ziemie i tonie, a także cerkwie, czasownie, skity, zabudowania mieszkalne i gospodarcze, urządzenia przemysłowe, statki, doki, tabuny, stada... by pojąć bogactwo owej „ascetycznej komuny roboczej”, jak określił sołowiecki monaster Wasilij Iwanowicz Niemirowicz-Danczenko na progu XX wieku.

## 6.

W XX wieku na Wyspach zmieniały się zarówno systemy zarządzania, jak i sami zarządcy, niczym figury z barwnych szkiełek w dziecinny kalejdoskopie, natomiast pryncypium darmowego trudu pozostało (w zasadzie) bez zmian. Krótki okres bezładny, Rewolucji i Wojny Domowej szczwane żule różnej maści wykorzystwały dla grabieży monastycznych bogactw, zaś potem, paroma pożarami, zatuszowano rozmiary kradzieży i przystąpiono do budowy nowego ładu. W 1923 roku na Wyspach, na ostatkach dóbr monasterskich, osiadł SŁON, czyli *Sołowiecki Łagier Osobowo Naznaczenija* – pierwsze tego typu przedsiębiorstwo w całym Sojuszu, można rzec: eksperymentalne. Do roboty zagoniono monachów i popów, resztki niedorzętej arystokracji, burżujów, kułaków i inną kontrę, prawą opozycję i lewych konkurentów do władzy, a także wielkomięskie kokoty, artystów-dekadentów, narkomanów, pasożytów i opryszków. Korzystanie z trudu więźniów

na Sołowkach nie było czymś nowym, wystarczy wspomnieć popa Simeona (widział go Maksimow w 1856 roku), heretyka przykutego łańcuchem do ściany w piekarni i mieszącego bez końca ciasto na chleb dla braci, czy też innych „nieszczętników w okowach na czarnych monastyrskich robotach”. Przy tym SŁON wykorzystywał nie tylko doświadczenie monachów w organizacji i zarządzaniu, ale także ich warsztaty, cechy, doki, składy, wreszcie ich samych, w roli brygadystów. Oprócz tradycyjnych monastyrskich zajęć, jak rybołówstwo, obróbka lasu, czy ogrodnictwo, próbowano też nowinek, dla przykładu produkcji agaru, w czym specjalizował się był filozof Floreński, hodowli piżmaków, prac wydawniczych i naukowych. Wszystkich zajęć SŁON-a wyliczyć niepodobna, tym bardziej, że i ludzie się wykruszali, i czasy się zmieniały, i popyt. Do ważniejszych należały: produkcja wapna, alabastru i cegieł, wydobywanie torfu, zbiór i obróbka wodorostów, wyprawa skór tiulenich, rzemiosła krawieckie i szewskie, cech stolarski, cech zabawkarski... tak, tak, tylko przy wyrobieniu szmacianych lalek zatrudniano w SŁON-ie ponad 300 zeka, czyli więcej, niż dzisiaj ogółem na Wyspach pracuje! Natomiast łagierny *sielchoz*, zatrudniający ponad półtora tysiąca więźniów przy hodowli koni, bydła i trzody chlewnej, w mleczarstwie i ogrodnictwie, posiadał ponadto swój klub, czytelnię i sklep. W łagiernym szpitalu, na stu chorych, było pięć oddziałów: wewnętrzny, chirurgiczny, gruźliczy, nerwowy i akuszeryjny, oraz własna kuchnia, magazyny i przytułek dla dzieci. Na Wyspach za czasów SŁON-a był także teatr z trzema scenami, dający przedstawienia pięć razy w tygodniu, kino, centralna biblioteka z naukowymi zbiorami (około 30.000 tomów) i klub z czytelnią, salą gier i zabaw, otwarty dla zeka przez okrągły dzień, do 23.00. (Tylko w 1925 roku wystawiono na Sołowkach 139 spektakli teatralnych, dano 40 koncertów i 37 seansów filmowych, oraz zorganizowano dobrą kopę wykładów, dyskusji i wieczorów literackich.) Ba, w owych czasach oddzielne przedsiębiorstwo zajmowało się zbieraniem odpadów użytkowych, sortowaniem ich i wysyłką w Kiem, a obecnie po posesiołku, gdzie nie spojrzeć, złom się wala, szkło w kawałkach i całe bloki z żelbetonu.

Osobny ustęp należy się pracy wydawniczej i naukowej,

prowadzonej w zonach SŁON-a. I tak na Wyspach regularnie wychodziła tygodniowa gazeta *Nowyje Sołowki*, którą można było zaprenumerować na terenie całego Sojuza, a *Sołowieckije ostrowa*, ilustrowany miesięcznik o objętości 250-300 stron, cieszył się nawet opinią najbardziej swobodnego czasopisma w Sowietach. Publikowano w nim, oprócz prozy i wierszy, prace naukowe członków Sołowieckiego Towarzystwa Krajoznawczego, zrzeszającego uczonych zeka, oraz wolnonajomnych. Prace owe, rzetelne i unikalne, mogą służyć do dziś badaczom Północy, nie tylko informacją, ale także przykładem solidnego trudu, albowiem paroletni dorobek naukowy łagiernego Towarzystwa bije na głowę (i to wielokrotnie!) płody sołowieckiego muzeum za trzydzieści lat jego działalności. Zakres naukowych zainteresowań Towarzystwa był ogromny, wystarczy wymienić, dla przykładu, tytuły kilku publikacji: „Biologia ryb Białego morza”, „Narzędzia rybołówstwa na Białym morzu”, „Klimat Białego morza”, „Ptaki Białego morza”, „Archeologia Białego morza”, „Problemy ochrony zwierząt na wyspach Białego morza”, „Dzieje kiemskiego rejonu”, „Pomory, ich byt i zajęcia”, „Historia wsi pomorskiej”, „Torf Wysp Sołowieckich”, „Wpływ wiatru na las sołowiecki”, „Erozja sołowieckich gleb”, „Monastyrska tiorma na Sołowkach”, „Monastyrskie wyroby kościane”, „Technologia monastyrskich rzemiosł”, „Dane statystyczne sołowieckiej gospodarki” i tak dalej, i tak dalej... Od 1926 roku wychodzą oddzielnym drukiem, jako dodatek łagiernego miesięcznika, „Materiały Sołowieckiego Towarzystwa Krajoznawczego”, coś w rodzaju „Biblioteki Kultury”. Ogółem wyszły 23 pozycje, w tym fundamentalna praca Winogradowa o saamskich labiryntach i pierwszy słownik łagiernego żargonu, tegoż autora, wolnonajemnego.

## 7.

W środę, 27 listopada, Akademik Lichaczow, ostatni mohikanin Sołowieckiego Towarzystwa Krajoznawczego, obchodził 90-lecie urodzin. Wybitny filolog, znawca staroruskiej literatury, nazywany przez wielu „sumieniem rosyjskiej kultury”. Prezydent odznaczył Akademika *Za zastugi pieried Otieczestwom* (order wręczył Czubajs), a bułgarski ambasador specjalnie z tej okazji przyleciał do Petersburga, by się

pokłonić „patriarsze światowej slawistyki”. Obydwa programy rosyjskiej TV godnie uczciły dostojnego jubilata. W jednej z audycji (*Moment istiny*) Dymitrij Sergiejewicz powiedział, że ostatnią z rzeczy, które wyniesie na bazar z głodu, będzie... gwiazda *Gieroja Socjalistycznego Truda*.

Lichaczow trafił do SŁON-a za żartobliwy referat, wygłoszony w kółku młodych filologów, pod tytułem „Medytacje na temat starej, tradycyjnej, uświęconej, historycznej ruskiej ortografii, pogwałconej i wypaczonej przez wroga cerkwi Chrystusowej i narodu rosyjskiego”. W sołowieckim łagrze Dymitrij Sergiejewicz spoważniał i rozpoczął filologiczne dociekania na serio, zaś jego „Karciane gry przestępców”, opublikowane w 1930 roku w miesięczniku *Sołowieckije ostrowa*, przyjęto uważać za naukowy debiut Akademika. Tutaj, w zonach Sołówek i Biełomorkanału, Lichaczow zebrał kapitalny materiał do pracy, dziś już klasycznej, na temat *blatnego* żargonu: „Cechy pierwotnego prymitywizmu złodziejskiego języka”, w którym próbował, jako filolog, odnaleźć rysy *blatnego* świata. „Słowa złodziejskiego języka – pisał, konkludując – charakteryzują się niezwykle ekspansją i wychodzą daleko poza przestępczą rzeczywistość. A wraz z nimi rozpowszechnia się trucizna złodziejskiej ideologii, mentalności mętów”.

W „Sołowieckich zapiskach”, opublikowanych pół wieku później, Akademik pisze o dwóch słówkach, kluczowych tak dla sowieckiego, jak i dla postsowieckiego świata, słówkach usłyszanych pierwszy raz w SŁON-ie, od worów: *blat* i *tufta*. *Blat* wszedł do ruskiej *fieni* (grypsery) z jidysz odeskich złodziei, gdzie odpowiadał „dłoni”, czyli naszym „układom”, natomiast *tufta*, polska „lipa”, oznaczała pracę na pokaz, udawany trud. Pierwsze lekcje *tufty* Dymitrij Sergiejewicz pobierał na budowie sołowieckiej wąskotorówki, tam należało łomami rozbijać zamrożoną ziemię, a zeka na łomach tych opierali się, udając, że kruszą lód, i odpoczywali. W latach 30-tych oba słówka, wraz z sołowieckimi zeka, przenikają na Biełomorkanał i dalej, do wszystkich łagrów Sojuza, by w końcu się znaleźć w powszechnym użyciu na wolności.

8.

Do wyborów na Wyspach zostało parę dni zaledwie,

krwem w ludziskach wre, popuszczają nerwy i powietrze zgęstniało, jak przed „kułaczowymi bojami” w dawnej Rusi. Pora zatem kończyć historyczne dygresje i mimochodem ostatnie pół wieku, czyli jeszcze parę zon przeskoczyć, by trafić na miejsce wydarzeń w określonym czasie.

I tak w końcu '39 ostatnich zeka wywieziono z Sołówek i Wyspy przekazano sowieckiej armii, atoli zarówno zony zostały, jak i drutu kolczastego zwoje. Nazwy tylko pozmieniali i zamiast *zony osobogo naznaczenija* utworzyli *zakrytiju zonu*, której reżym obowiązywał do końca '89. W paszportach u wielu Sołowczan stoją do dzisiaj dwie tłuste literki z.z. I jeszcze do niedawna należało posiadać indywidualne zaproszenie, by na Sołowki bilet wydali. Pryncypium darmowego o trudu także pozostało (w zasadzie) bez zmian: żołnierze tyrali za miskę, czasem za pół litra. Powoli stare i nowe porządki odchodziły w niepamięć, większość rzemiosł, cechów, oraz umiejętności zapuszczono, a piżmaki po Wyspach się rozbiegły i zaczęły żyć dziko. Sołowieckie wojsko o byt dbało – przede wszystkim – zwłaszcza o żarcie: o bydło i o trzodę chlewną. Poza tym remontowano technikę wojskową, a przy okazji sołowieckie drogi, w gestii armii był też transport, i morski, i powietrzny, łączność, energetyka, szpital i dwa kluby. Wszystko, rzecz jasna, w ramach służby, bezpłatnie. Jednocześnie na Wyspach osiadali cywile, najpierw przy wojsku, niby do pomocy, a potem na wojsku, jak wszy – wedle słów byłego politruka Czestakowa – i nie tylko pasożytowali na żołnierskim trudzie, oraz na dotacjach z budżetu obrony, ale jeszcze produkty spożywcze za darmo chę brali, produkty zepsute na składach. Z biegiem czasu ludzi cywilnych na Wyspach przybywało. Najprzód z Żyżgina, skąd na Sołowki w latach 60-tych fabrykę agaru przeniesiono, a zarazem parę dziesiątek robotników z rodzinami, kiedyś tam zesłanych. Za nimi pociągnęli sezonowi dobywacze morskiej trawy, bicze bez przydziału, wolne ptaki. Niektórzy osiadali tu na stałe. Potem inteligenci powalili, nieudacznicy uczeni, artyści bez iskry, historycy-pijanice, a wszyscy do pracy w muzeum, niczym na zapiecek. W połowie lat 70-tych muzeum przeobrażono w *zapowiednik*, czyli w rezerwat ścisły. Ale prawdziwy *boom* przypadł na lata *pieriestrojki*, kiedy to cały Archipelag objęto centralnym planem rozwoju i urbani-

zacji, w stylu sowieckiej gigantomanii. Wydzielono grube sumy, za którymi, jak zwykle w takich planach, pociągnęły watahy obiboków, kombinatorów i worów. Na Wyspy zawieziono ciężki sprzęt budowlany, setki ton materiałów i PMK (*pieredwiznaja mechanizirowanaja kotonna*), czyli parę brygad wybrakowanych roboli: bądź z artykułu 33 (za pijaństwo w pracy), bądź wprost u milicji wykupionych, niby raby. Przybysze najpierw sklecili dla siebie kilka baraków z sylikatowych pustaków, bez izolacji, byle jak, a dopiero potem przystąpili do budowy ogromnej oczyszczalni ścieków, zaprojektowanej na dziesiątki tysięcy mieszkańców i jeszcze ogromniejszej piekarni-kombinatu, w myśl zasady: im większa budowa, tym więcej można nachapać *po błatu*. Zatem puszczono przez las obwodnicę z betonu, po bokach rozryto parę wyrobisk piasku, brzegi morza chłamem zarzucano, a przy okazji, niejako, kilka *cottages* przy ulicy Floreńskiego wyrosło. Lumpy, niczym piżmaki, rozmnożyły się na oczach. Latem '89 wojsko opuściło Wyspy. Stare porządki dobiegały końca i o reformach jęły krążyć słuchy. Potem obcięto dotacje i wszystkie budowy przerwano w pół ściany. Nastąpiła ogólna prywatyzacja, po sołowiecku: *prichwatizacja*, od słowa *prichwatit'* – zagarnąć. Aby, rzecz jasna, zagarnięte przepić, bez zwłoki. Innymi słowy, nacjonalizacja *à rebours*. Prywatyzowano wszystko, co leżało bezpiecznie: płyty betonu i słupy telegraficzne, budynki, warsztaty i składy, mazut i drut kolczasty. Nawet krzesła z byłego kina wynieśli i ekran ściągnęli ze ściany. Wreszcie rozebrano PMK, tudzież inne przedsiębiorstwa, doszczętnie: od spychaczy do spinaczy biurowych. Tylko ludzie się ostali, bezrobotni...

Dzisiaj na Wyspach zabrakło tak wiary, jak i siły, w imię której można by ludzi zagonić do darmowego trudu: ani religii, ani łagru, ani armii. Teraz tu wszyscy o *dieńgi* pytają – bez trudu. Ot, muzyk przyszedł, o dziesiątaka chrypi, bo mu do flaszki nie starcza. Narąb drewna, mówię, to ci zapłacę.  
– *Eto nie wygodno.*

9.

I jeszcze jedna dygresja. W grudniu 1811 roku Joseph de Maistre pisał do hrabiego Rumiancewa: „W dzisiejszych cza-

sach, gdy obie kotwice – religia i rabstwo – jednocześnie przestają dźwżyć wasz okręt, sztormy go mogą unieść i rozbić. [...] Należy zatem dokładnie rozważyć, nim się cośkolwiek podejmie w sprawie zniesienia poddaństwa chłopów, bo czasem wystarczy najmniejsze ustępstwo prawne, by zrazu wybuchła ogólna dyskusja, pociągająca za sobą wszystko: najpierw to będzie moda, potem namiętność, w końcu szaf. I począwszy z prawa, rzecz się buntem kończy. [...] W następstwie tak niespodziewanej wolności, poddani przejdą zrazu od zabobonów do ateizmu i od tępego posłuszeństwa do niepohamowanej samowoli. Albowiem swoboda działa na takie natury jak mocne wino i szybko uderza do głowy, nieprzywykłej doń”.

Przypomnę, że de Maistre był posem króla Sardynii przy dworze Aleksandra I, w latach 1802-1817, a ponadto myślicielem, pisarzem i wnikliwym komentatorem, tak intryg politycznych, jak i teatru wojennego Europy. Przy tym oglądał świat z dystansu, niczym operę buffo, lub czarną komedię, co sam przyznawał na marginesach oficjalnych depeesz. I nic dziwnego, wszak widział kaprysy fortuny, które unicestwiały całe dynastie, armie i miasta, nikczemność bohaterów, wiarołomność sług. A jego listy z Petersburga dają nie tylko obraz epoki, brzemiennej w wydarzenia, takie choćby jak pochód Napoleona na Rosję, czy próba reform Aleksandra I, ale także komentarz do niej, niby szpicrutą cięty. Cytowane wyżej słowa pochodzą z „Zapisku o wolności”, sporządzonego na marginesie projektów Sperańskiego, jednego z pierwszych rosyjskich reformatorów, który zaproponował, by wszyscy poddani cara byli równi wobec prawa, a wszystkie instancje władzy, od gminy wiejskiej począwszy, były wybieralne...

10.

– *Zdies' vlast' nie sowietskaja, a sołowieckaja* – lubił był powtarzać Nogtiew, naczelnik SŁON-a, podkreślając tym samym osobliwość sołowieckich rządów. Powiedzonko to słyszałem tutaj nieraz... i później. Postłagierny aparat zarządzania Wyspami, bastard partyjno-wojenny, powstały ze skrzyżowania dwóch porządków (wojskowego i cywilnego), składał się z *ispolkoma*, czyli ciała wykonawczego, oraz *sowieta dieputatow* – ciała ustawodawczego. Ludzi do tych

organów rekomendowała partia, a potem nimi grała, pociągając za sznurki. Twór tak wylęgły, dziwoląg na trzech nogach (wojsko, muzeum, posesiołek) i nader rozmazanych kompetencjach, przetrwał do czasów *pieriestrojki*, kiedy to funkcje przewodniczących obydwóch organów zlane w jeden: w Głowę Administracji. Został nim *miczman* Niebożenko. W '91 miejsce armii w sołowieckim trójkącie kompetencji zajął monaster, a Sołowkom nadano status *osobo ochraniajemoj territorii*. Potem, już na moich oczach, Sojuz Sowiecki się rozpadł, komuniści poszli w rozsypkę, parlament w Rosji dwukrotnie odnawiano, wojna z Czeczenią wybuchła i zgasła, Prezydenta ponownie wybrano i operowano, a Walentyn Wiktorowicz jak rządził na Sołowkach, tak rządzi, samowolnie, do dziś.

– *Zdies' wlast' nie moskowskaja, a swojskaja* – można by teraz rzec, Nogtiewa parafrazując. Innymi słowy: rządy swojaków. Czynowniczy aparat na Sołowkach – żony byłych oficerów i kumple Niebożenko – liczy obecnie 25 ludzi. Kiedyś starczało 3-ech! W czasie, gdy w Moskwie wyjaśniano stosunki, na Wyspach resztki państwowego pieroga dojadano: kredyty *po błatu* i ulgi podatkowe dla swoich, lichwiarski obrót kwotami, przeznaczonymi na wypłaty i renty, jawne sprzeniewierzenia. (Handlarze wódką, dla przykładu, płacą tylko 20% podatku w porównaniu ze sprzedawcami innych produktów spożywczych, w rezultacie czego butelka *Ruskoj* stoi tyle, co trzy bochenki chleba, a zysk, omijając kasę, idzie wprost do kieszeni...). Zamiast dotować szkołę, czynownicy sami kończą fakultety prawa i administracji zaocznie, z funduszu dla weteranów sobie kupują mieszkania na stronie, i, wedle własnego poczucia humoru, zakładają „firmy z bezgraniczną nieodpowiedzialnością” na stałym lądzie. W efekcie na Wyspach nastąpiła ogólna plajta, przedsiębiorstwa zbankrutowały, muzyki mrą, jak muchy, od gorzały, lub z niedożywienia, dzieci grzebią w śmietnikach, lub kradną i tylko Niebożenko z kliką zauszników żyją u *kormuszki* i tyją. I jeszcze się odgrają w przedwyborczej walce. Tak, tak, to nie żart – Walentyn Wiktorowicz zgłosił swoją kandydaturę w jutrzejszych wyborach. Zrazu i na mera, i na deputata.

11. Zatem wybory. Wczoraj się zarejestrowałem, oficjalnie, a jakże? W charakterze międzynarodowego obserwatora – od miesięcznika *Kultura*... Ludmiła Michajłowna, przewodnicząca komisji wyborczej, tłusta i zacna, klasnęła ze zdumienia i wykrzyknęła: – *wot eto daa!*

Na Wyspach, jak na dłoni, wszystko się wie, tu widać wyraźnie, niczym pod lupą, każdego. Stąd wgląd w powijaki demokracji w ruskiej *głubinkie* jest niezwykle, wręcz laboratoryjny. A będąc do tego osobą postronną, cudzoziemcem bez prawa głosu, i zadomowioną zarazem, w kursie wszelkich miejscowych spraw, mam tu szczególną pozycję, bo z nikim blisko nie trzymając, ze wszystkimi się znam. Zaś Sołowczanie, jak w ogóle wyspiarze, zapiekli w urazach między sobą, z obcymi są wylewni, skorzy do plotek, do zwierzeń. Maksimow wspomina nawet o niezwyklej chorobie, o *goworuchie*, na którą ludzie na Północy zapadają, albowiem na co dzień milkliwi, z braku okazji do rozmów, kiedy już zaczną gadać, to końca temu nie ma... I tak, wykorzystując ów zbieg okoliczności, patrzyłem na walkę wyborczą na Sołowkach od kuchni, gdzie popijając czaj, czasem szyło, wysłuchiwałem pretendentów do władzy, ich programów, żalów, biografii. Odwiedziłem ich wszystkich, po kolei, po domach, by zobaczyć jak żyją, co mają, i czego im jeszcze brakuje. Bywałem też na mitingach i na posiedzeniach różnorakich, chodziłem na spotkania z kandydatami na mera Sołówek do zakładów pracy (do muzeum, do przedsiębiorstwa usług komunalnych, do fabryki agar-agaru, a także do szpitala, *Leschoza*, milicji, aeroportu), uczestniczyłem w paru wiecach w bani, oraz w dyskusji przy „okrągłym stole” w posesiołkowym klubie kultury. Co dzień wreszcie, wieczorami, po kolacji, zagłębiałem do Wasylicza, byłego sekretarza partii na Sołowkach, który zna tu wszystkich: od podszewki do donosów. Wasylicz mieszka na Wyspach od lat, widział i słyszał wiele, i potrafi wspomnieć, co niegdyś robili ci, co dzisiaj mówią zupełnie coś innego.

Tak więc zobaczyłem powijaki demokracji na Sołowkach. I nie skrywam, że zapaćkane toto, wymiętoszone i nie pachnie. Im bliżej do głosowania, tym brudów więcej wywlekano na jaw. Naród zafermentował jak braga. Muzyki w bani



spiskowali po sobotach, baby w sklepach wiewowały, czekając na chleb, czynownicy zwarli się i zaparli się, „nowi ruscy” sołowieccy skupowali głośy za pół litra, weterani gardłowali i skakali sobie wzajem do oczu, każdy knuł na własny rozum i nawet w staruchy, co do mogiły już były gotowe, raptem bies wstąpił, polityczny. Jeno bomżom i biczom na *wsjo napliawat*, byle wypić było. I młodzieży jak wisiało, tak wisi.

Do walki stanęło sześciu kandydatów: Niebożenko, już zaprawiony w tych bojach (na moje pytanie, której z obecnych partii sympatyzuje, odpowiedział, że żadnej, bo on obecnie *chozajstwiennik*, czyli działacz gospodarczy); dalej Sasza Browin, kierownik sołowieckiej elektrowni, jedyny pretendent bez wyższego wykształcenia, skrzyżowanie Liebie-dia z Ziuganowem i swój *parień* wśród miejscowych muzyków (jednym z gwoździ jego programu jest żądanie sądu dla Jelcyna??); jeszcze dalej w notowaniach Luba Gaławań i Rubcow, rekiny branży turystycznej, ona – właścicielka hotelu (prywatyzowanego *po błatu*), on zaś – naczelnik oddziału pomocy socjalnej na Sołowkach, a zarazem szef firmy wycieczkowej (też *po błatu*), wzajem się nienawidzą i walczą bez pardonu, bo każdemu z nich potrzebna jest *krysza*, by swój biznes osłonić i konkurenta zdławić; w końcu Lina Czesnokowa, ordynator szpitala na Sołowkach i Swietłana Szatunowa, adwokat bez pracy (pierwsza lubi komunistów, druga demokratów), obie opuszczone przez mężów, brzydkie i żadne władzy, by samotność zagłuszyć, odegrać się, dokazać...

Ich programy wyborcze? Kupa śmiechu. Jeden od drugiego ściągał, wszyscy pisali to samo, z jednakowymi błędami, oklepane frazesy. O rozwijaniu ekonomicznym i opiece społecznej, o pilnowaniu ekologii i obstrukcji finansów, o turystyce zagranicznej i opatrności bożej, o dotacjach, opodatkowaniu i odpowiedzialności. Innymi słowy, jak dzieci mówią: obiecanki cacanki. Z konkretów zapamiętałem tylko różnicę między głównymi pretendentami, Niebożenko i Browinem, na temat źródeł prądu. Sołowiecka elektrownia ledwo dyszy i w każdej chwili grozi awarią, nie mówiąc już o tym, że tony mazutu wyciekają z nieszczelnych rur, niszcząc unikalną przyrodę Sołówek. Na remont elektrowni potrzeba ogromnych sum, dzisiaj zupełnie nieosiągalnych. W wielu

domach, w tym i w szpitalu, brak pieców. Zimą ogrzewa je centralny system, w którym ciepła woda krąży dzięki pompom elektrycznym i wystarczy na kilka dni wyłączyć prąd, by rury popękały, woda zalała mieszkania, potem zamarzała... Brak prądu na Północy to śmierć. Niebożenko proponuje budowę... wiatraków. Po pierwsze, bo ekologicznie czyste; po drugie, bo przyszłościowe a po trzecie wreszcie, dalibóg, może dolary by dali. Kto? Bo ja wiem, Norwegowie, Sołżenicyn, a może cerkiew prawosławna? [Nawiasem mówiąc: Walentyn Wiktorowicz kokietuje monachów ulgami podatkowymi i darmową ziemią, byle by głosowali na niego, ba, zaczął nawet w cerkiew chodzić i przed ikonami czoło rozbija, a na mitingach wykrzykuje o pokucie!] Natomiast Sasza Browin obiecuje nam *matysza*, czyli... mały reaktor atomowy (... i żadnych ulg dla „czarnych”). Już Lenin onegdaj powiedział, iż komunizm to władza sowietów plus elektryfikacja. Dziś na teże formule zaczęli tu kapitalizm budować.

Zaś Sołowczanom nie do kapitalizmu, bynajmniej. Im by pojeść sytniej, drwa kupić. Oni tęsknią do czasów, kiedy pobory wypłacano bez zwłoki, renty i emerytury przychodziły w określonym terminie, a oszczędności gwarantowały spokojną starość. A dzisiaj? Dzisiaj ani zarobków, ani rent, a oszczędności (często całego życia!) szlag trafił jeszcze za Gajdara. Dzisiaj *dienieg* brakuje! Ot, co Sołowczan boli. Bez *dienieg* człowiek traci godność. Kiedy na jednym z przedwyborczych spotkań Niebożenko obiecał emerytom jednorazowy kredyt w sklepie (w wysokości stu tysięcy rubli, czyli około 20\$) na wszystkie produkty spożywcze, z wyjątkiem alkoholu, staruchy rejwach podniosły, a baba Wala wrzasnęła, że to ją poniża (*oskarbljajet jejo dostoinstwo*), choć sama nie pije. W sali było zimno (elektrownia odłączyła prąd w budynku administracji za długi), para z ust buchała, naród siedział w walonkach i przytupywał. Rozejrzałem się. Wokoło starzy, zużyci ludzie. Bezbronni, bezsilni. Całe życie byli zdani na władzę, która za nich myślała, dawała robotę i jeść. A teraz? Byłe dożyć do śmierci. Niebożenko marzy o wiatrakach, a ludzie o płocie na cmentarzu, bo krowy na mogiłach się pasą. On snuje plany nowego szpitala, a oni płaczą, że lekarstw brakuje. On mówi o powiększeniu lotniska,

a babki proszą o zreperowanie *potaskatki* (drewnianej budki na Świętym jeziorze, w której miejscowe kobiety zimą płuczą pranie), bo w starej deski przegniły i duje...

Inne zebrania wyglądały podobnie.

Natomiast w klubie, gdzie urządzono „okrągły stół” dla wszystkich kandydatów naraz, naród się nie patyczkował. Wszystko, o czym dotąd szeptano po kątach, teraz wychlusnęło, jak pomyje z okna. Jakim prawem Rubcow łączy pracę w administracji z prywatnym biznesem? Kto pozwolił Gaławanowi prywatyzować municypalny hotel i bloki żelbetowe z niedokończonych oczyszczalni ścieków? Dlaczego Niebożenko kupił sobie dom w Orle z funduszu dla weteranów, mając na Sołowkach mieszkanie i *cottage* na teścia? Gdzie się podziały miliardowe dotacje? I tak dalej, i tak dalej... Pretendenci odgryzali się. Najlepiej wypadł Browin, bo najmniej mówił. On też wygrał wybory.

Wybory przeszły bez ekscesów. 80% głosowało. Pierwszy raz nie było ani bufetu, ani muzyki w lokalu wyborczym. Wyniki ogłoszono nazajutrz rano. I tak mamy nowego mera i nową deputację. Deputaci, hm: babka handlująca wódką po nocach, były alkaśz „na torpedzie”, muzyk, który nie wie, co to konstytucja... Za to sami swoi, sołowieccy. Co dalej?

– *Pożywiom, uwidim* – jak mawiają Rosjanie.

12.

Wigilia. Za oknem gwiazdy trzeszczą, w domu zapach świerczyny, maku i miodu. Na stole opłatek z Polski, barszcz z uszkami, kutia, a zamiast karpia po żydowsku – ucha z nalima. Gęsty, pachnący bulion z zielonego miętusa, wyciągniętego wczoraj spod lodu na jeziorze Grzmiącym. Było tak.

Wyjechaliśmy burym świtem, na saniach za traktorem. Smirnow, Maksimka i ja. Nad Sołowkami wisiała brudna, jakby tłustym snem przepocona, pierzyna chmur. Śnieg prószył, bezgłośnie. Jeziora spały w osędziałym tumanie. Na szóstej wiorście muzyków wzięliśmy, co też na nalima się wybrali, ale po drodze wypili byli i kiedy w Isakowie z sań powypadali, to zrazu zasnęli, na śniegu...

Do Grzmiącego nie sposób na traktorze podjechać, więc ostatnią wiorstę przez las brnęliśmy, na szerokich myśliwskich nartach, w strugach potu, w śniegu kopnym i sypkim, jakby

szuflą niebiańską nawalonym bez umiaru, a ze świerków spadały białe czapy, wprost za kołnierza, i po ciele spływały strumykami chłodnymi, wężykami i ciurkiem. Maksimka od razu z przodu przepadł, Smirnow odstawał z tyłu, zatem sam się grzebałem, w niemocie lasu i wilgoci białej. Szło mozolnie, jak czasami bywa nad pustą kartką papieru: ta sama biel, niemota i zakopanie. Wtem las się otworzył na oścież, na jezioro, gdzie wyspy niby klomby w zimowym parku drzemały, w dole mała sylwetka Maksimki, głęboki ślad, miejscami ciemne plamy, to woda podeszła przez lód. Po chwili Smirnow do nas dosapał i zaczęliśmy rybakę.

Najpierw wyrznęliśmy „jordan”, czyli spory przerębel, by sieci przezeń można było wyciągać. Smirnow borował dziury w lodzie, ja łomem je łączyłem, a Maksimka w tym czasie sznurki wiązał. Krę przydusiliśmy, łopatą i łomem, aż po lód weszła i się skryła. Zatem oczyściliśmy „jordan” z resztek śryży i przystąpiliśmy do taskania siatek, postawionych trzy dni wcześniej. Snuły się, jak włosy, z ciemnej otchłani przerębla, ze srebrzystymi spinkami sielawek. Ryby wyjmowaliśmy delikatnie, aby ciało w okach sieci nie podrzeć, na lodzie drgały jeszcze chwilę, aż je mroźne powietrze usypiało na zawsze. Czasem miętus się trafiał, ciemnozielony, śliski i tłusty. Tak przebraliśmy dwa tuziny siatek, z pięciu „jordanów”, i dziesięć nowych postawiliśmy. Stawianie sieci pod lodem wymaga nie lada doświadczenia i przypomina nieco szycie szydłem. Najpierw borujesz *tunkę* (otwór w lodzie), dalej drugą, w odstępnie metra. W pierwszą wkładasz sznurek z ciężarkiem, a w drugą długi, fikuśnie zagięty pręt, i póty nim wierzysz w dziurze, póki nie zaczepi sznurka z pierwszej *tunki*. Zatem przeciągasz sznurek pod lodem, robisz kolejną *tunkę* i powtarzasz manipulację. Na jedną sieć należy wyborować z pół kopy *tunek*, w lodzie jak diament twardym. I nie daj Boże trafić na korzeń, bo wtedy trzeba wiercić w bok, siatki przeciągać i od nowa zaczynać.

Wracaliśmy o zmierzchu, spotniali, jak po *bannej parni*. A śnieg ciągle sypał. Las zasypiał. Po drodze zabieraliśmy rybaków, którzy z mroku wyłazili, niczym duchy monachów, lub zeka. Do posiołka przywieźliśmy pełne sanie muzyków. U każdego majdan (duże blaszane pudło na rzemieniach, by na plecach można nosić), wiertło do lodu i leśne narty. Pod

Kremlen rozsypali się, w milczeniu, nic nikomu nie mówiąc, co pojмали, i ile. Naród się teraz rybą ratuje, od głodu.

13.

„Uchy z nalima też w Zachodniej Europie nie ma” – Wasilij Wasiliewicz Rozanow, „Mimoljetnoje”, 21 I 1915.

Mariusz WILK

**Mariusz Wilk jest akredytowanym korespondentem Kultury w Rosji.**

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

**Wszystko na temat Europy Wschodniej:**

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

**Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.**

**Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.**

**Tel.: 0221/24-61-60.**

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli

#### BRUDNE ZŁOTO

„Szczęśliwy naród, który nie ma historii”.  
Monteskiusz

#### PROLOG

Była szwajcarska zimowa noc. 9 stycznia 1997 roku, Krzysztof Meili, 29-letni strażnik w gmachu centrali Union des Banques Suisses w Zurichu, obchodził, jak zwykle, puste o tej porze biura i korytarze tej świątyni pieniądza. Był właśnie w pomieszczeniu, gdzie normalnie warczały maszyny do niszczenia dokumentów. Ze zdumieniem odkrył stos dokumentów, których zapewne jakiś urzędnik nie zdążył przepuścić przez ostre zęby „krajarki” papierów. Zdumienie Meili’ego wzrosło kiedy stwierdził, iż dokumenty czekające na wejście w niebyt, dotyczyły kontaktów banku z hitlerowskimi Niemcami w latach 40-tych (m.in. w sprawie handlu złotem i pieniędzmi zrabowanymi u Żydów), których niszczenie – sprawa była powszechnie znana z pierwszych stron gazet – zostało właśnie oficjalnie i prawnie zabronione. Miały one bowiem posłużyć do zbadania i ujawnienia prawdy o dwuznacznej (co najmniej) roli szwajcarskich banków i Szwajcarii w ogóle w okresie II wojny światowej. Meili, wierzący i praktykujący protestant, uznał, że to opatrność wpuściła go na ten ślad, wyniósł i przekazał część kompromitujących dokumentów jednej z organizacji żydowskich w Zurichu, która natychmiast udostępniła cały materiał policji. Wybuchł

Tomasz JASTRUN

## SAMOTNA

Opuszcza rolety  
Opuszcza pończochy  
Zamyka oczy  
Podciąga kołdrę

Jest jak żywy owad  
Przekłuty szpilką swojej płci

Słyszysz jak skrzypi łóżko  
Za ścianą

I jak w studnię przetyku  
Spada kamyk śliny

## WESTCHNIENIE

Nie ma szczelin

Jest  
Doskonale zamknięta

Tylko raz  
Otwiera je  
Następne westchnienie

Tak cofając się  
Można dojść  
Do ust  
Początku świata

STÓŁ :

Zgasła  
Nie wiadomo kiedy  
Tak gasną gwiazdy  
I kobiety

Zbliżam się  
zmieniony do poznania

Oboje udajemy  
Że nic się nie stało  
Tylko nasza czułość uszła cało  
Nawet nie zadrapały jej lata

Jest jeszcze pamięć wiecznie zielona  
I stół  
Który mocno stoi  
Na naszych czterech nogach

Tomasz JASTRUN

Aldona PIENCZEWSKA

## ZNACZENIE ODLEGŁOŚCI

Trzymam cię  
w zagłębieniu fali  
jak w zagłębieniu dłoni  
maluję obraz twój  
w zagubieniu  
jak w zagłębieniu samotności  
szukam formy

która zechce je wypełnić  
może została w ogrodzie  
może w koronie drzew  
może w źdźbłe trawy  
może nadchodzi już z daleka  
a może wyczekuje  
zbyt blisko  
by dać się zauważyć

Bruksela, 1996

*Aldona PIENCZEWSKA*

## Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

### NIENORMALNA

Często ją widzę.  
Do każdego coś mówię  
swoim ptasim językiem.  
Jej krok szybki.  
Zaraz uleci do nieba,  
tam jej miejsce.

Ktoś mówi:

„Wariat ma dobrze,  
bez przerwy szczęśliwy,  
nie cierpi”.

Czasem  
może tak.

Czasem.

Staram się wyobrazić,  
co się dzieje w takiej głowie  
i czuję strach.

\*\*\*

Od dawna jej nie widzę.  
Czyżby brak cierpienia  
stał się naprawdę już  
nie do zniesienia?

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

skandal. Prezydent Banku Robert Studer uznał, że niszczenie dokumentów tej kategorii było błędem, za co naturalnie, bank jest gotów ponieść odpowiedzialność...

## I. CICHA PRYZYSTAŃ

### a) Rabin bez Biblii

Zaczął się, tak naprawdę, od niestosownej lektury pewnego nowojorskiego rabina. Zamiast czytać Pismo Święte, rabin Israel Singer, czytał wtedy, a było to w roku 1994, powieść Paula Erdmana „Szwajcarskie konto”, która, wbrew pozorom, miała niewiele wspólnego z pieniędzmi, a dotyczyła głównie roli Allena Dullesa, szefa wywiadu amerykańskiego w czasie wojny w Szwajcarii. Neutralność tego kraju sprawiła, że był to najspokojniejszy, a dla Dullesa najlepszy chyba, zewnętrzny punkt obserwacji hitlerowskiej Rzeszy.

Niestosowna, być może, lektura książki Erdmana okazała się jednak bardzo pożyteczna. Albowiem, poza tytułem rabina, Singer nie miał już wtedy wiele wspólnego z prowadzeniem nabożeństw w synagodze, był natomiast od dawna profesorem nauk politycznych na uniwersytecie nowojorskim, a potem, to znaczy wtedy kiedy właśnie czytał Erdmana, sekretarzem zarządu głównego Światowego Kongresu Żydów, ogromnej „czapki” nad setkami żydowskich organizacji w kilkudziesięciu krajach.

Rewelacje Erdmana na temat podejrzanej neutralności Szwajcarii obudziły z kolei podejrzliwość Singera. Przyjrzał się więc bliżej biografii samego Dullesa. Odkrył w niej aluzje do projektu „Safehaven” (cicha przystań!), zakodowanej nazwy dotyczącej kolosalnego przemytu złota, zrabanowanego głównie u mordowanych Żydów i w bankach podbitych krajów, a potem przerzucanego, tajnie i – rzadziej – jawnie, z hitlerowskich Niemiec do dalszej i bliższej zagranicy, głównie do Szwajcarii, ale także do – również neutralnie podejrzanej – Szwecji, Portugalii, Hiszpanii itd. A ponieważ minęło już 50 lat, Dullesowskie archiwa stały otworem. No i przemówiły.

Singer, to prawda, miał własny rachunek do wystawienia. 130 członków jego rodziny opuściło świat przez hitlerowski

komin. Nic im życia nie przywróci, powiedział, ale dowiemy się części prawdy, poznamy tych, którzy na tym robili interes. Singer zwrócił się więc do swego szefa o zgodę na podjęcie dochodzenia w sprawie „szwajcarskiego konta” już nie Dullesa, a w ogóle, głównie tych ofiar holokaustu, które stać było na ulokowanie pieniędzy i które je ulokowały w neutralnej szwajcarskiej „cichej przystani”. Szef wyraził zgodę.

### b) Bronfman bez whisky

Szef nazywał się Edgar Bronfman. Urodził się w Kanadzie, gdzie odziedziczył przedsiębiorstwo produkcji i dystrybucji alkoholu o nazwie „Seagram”. O ojcu Edgara chodziły legendy. Emigrant z Rosji, dorobił się poważnej fortuny, był znanym filantropem, zasiadał we władzach chyba wszystkich wielkich organizacji żydowskich. Pewnego dnia stary Bronfman spóźnił się na zebranie jakiegoś *board*'u i usiadł skromnie z tyłu sali. Natychmiast podskoczył do niego jeden z gospodarzy wołając: „Ależ panie Bronfman, pańskie miejsce jest przecież w prezydium” – na co Bronfman spokojnie odpowiedział: „Młody człowieku, prezydium jest tam, gdzie ja siedzę”. Legenda czy prawda, mniejsza. Ważne, że Edgar poszedł w ślady ojca, jest miliarderem, ogromnie rozwinął interes, wprowadził go na listę największych przedsiębiorstw świata tej branży (i nie tylko), i sprawił, że prezydium jest teraz tam, gdzie on siada.

Właściwie, to dopiero w 1971 roku, kiedy zmarł patriarcha rodu, młody Edgar Bronfman wrócił do swych żydowskich korzeni. I sporą część swojej kolosalnej energii (zazdrościcy powiadają „hucpy”), pieniędzy, wpływów, znajomości, oddał w służbę „SKŻ”, Światowego Kongresu Żydów. W ciągu kilku lat, Bronfman przekształcił SKŻ, do tej pory względnie spokojną, raczej dyskretną instytucję, zajmującą się głównie zbieraniem pieniędzy od bogatych Żydów dla niesienia pomocy biednym Żydom, w potężną, pozbawioną kompleksów, maszynę do obrony interesów żydowskich, materialnych, ale także, a może przede wszystkim, moralnych i prestiżowych, na całym świecie.

W mojej praktyce dziennikarskiej otarłem się kilka razy o

Bronfmana, jego megalomanię, ale głównie skuteczność w realizacji celu, który uznał za słuszny. Tak było w kampanii, która ruszyła zresztą z Brukseli, na rzecz emigracji Żydów sowieckich, tak było w procesie demaskowania Kurta Waldheima, tak było np. w kampanii raczej beznadziejnej, ale sprawiedliwej i słusznej, szukania śladów Raula Wallenberga, Szweda, który uratował od Hitlera tysiące Żydów węgierskich, a sam zginął z wyroku Stalina. Widziałem Bronfmana w jego wielkiej roli, kiedy przyleciał własnym Boeingiem do komunistycznych jeszcze wtedy Węgier, na pierwsze posiedzenie władz SKŻ za żelazną kurtyną w Budapeszcie, i kiedy inaugurował pomnik Wallenberga w stolicy komunistycznego kraju.

O tym, że są gdzieś na świecie Żydzi zainteresowani losom kont w Szwajcarii, tacy, którym udało się przeżyć lub ich spadkobiercy, wiadano od dawna. Ale wiadano także, że wszelkie próby ich rewindykacji kończyły się fiaskiem. Nie chodziło tylko o pieniądze, to dla banków szwajcarskich, przy ich bogactwie, nie byłoby naprawdę wielkim problemem. Ryzyko było gdzie indziej – w moralności i w prawdzie. Na wielką skalę historyczną. Prawda wyszłaby na jaw i byłby to nie rachunek dewizowy, a rachunek hańby.

Sprawa wydawała się więc beznadziejna. Dopiero kiedy dowiedziałem się z gazet, że Bronfman postanowił włączyć się do akcji, podjąć kampanię w celu odkrycia tajemnicy majątków zamordowanych Żydów, spoczywających w „cichej przystani”, na kontaktach „zamrożonych” czy „uśpionych” w sejfach szwajcarskich banków, zrozumiałem, że zaczyna się wielka i pasjonująca awantura. I nie myliłem się.

## II. ZAMKNIĘTE SEJFY

### a) Na stojąco

Pierwszy raz Bronfman, z Singerem i ekspertami, wybrał się do Berna we wrześniu 1995 roku. Powiało mrozem. Naturalnie, Bronfmanowi nawet Szwajcarzy nie mogli odmówić spotkania, doszło więc do rozmowy w dyrekcji potężnego Stowarzyszenia Banków Szwajcarskich. I doszło do podwójnego nieporozumienia. Po pierwsze, Bronfman nie tylko „nie

zasiadł w prezydium”, ale w ogóle nie usiadł. Kiedy mianowicie Singer po kolei wykładał na dyrekcyjnym biurku dokumenty z archiwum „Safehaven”, wykazujące udział banków szwajcarskich w hitlerowskich machlojkach i ich spisek milczenia na temat rabunkowego pochodzenia złota zdeponowanego w Szwajcarii przez nazistów – bankierzy nie zaproponowali Bronfmanowi nawet krzesła.

I po drugie, w odpowiedzi na wezwanie skierowane do bankierów o zwrot zagrabionego mienia ludziom uratowanym z pożogi, Bronfman, musiał (jak już wiemy – na stojąco) wysłuchać propozycji: Szwajcarzy skłonni byli wypłacić SKŻ 32 miliony dolarów odnalezione na 774 rachunkach otwartych przed wojną przez Żydów, którzy „najprawdopodobniej” zginęli w hitlerowskich obozach i na tym zakończyć całą sprawę – zamykając dossier raz na zawsze. Dossier i usta...

„Mała łapówka – odpowiedział na to Bronfman – Szwajcarzy niczego nie zrozumieli. Albo nie chcą zrozumieć. My tu nie przyjechalibyśmy aby targować się o pieniądze. To ważne i płacić trzeba będzie, ale nam chodzi o prawdę. I o moralność”. Był więc kryzys, ale do zerwania nie doszło. Obie strony uznały, że sprawa nie jest zamknięta, uzgodniły, że sprawa zostanie zbadana, i że w interesie ogólnym jest chwilowe utrzymanie całej procedury w możliwie najgłębszej dyskrekcji.

Ale Szwajcarzy nerwowo nie zdzierzyli. Presja rosła, napięcie także, postanowili uprzedzić wypadki. Złamali *gentlemen-agreement* z Bronfmanem. W lutym 1996 roku opublikowali obszerną jednostronną szwajcarską wersję sprawy. Nic w niej nie było z bicia się w piersi. Odwrotnie. I to był kosztowny błąd. Dosłownie i w przenośni. Bronfmana krew załała. Walka o prawdę i pieniądze wyskoczyła z tajemnic gabinetów, zesłała z biurek na ulice, na pierwsze strony gazet, wdarła się do parlamentów i rządów. Nic już jej zatrzymać nie mogło.

### b) Przy pomocy męża...

Z Berna, Bronfman poleciał do Waszyngtonu. Zjadł tam lunch z senatorem D'Amato, republikaninem z Long Island, który, po wyborczych niepowodzeniach, był właśnie w poszukiwaniu jakiejś „nośnej” sprawy, zdolnej wprowadzić go z

powrotem w wielki obieg amerykańskiej polityki. Bronfman mu ją znalazł: trudno o coś bardziej „nośnego” w Nowym Jorku – największym po Izraelu skupisku żydowskim na świecie – niż szwajcarskie „brudne złoto”.

Kiedy D’Amato wszedł do akcji, sprawa weszła na inną orbitę. Okazało się, że tu już nie chodzi ani tylko o Żydów, ani tylko o pieniądze, a o historię, głównie historię Szwajcarii. Że Szwajcarzy, naród, który do tej pory był szczęśliwy bo nie miał historii, nie powinien być tak do końca szczęśliwy, bo historię jednak ma. I to nieładną.

W kwietniu, na filantropijnym lunchu u Bronfmana w Nowym Jorku, obecna była także pani Hilary Rodham Clinton, żona prezydenta USA. Tego samego dnia, zupełnym przypadkiem naturalnie, *New York Magazine* opublikował *story* o poszukiwaniu żydowskich zaginionych pieniędzy i szwajcarskiej zaginionej prawdy w bankach w Zurichu. Bronfman wyrwał odpowiednie stronicie magazynu, dał je pani Clinton, poprosił żeby je przeczytała i o tym co przeczytała żeby opowiedziała swojemu mężowi. Pani Clinton rzuciła okiem na wyrwane kartki i zapytała Bronfmana; „Czy pan naprawdę sądzi, że można coś takiego załatwić z bankami szwajcarskimi?” „Z pomocą pani męża, można” – odpowiedział Bronfman.

Mąż obiecał pomoc. Prezydent przyjął Bronfmana następnego dnia po lunchu. „Jeżeli to będzie celowe, to gotów jestem pomóc w odpowiedniej akcji ustawodawczej senatora D’Amato” – powiedział ostrożnie Clinton. Po czym upoważnił do działania Stuarta Eizenstata, adwokata, demokratę, byłego doradcę Cartera, byłego ambasadora USA przy Unii Europejskiej, ostrego negocjatora, obecnie jednego z najwyższych dygnitarzy w polityce zagranicznej USA. D’Amato i Singer przygotowali amunicję, Izrael włączył się do akcji, Żydzi amerykańscy dali głos, Senat uruchomił artylerię. Szwajcaria i jej legenda znalazły się w polu rażenia.

### c) Nawet krawiec Hitlera...

Prawda zaczęła wychodzić na jaw. Bardzo stara prawda. Od razu, w 1943 roku, kiedy USA uruchomiły „Project Safe-

haven” Waszyngton wiedział, że hitlerowcy przerzucali do Szwajcarii, Szwecji, Portugalii itd. ogromne ilości złota, klejnotów, dewiz, że pochodziło to wszystko z rzeczy zrabowanych u ofiar holokaustu, że sztaby złota pochodziły nie tylko ze skarbców narodowych banków podbitych państw, ale także odlane były ze zdartych obrączek ślubnych, czy zębów wyrwanych gazowanym więźniom obozów koncentracyjnych. Dulles bez trudu odkrył i od razu doniósł, że większa część setek ton złota sprzedanego wówczas Szwajcarom przez Niemców pochodzi z rabunku. Końcowy rachunek sporządzony przez ekspertów z „Project Safehaven” określał na 6 miliardów ówczesnych dolarów wartość złota i kosztowności zrabowanych u ofiar Hitlera i sprzedanych potem przez nazistów bankom szwajcarskim.

Ujawnione teraz archiwum „Safehaven” dość dokładnie informuje jak znakomite interesy robiła Szwajcaria (Szwecja itd. także) z hitlerowskimi Niemcami. Sam Hitler miał własne konto w Szwajcarii, na które wpływały (może jeszcze wpływają?) prawa autorskie za „Mein Kampf”. Nawet krawiec Hitlera miał na koncie 300.000 szwajcarskich franków. Prawie każdy dygnitarz hitlerowski, jak i inni z krajów „osi”, mieli także własne, naturalnie tajne, konta w bankach w neutralnej Szwajcarii.

Ale to jest groszek. W poważnej skali mówiąc, Szwajcaria zobowiązała się do kupowania 6 ton niemieckiego złota co miesiąc. Całość kryła koszty dostaw szwajcarskiej technologii, zagranicznych paliw, itd. Według zeznania dr. Landwehra, odpowiedzialnego za hitlerowski wydział wymiany dewizowej, wartość niemieckich wkładów w bankach szwajcarskich wyniosła pod koniec wojny ok. 15 bilionów (powtarzam bilionów) niemieckich marek.

Nie wiadomo – na razie! – co się z tym ogromnym, pochodzącym przeważnie z rabunku, majątkiem stało. Po wojnie, w 1946 roku, Stany Zjednoczone, Anglia i Francja zgodziły się na wypłatę przez Szwajcarię 60 milionów dolarów w złocie tytułem odszkodowania za całe zagrabione przez Hitlera mienie, ulokowane na szwajcarskich kontach. Trzy zwycięskie mocarstwa zobowiązały się do przekazania tego odszkodowania nie okradzionym osobom, a obrabowanym państwom. Nic dziwnego. „Osoby” albo nie żyły, albo nie



miały numerów kont, albo nie wiedziały, że w ogóle jest o czym mówić, albo, kiedy wiedziały, że jest o czym mówić, to banki szwajcarskie odpowiadały, że nie wiedzą o czym „osoby” mówią...

#### d) Nie mają czasu

Ale dzwon już bił. Teraz to już była tylko kwestia czasu. Musiała przyjść, i przyszła, chwila (nie całej, ale jednak) prawdy. Szwajcaria broniła się słabo. Ustępowała powoli, ale wyraźnie. Stała na coraz wyraźniej straconej pozycji. Była w impasie. Żeby z niego wyjść, zgodziła się na powołanie międzynarodowej komisji kierowanej przez amerykańskiego bankiera Volckera (uczestniczy w niej Władysław Bartoszewski). „Śledztwo potrwa co najmniej pięć lat” – pocieszali się w Zurichu. Nie potrwa. „Ci co przeżyli holokaust – powiedziały D’Amato – nia mają tyle czasu”.

Gubernator Nowego Jorku zadał *coup de grace*. Uprzedził, że banki szwajcarskie ryzykują utratą licencji na operowanie w Nowym Jorku, czyli, brutalnie mówiąc, na Wall Street i że, jeżeli banki szwajcarskie nie otworzą archiwów dotyczących kont ofiar hitlerowskiego ludobójstwa, to nowojorskie *avoir*’y zostaną wycofane z kont w Szwajcarii. To wszystko, nie wspominając nawet o Izraelu, który nie zaniechał niczego, w sensie dyplomatycznym i finansowym, aby przekonać Szwajcarów, że blokując sprawę ujawnienia i odszkodowania za mienie zrabowane przez Hitlera, a owocujące przez 50 powojennych lat, Szwajcaria robi bardzo zły interes.

Takie argumenty nad Lemanem mają swój ciężar. W złocie, dosłownie i w przenośni. Szwajcaria dała się w końcu przekonać. W lutym tego roku, trzy największe banki szwajcarskie ogłosiły, że tworzą fundusz ofiar holokaustu, przeznaczony na pomoc głównie dla Żydów, ale także Cyganów, homoseksualistów i innych, tych zwłaszcza, którzy są w potrzebie i nie korzystali z rozmaitych form pomocy już od dawna w toku. Fundusz, który w żadnym wypadku nie może być utożsamiany z jakkolwiek formą odszkodowania („nie mamy za co” – podkreśla się w Bernie), ma być zarządzany

przez siedmioosobową dyrekcję z obywatelem szwajcarskim na czele i radę (18 członków), składającą się po połowie ze Szwajcarów i osób rekomendowanych przez organizacje żydowskie. Za zgodą rządu szwajcarskiego, wrażliwego na ten gest „zgodny z humanitarną tradycją Szwajcarii”, trzy banki przeznaczyły na fundusz 100 milionów fr. szw. (70 milionów dolarów) i myślały, że sprawa jest na dobrej drodze.

Ale D’Amato nie dał się nabrać. Za mało, powiedział. Szwajcarzy, dodał, nie tworzą funduszu z potrzeby serca, a ze strachu przed konsekwencjami ich uporu. Nie musiał długo czekać na ciąg dalszy. 5 marca prezydent Szwajcarii Arnold Koller wystąpił przed połączonymi izbami federalnego parlamentu w Bernie i oznajmił, że w porozumieniu ze Szwajcarskim Bankiem Narodowym (BNS), powstanie „Szwajcarska Fundacja Solidarności”, mająca udzielać pomocy wszystkim ofiarom niesprawiedliwości i nietolerancji, m.in. ofiarom holokaustu. Fundacja, zdaniem prezydenta, czerpać będzie swe środki finansowe z dochodów płynących z części zasobów złota spoczywających w sejfach BNS. Wielkość docelowa finansów Fundacji określona została na ok. 7 miliardów franków szwajcarskich, czyli ok. 5 miliardów dolarów.

Mniejsza o dyskusje, już w toku, dlaczego tak późno, dlaczego w ogóle, dlaczego dopiero pod presją... Mniejsza o zarzut, który także się już pojawił, że „Szwajcarzy chcą kupić rozgrzeszenie za pieniądze, które nigdy do nich nie należały”. Mniejsza także o głośne protesty w Szwajcarii, gdzie – być może – dojdzie do referendum w tej sprawie, którego wyniku nie należy przesądzać. Ważne, że zapadła nareszcie prawidłowa decyzja, materialnie na poziomie potrzeb, i moralnie na poziomie wstydu, jeżeli w ogóle można obie te „skale potrzeb” próbować określić. Ta decyzja nikogo nie rozgrzesza, ale pozwala zacząć naprawiać krzywdy. To nie koniec sprawy, to zmiana jej charakteru. Pokolenie ofiar, zbrodniarzy czy świadków zbrodni wymiera. Ich następcy może sprawią, że zbrodnia nie zostanie zapomniana.

## I. PAMIĘTAĆ CZY ZAPOMNIEĆ

Historia brudnego złota przevaliła się przez całą właściwie prasę światową, głównie – to jasne – europejską (stąd pochodziły ofiary i oprawcy, poszkodowani i beneficjenci), ale także amerykańską. Wielkie amerykańskie *news*-magazyny (z których obficie, bez kompleksów, ale z wdzięcznością i podziwem za jakość jej *investigations*, czerpałem faktografię) poświęciły tej awanturze ogromnie dużo uwagi. Sprawa była sama w sobie bardzo ciekawa, odkrywała przed czytelnikiem za oceanem ukryte oblicze wojny w Europie, odpowiadała w trafny sposób na oczekiwania sporego elektoratu żydowskiego, ale wpisana była także w poszukiwania nowego sensu amerykańskiego *leadership*'u na świecie. Ambicja USA wykacza już poza bezdyskusyjną dominację w strefie polityki, wojska czy pieniądza, a w coraz większym stopniu chce działać na terenie spraw człowieka, dziedzinie bardziej szlachetnej i bezinteresownej.

Czy można, na podstawie zebranego materiału, pokusić się o jakąś syntezę wykraczającą poza ramy czystej opowieści? Niełatwo, ale można. Tu nie chodzi o epizod. To jest prawdziwa epopeja o ukrytym obliczu wielkiego rozdziału naszych dziejów, bardziej inspirująca i zapładniająca do rozmyślań o wojnie i ludziach niż grube tomy naukowego wykładu. Jednemu ze swych artykułów w tej serii *Time* dał krótki, ale wymowny podtytuł: „Kiedy Szwajcarzy zaczną pamiętać, to świat zacznie zapominać”. Powoli...

### a) Defloracja Szwajcarii

Pierwszy wniosek, który narzuca się w rozmyślaniu nad historią brudnego złota, to konieczność demitologizacji szwajcarskiej cnoty, a przede wszystkim jej tak sławnej i opiewanej neutralności. Jej mit opierał się o tezę, że Hitler tolerował tę neutralność ze strachu: bał się zaatakować Szwajcarię, która, w tej heroicznej wersji, miała stanowić jeden wielki, górzysty, ufortyfikowany – nie do przebycia i przebycia –

bastion, taki wielki, nie do pokonania, Wilhelm Tell. To (niewątpliwie zresztą) determinacja, dzielność i odwaga Szwajcarów miały więc sprawić, że Hitler, odwrotnie niż Hannibal, powstrzymał swe *panzer*-dywizje przed próbą przejścia Alp.

Ze Alpy były ufortyfikowane, Szwajcarzy dzielni i odważni, że byli gotowi do obrony ich neutralności i istnienia ich kraju w ogóle, o czym uczy się dzieci w szkołach, nie ulega kwestii. Z małą poprawką, Hitler nie zaatakował Szwajcarii nie ze strachu przed „alpejską redutą”, a z wyrachowania. Władze Szwajcarii – a jeszcze bardziej bankierzy – wiedziały, że ryzyko hitlerowskiej inwazji jest niewielkie i właściwie zależne nie od sztabu Hitlera, a od „jakości” i powabów szwajcarskiej neutralności. Ta neutralność, jak się okazuje, opłacała się obu stronom. Obie strony robiły na neutralności dobry interes. Dla Niemców, „bonanza” skończyła się w 1945 roku. Szwajcarom, jak wynika z historii brudnego złota, interes ciągle jeszcze, 50 lat po wojnie, przynosi dochód.

Hitler przekształcił Szwajcarię w część swojej maszyny wojennej. „Praw” w bankach szwajcarskich zagrabione złoto i dewizy. Szwajcarzy wiedzieli, skąd pochodzi złoto, wiedzieli, że sztabki przywożone z Berlina mają fałszywe metryczki i numery, bo albo są to przetopione zęby i obrączki żydowskie, albo prawdziwe sztabki zrabowane w skarbcach Belgii czy Holandii. To tym złotem, a nie „strachem przed fortyfikacjami”, Hitler płacił za płynące nieprzerwanie tunelem St. Gottharda dostawy z Włoch do Niemiec i odwrotnie, paliwa, stali, żywności, no i, nie ma co się wstydzić, znanej ze swojej wysokiej precyzji, broni szwajcarskiej, np. szybkostrzelnych dział przeciwlotniczych z Oerlikon.

To banki szwajcarskie prowadziły, kiedy trzeba to było robić – dyskretnie, bieżące rachunki hitlerowskiego handlu z zagranicą, to dzięki pośrednictwu banków szwajcarskich Hitler mógł w czasie wojny prowadzić interesy z całym właściwie światem.

Nie bądźmy niesprawiedliwi. Tu, jak już wspomniałem, nie chodzi jedynie o Szwajcarię. Szwecja jest w podobnej sytuacji, Portugalia także. Neutralność to był śmierdzący, ale dobry interes. I za górami. I za morzem. Ktoś kiedyś i to opise...

Obrońcy dobrego imienia Szwajcarii powołują się na liczne indywidualne gesty humanitarne, na liczne przypadki udzielania schronienia prześladowanym, na faktyczną bezradność małego kraju wobec ogromu potęgi Hitlera. Słusznie, nie wolno o tym zapominać. Powołują się także, i znowu słusznie, na cynizm i wyrachowanie innych krajów i rządów (kto nie wpuścił statku „Exodus”?) Znowu słusznie. Pod tym pręgierzem Szwajcaria nie powinna stać sama. I o tym także nie wolno zapominać.

Ale jak ocenić nie narzucone groźbami Reichu postępowanie władz Szwajcarii wobec uchodźców żydowskich z hitlerowskiego „Lebensraumu”? Czy to Hitler kazał Szwajcarom ogłosić, że *Das Boot ist voll* (łódź jest pełna) i zawrócić z powrotem, z granicy szwajcarskiej, prosto w łapy gestapo, na pewną śmierć, ponad 30.000 żydowskich nieszczęśliwych uchodźców z Niemiec? Czy to Hitler nakazał Heinrichowi Rothmundowi, szefowi policji neutralnej Szwajcarii, zasugerować władzom niemieckim w 1938 roku, aby paszporty niemieckich Żydów opatrywane były specjalną, czerwoną! (żółta przyjdzie później) pieczęcią, tak aby szwajcarska straż graniczna nie miała kłopotu z ich rozpoznaniem i mogła, bez zbędnych ceregieli, szybko wrzucić ich w los, który ich czekał w Niemczech? Czy to nieprawda, że pewien oficer policji szwajcarskiej, który był mniej od swych przełożonych przekonany o blaskach szwajcarskiej neutralności i, wbrew rozkazom z góry, wpuścił kilkuset uchodźców, został wylany z pracy i „rehabilitowany” (niby z czego!) dopiero po kilkudziesięciu latach. Właściwie *post-mortem!* Czy to na rozkaz Hitlera, urzędnicy banków szwajcarskich przekazywali do... gestapo nazwiska właścicieli kont, tak aby hitlerowcy mogli od nich wydusić wymuszone szantażem śmierci upoważnienia do przejęcia zawartości kont i sejfów?

Według prac młodych historyków... szwajcarskich, dostawy strategicznych materiałów dla agonizującego Reichu trwały jeszcze trzy tygodnie przed samobójstwem Hitlera. Według nich, bez kolaboracji (oni się tego słowa nie boją) władz Szwajcarii czy Szwecji Hitler musiałby skapitulować znacznie wcześniej. Spokojnie, z goryczą, ale bez wahania, opowiedziane relacje tych młodych historyków i dzien-

nikarzy szwajcarskich na temat bardzo ciemnych stron historii ich własnego kraju wypełniły znakomity program magazynu *Temps Présents* telewizji Suisse-Romande w marcu 1997. Bardzo gorąco go polecam. Tylko poprzez otwarte przywołanie zbrodni własnego kraju można osiągnąć coś w rodzaju moralnego i intelektualnego wyzwolenia.

Żydowskie konta przeżyły ich właścicieli. I przynosiły dochód przez następne lat 50. Szwajcarom, nie Żydom. Trzeba było aby rabin Singer trafił na książkę Erdmana, aby senator D'Amato szukał nowego „szwungu”, a Bronfman swych żydowskich korzeni, żeby świat zaczął dowiadywać się części prawdy, a Szwajcarzy wyrazili „głęboki żal za niewybaczalne błędy” wobec uchodźców żydowskich, a potem zgodę na zbadanie czy, jak i którym sierotom po ofiarach holokaustu można będzie i trzeba oddać część zarobionych na „neutralności” pieniędzy.

To wielka chwila. Nie było to takie proste. Poprzedni szwajcarski prezydent oskarżył „amerykańskie lobby żydowskie” o szantaż i wymuszenie. Były szwajcarski ambasador w Waszyngtonie uznał, że Żydzi wypowiedzieli wojnę Szwajcarii. Obaj przeprosili, incydent się skończył, ale sprawa trwała. Coś się przełamało dopiero kiedy Thomas Borer, ambasador specjalnie wyznaczony do negocjowania z Żydami, powiedział, że wrogiem Szwajcarii nie są Żydzi ani Amerykanie. Wrogiem Szwajcarii jest, według Borera, sposób w jaki Szwajcarzy odczytują i interpretują własną historię, i jakie z tej lektury wyciągają wnioski. Od tej chwili można sądzić, że szwajcarska, tak selektywna i uśpiona pamięć zaczęła nareszcie funkcjonować na nowo. Kiedy świat zacznie zapominać? Za wcześniej aby o tym mówić...

### c) Czas zrobi swoje

Drugi wniosek to ten, że przed historią uciec się nie da. Poszukiwanie prawdy może naturalnie trwać, czasem bardzo długo, ale uniknąć się jej nie da. W przypadku brudnego złota można się pokusić o jakieś nie tyle uzasadnienie tej zwłoki (tego nikt nie potrafi), ale jej wytłumaczenie. Można przywołać wiele czynników.

Najpierw czas. Trzeba było 50 lat aby otworzyły się archiwa.

Potem psychologia. Żydzi (i nie tylko oni) byli tak szczęśliwi, że w ogóle przeżyli, iż nie były im w głowie rewindykacje materialne, zwłaszcza spadkowe i to w Szwajcarii. Kto z tych, którym udało się przeżyć, w ogóle wiedział o jakichś kontaktach za granicą, a jeżeli wiedział, to kto o tym wspomniał kiedy jeszcze nie wierzył, że żyje naprawdę.

I wreszcie polityka. Gorąca wojna z Hitlerem tak szybko przeszła w zimną wojnę ze Stalinem, że nowe priorytety zastąpiły w świadomości ludzkiej otwarte rany wojny. W istocie, dopiero po krachu drugiego europejskiego totalitaryzmu, pamięć mogła upomnieć się o swoje prawa. I się upomniała.

Szwajcaria i nie jej złoto, tak jak – w innym wymiarze – Polska i przechwycone przez nią po cichu i łobuzersku szwajcarskie konta polskich wymordowanych Żydów, to tylko fragmenty większej „przygody”, w której stawką jest nie tylko pieniądź. Gdyby tak było, sprawa byłaby prosta: Szwajcarzy (czy Polacy) oddaliby część forsy i byłoby po krzyku. Jak mówi Elie Wiesel: „Żadna suma pieniędzy nie przywróci życia jednemu choćby żydowskiemu dziecku. Ale pieniądź w tym wypadku to symbol. To część całej sprawy. Tej części lekceważyć nie należy, bo powróci później, silniej i gwałtowniej”.

To prawda, i cudze zagrabione pieniądze zwrócić trzeba. W istocie jednak chodzi o coś, czego się obliczyć nie da: o moralność, o prawdę i pamięć. Do niej zawsze w końcu świat dojdzie, a raczej to ona zawsze w końcu świat dopadnie.

To na tej „powracającej fali” pamięci i prawdy pojawiła się w 1996 roku książka Daniela Goldhagena, młodego historyka z Harvardu, która prowadzi do wniosku, że odpowiedzialnymi za okrucieństwa i zbrodnie wobec Żydów byli nie tylko „ideowi” hitlerowcy, ale także „zwyczajni” Niemcy. I że u źródła udziału „zwyczajnych”, pospolitych Niemców w hitlerowskim ludobójstwie był powszechny antysemityzm, głęboko zakorzeniony w naturze niemieckiej, powszechny, żeby się tak wyrazić, „niemiecki konsensus, że wpływy żydowskie należy z Niemiec wyeliminować”. Niemcy, twierdzi Goldhagen, „wiedzieli co ich władze i ich rodacy

robili z Żydami, a probowali to i kiedy tylko była okazja, udzielali tej akcji czynnej pomocy”.

Na 600 stronicach Goldhagen np. opowiada, jak „zwyczajni Niemcy” spontanicznie włączali się do akcji bojówek nazistowskich w toku „nocy kryształowej” w 1938 roku, czy jak niemieckie organizacje lekarzy zaczęły usuwać swych żydowskich kolegów „zanim jeszcze władze centralne wydały odpowiednie zarządzenia”. Goldhagen nie jest bardziej litościwy dla kościołów chrześcijańskich, katolickiego czy protestanckiego, które (przykładów cytuje sporo) nie tylko nie protestowały, ale odwrotnie, nieraz współpracowały z oprawcami. Goldhagen powołuje się również na dzieje osławionego batalionu nr. 101, odpowiedzialnego za wyjątkowo okrutne masakry Żydów w Polsce, na Ukrainie i u Bałtów. A kto był w batalionie nr 101? Właśnie bardzo „zwyczajni” Niemcy, ojcowie szczęśliwych rodzin, których nic, z wyjątkiem właśnie „naturalnego” niemieckiego antysemityzmu, nie predestynowało do roli (jak sami ją w listach do żon czy matek opisują) katów bezbronnych Żydów.

Książka Goldhagena wywołała szok i ostre polemiki w Niemczech. Zrozumiałe. Ukazała się w 1996 roku, kiedy Niemcom wydawało się, że dyskusja jest już zamknięta, sprawa należy do przeszłości, i nowe pokolenia niewinnych bezpośrednio Niemców mają to wszystko z głowy. Jeszcze nie mają... Wystarczy wspomnieć o awanturze wokół objeżdżającej Niemcy wystawy o zbrodniach Wehrmachtu w czasie drugiej wojny światowej. To nie Goldhagen, a wstrząsające zdjęcia, dokumenty (listy i wspomnienia) obalają mit „niewinnego” Wehrmachtu i udowadniają, jakby na zamówienie Goldhagena, że armia niemiecka była nie tylko instrumentem agresji, ale także maszyną do egzekucji jeńców wojennych, zakładników i Żydów. No, ale Polakom akurat tego udowadniać nie trzeba. Polacy to wiedzą i bez wystawy...

#### IV. WYBUCHOWA MIESZANKA

Na koniec, delikatna sprawa. „Czy połączenie moralności, Żyda i złota, pyta *Time*, nie niesie ryzyka obudzenia antysemickich stereotypów?” Odpowiedź nie jest trudna:

niesie. Ale nie obudzenia stereotypów. One nigdy nie usnęły.

Dzisiaj, kiedy cierpi szwajcarska kieszeń, rzeczywiście na murach w Zurichu pojawiają się nieudolnie wymalowane swastyki. Ale kto był bardziej pazerny na złoto: Żydzi, którzy w zaufaniu powierzyli je bankom szwajcarskim lub których „złoto” (zęby, obrączki, kosztowności itp.) te banki od hitlerowców przejęły, czy bankierzy szwajcarscy, którzy tym złotem obracali i robili, w czasie wojny i przez 50 lat po wojnie, pieniądze na fakcie, że właściciele tego „złota” zostali wymordowani?

Le Pen we Francji nie czekał na pożydowskie złoto, aby próbować (ze skutkiem) werbować przy pomocy antysemitycznych hasł głosów bezrobotnych i sfrustrowanych. To nie w sporze szwajcarsko-żydowskim Le Pen znalazł natchnienie do zmodernizowania „Protokołów Mędrców Syjonu” i oskarżenia prezydenta Chiraca o działanie za „ogromne żydowskie pieniądze” i w porozumieniu z „żydowską lożą Bnaj-Brith” w ramach masońsko-żydowskiego spisku światowego. Ujawnienie, że władze Paryża przejęły od okupanta setki żydowskich kamienic i że kilka tysięcy pożydowskich dzieł sztuki znajduje się do dziś w muzeach francuskich, przysporzy może Le Penowi amunicji, ale czy z tego powodu Chirac nie miał uznać odpowiedzialności państwa francuskiego za reżym Vichy?

W Polsce w 1946 roku w Kielcach Żydzi zginęli za mord rytualny, nie za żądanie zwrotu czegokolwiek. W marcu 1968 roku Żydzi polscy nie mieli żadnych rewindykacji, ani w złocie, ani w niczym innym. A antysemitami obrodziło.

Pani Madeleine Albright, pierwsza kobieta na stanowisku sekretarza Stanu w USA, osiągnęła w wieku lat 60 szczyt dyplomatycznej kariery w najpotężniejszym kraju świata. Osiągnięcie tym bardziej wybitne, że pani Albright jest z domu Magdalena Korbel, urodzona w Czechosłowacji, która wraz z ojcem, ambasadorem Czechosłowacji w Belgradzie, dwa razy uciekała z ojczyzny: raz w 1938 roku przed Hitlerem, i drugi raz w 1948 roku, przed Stalinem. W USA panna Korbel, katoliczka, znakomicie ukończyła studia, weszła do profesury, a potem do polityki, po stronie partii demokratycznej. Wyszła za mąż za pana Albrighta, potomka amerykańskiej patrycjuszowskiej rodziny, i musiała wtedy

przejsć na protestantyzm. Urodziła troje dzieci, po czym mąż ją zostawił. Ale, twarda sztuka, Madeleine się nie dała: kiedy Clinton – którego była doradcą w toku kampanii wyborczej – został prezydentem USA, pani Albright została ambasadorem USA przy ONZ, a kiedy wygrał drugi mandat, została szefem całej dyplomacji amerykańskiej. Nieźle, jak na emigranckie dziecko. Ale dziennikarze chcieli o niej wiedzieć nieco więcej. Poszli jej śladem. Do tyłu. Odwiedzili miejsce urodzenia jej przodków. Odkryli, że troje z rodziców jej rodziców zginęło w Oświęcimiu, że inni członkowie jej rodziny zamordowani zostali w obozie w Terezynie, że po prostu, wszyscy byli Żydami.

Pani Albright była, jak powiedziała, zaskoczona. Urodziła się jako katoliczka, potem była protestantką, nigdy nie była Żydówką. Oświęcim? Ona o tym nie wiedziała, ojciec tłumaczył tylko, że jej przodkowie byli ofiarami zawieruchy wojennej.

Według sondażu CBOS ze stycznia 1977 roku, prawie połowa Polaków ocenia liczbę Żydów w Polsce na od 100.000 do ponad miliona i jest zdania, że mają oni zbyt wielki wpływ na życie polityczne, gospodarcze i na media. Czyli na Polskę. A przecież nikt z tych co tak myślą nie zna Bronfmana i nie jest współwłaścicielem szwajcarskiego złota. W 1997 roku Żydów w Polsce nie ma, a *Kultura* zasypywana jest pisemkami i ulotkami przestrzegającymi przed „żydowskim spiskiem” z Kwaśniewskim i Wojtyłą na czele. Czy trzeba złotem budzić stereotypy, aby przewidzieć z jaką siłą antysemityzm wkroczy do kampanii wyborczej, kiedy w Polsce także, jak we wszystkich innych krajach Europy, a także Ameryki, wejdzie w życie ustawodawstwo w sprawie restytucji?

W istocie, w Szwajcarii, Polsce, czy jak powiedział Sartre, „we Francji nie ma kwestii żydowskiej, jest kwestia francuska” (szwajcarska, polska – niepotrzebne skreślić). Aby, powiadają, przełamać ciężar przeszłości, ofiary powinny móc zapomnieć, kaci natomiast muszą pamiętać. Tymczasem stało się na odwrót. Tylko, że kiedy kat zapomina, to ofiary się przypominają. Pukają do drzwi. Do pamięci. I do poczucia sprawiedliwości. Do antysemityzmu Żydzi nie są potrzebni. Antysemita wystarczy.

*Newsweek* cytuje Adama LeBora, autora jednej z lic-

nych książek na temat stosunku Szwajcarii i nazizmu. „Znamy od dawna dokładnie – pisze Le Bor – rozmiar hitlerowskich zbrodni. Dopiero jednak dzisiaj poznajemy ich absolutnie niewiarygodną chciwość”. To odkrycie dotyczy nie tylko hitlerowców.

Szwajcarzy się skarżą, że żydowska presja była zbyt agresywna. Może i była. Ale bez tej presji, przez 50 lat, Szwajcarzy, ani nikt inny, nie zrobili najmniejszego gestu. Kiedy Alain Juppé, premier Francji, dowiedział się o żydowskich kamienicach i dziełach sztuki, od razu, choć nikt wobec nich nie zgłosił postulatu restytucji, nakazał dokonania ich makabrycznego remanentu. Tu, powiedział Juppé, „nie chodzi tylko o gest moralnego zadośćuczynienia, ale także o obowiązek narodowy”. On wie, że bez tego zadośćuczynienia zerwanie z Vichy nigdy nie będzie całkowite. Że po to, aby powstrzymać fałg Le Pena, nie wystarczy mu złorzeczyc. Trzeba się od niego różnić.

## V. EPILOG

Krzysztof Meili, który przekazał władzom dokumenty świadczące o współpracy banków szwajcarskich z Hitlerem, a które to dokumenty owe banki przeznaczyły, wbrew prawu, na spalenie, został zwolniony karnie z pracy, „za niewypełnienie obowiązków służbowych”. Dyrektorzy banków, którzy z pogwałceniem prawa dokumenty te na spalenie przeznaczyli, pozostali na stanowiskach.

## VI. MORAL

Niektórzy bankowcy szwajcarscy uważają, że zadośćuczynienie rewindykacjom żydowskim groziłoby bankructwem ich banków. Bankructwa bywają różne. Najgorsze jest jednak bankructwo moralne. W Szwajcarii. I wszędzie indziej.

Pisane w Brukseli, 12 marca 1997

Leopold UNGER

## W drodze do następnego Millennium

Prezydent Clinton zaprzysiężony 20 stycznia, w mowie inauguracyjnej przedstawił w jasnych kolorach obraz Ameryki i jeszcze raz rzucił swój ulubiony slogan o „budowie mostu” do trzeciego tysiąclecia. Znalazły się jednak w tekście przemówienia gorzkie słowa pod adresem opozycji atakującej Demokratów, oraz wyznaczenie, że kraj dręczą problemy, które on, prezydent, w następnej kadencji chce rozwiązać.

Opinia publiczna przyznaje słuszność Clintonowi, że Ameryka ma solidne podstawy do „budowy mostu”, po którym chce przejść do następnego Millennium, w nowy okres dobrobytu i ładu społecznego, nie tylko sama lecz ze swoimi partnerami. W swojej mowie Bill Clinton wspominał o amerykańskich kłopotach ostrożnie i ogólnikowo, lecz powszechnie wiadomo, że Amerykę, ten kraj ludzi bardzo bogatych a także bardzo ubogich, tę potęgę przemysłową, męczącą ciężkie choroby, których symptomy przysłania wrodzony Amerykanom optymizm.

Dla starzejącej się i już nie zawsze sprawnej demokracji wstrząsy socjalne, radykalizm społeczny, tarcia na tle rasowym, gangsterstwo i narkomania dewastująca młode pokolenie są równie groźne, co zaledwie dostrzegany przez szersze masy społeczeństwa i mało rozumiany kryzys budżetowy.

### Finanse

W wyniku nieustających deficytów, których kolejne rządy od czasu drugiej wojny nie potrafiły zlikwidować, Stany Zjednoczone stały się krajem o największym zadłużeniu na świecie. Dług państwowy wynosi obecnie blisko 6 bilionów dolarów. (Bilion = 1000 miliardów, czyli jest to cyfra z 12 zerami). Chroniczny deficyt zmusza ministerstwo skarbu do zaciągania pożyczek w drodze sprzedaży obligacji. Roczne

spląty samych odsetek sięgają 400 miliardów, a dług rośnie z szybkością trzech czwartych miliona na minutę!

Ameryka żyje na kredyt pożyczając od własnych obywateli, inwestorów i banków zagranicznych. Niebezpieczeństwo polega na tym, że w razie zachwiania równowagi gospodarczej, wierzyciele mogą domagać się zwrotu kapitału. Ameryka posiada wprawdzie olbrzymie zaplecze ekonomiczno-surowcowe, lecz nie jest ono racjonalnie wykorzystywane przez państwo. Ralph Nader, obrońca praw konsumenta i kandydat na prezydenta w ostatnich wyborach z ramienia małej Partii Zielonych, wprost zarzuca rządowi subsydiowanie wielkiego przemysłu z zasobów narodowych, których państwo jest powiernikiem a nie właścicielem. I tak sprzedaje się za nominalną i śmieszłą cenę 5 centów za sztukę drzewa budulcowe z parków narodowych.

### *Marnotrawstwo pieniędzy*

W Waszyngtonie krąży takie porzekadło: „Polityka – to sprawa lokalna”. Należy przez to rozumieć – interes lokalny. Prawodawcy dbają przede wszystkim o własne podwórko i faworyzują wyborców w swoich dystryktach, w pierwszym rzędzie bogatych, bo tacy finansują kampanię wyborczą. O tym jak w Waszyngtonie dysponują publicznymi funduszami, świadczy kilka przykładów. Kongres uchwalił takie wydatki\*:

– 3 miliony dolarów dla prywatnego właściciela na przeróbkę statku w Baltimore na pływającą restaurację;

– 33 miliony dolarów na przepompowanie z morza piasku celem poszerzenia plaży prywatnego hotelu w Miami na Florydzie;

– 11 milionów na budowę prywatnej przystani dla statków w Cleveland.

I jeszcze:

– 2 miliony dolarów na budowę repliki starożytnej łodzi hawajskiej i pół miliona na replikę egipskiej piramidy;

\* Przykłady zaczerpnięte z dobrze udokumentowanej książki Martina L. Grossa „The Government Racket – Washington Waste from A to Z”.

– 200 tysięcy na kurs dla studentów: „Jak należy patrzeć na telewizję”;

– 100 tysięcy na opracowanie instrukcji: jak unikać spadających szczątków pojazdów kosmicznych;

– 57 tysięcy na zakup kart do gry tłoczonych złotem, dla pasażerów rządowego samolotu „Air Force Two”.

Krytycy bezsensownego szastania pieniędzmi podatnika domagają się drastycznych ograniczeń wydatków widząc w tym jedyną drogę do zmniejszenia a nawet zlikwidowania deficytu. Niestety, ich głosy są wołaniem na puszczę. W tej sytuacji, kiedy wydatki stale rosną, nawet zaciąganie dużych pożyczek na rynku finansowym nie wystarcza. Wobec tego Ministerstwo Skarbu manipuluje funduszem powierniczym Ubezpieczeń Socjalnych (*Social Security Fund*). Rząd „pożycza” z tego funduszu stanowiącego zabezpieczenie dla emerytów, a w kasie zostawia weksle. Przy ogromnych niedoborach budżetowych są to weksle bez pokrycia.

### *W poszukiwaniu naprawy*

Od dłuższego czasu toczy się w Ameryce debata jak zabezpieczyć fundusz świadczeń socjalnych dla milionów Amerykanów przyszłych pokoleń. Obliczono, że z pieniędzy inkasowanych na ten cel przez Federalny Urząd Podatkowy i inwestowanych w emisjach pożyczek państwowych, fundusz wyczerpie się w ciągu mniej więcej 30 lat. Powołana przez rząd specjalna komisja do rozwiązania tego dylematu niedawno oznajmiła, że nie jest tak źle jakby się mogło wydawać i zaproponowała następujące rozwiązanie: 40% funduszu inwestować na giełdzie papierów wartościowych, a 60% zostawić w obligacjach skarbu państwa.

Ten projekt wywołał entuzjastyczną reakcję firm maklerskich, gdyż oznaczałoby to rzucenie na rynek około 4 bilionów dolarów. Poza olbrzymią prowizją maklerską skutków takiej kolosalnej transakcji nie da się przewidzieć. Na pewno byłby to krok inflacyjny, gdyż stworzenie sztucznego popytu na udziały w przemyśle, handlu i usługach, spowodowałoby hossę na giełdzie zupełnie nieuzasadnioną stosunkiem ceny akcji do ich zysku. Ponadto zaangażowanie się

skarbu państwa w inwestycjach giełdowych zburzyłoby dotychczasową zasadę funkcjonowania rynku kapitałowego, gdyż w interesie państwa leżałoby utrzymywanie stałej hossy. Co gorsza, wiązałoby decyzje polityczne z operacjami giełdowymi.

### Państwo opiekuńcze czy leseferyzm socjalny?

Dyskusja na temat reformy systemu świadczeń społecznych, który pochłania największą część budżetu federalnego, ujawniła bardzo wyraźnie dwie szkoły myślenia co do zakresu ingerencji państwa w życie społeczeństwa.

Od czasu prezydentury Roosevelta Ameryka zaczęła przekształcać się powoli i mimo głośnych zaprzeczeń, w państwo opiekuńcze. To Franklin Delano Roosevelt wprowadzając swój *New Deal* w latach kryzysu gospodarczego, zapoczątkował wypłacanie zasiłków bezrobotnym ze skarbu państwa. Za jego prezydentury zaczęły się subsydia dla rolników kompensujące ograniczenie uprawy roli. I wreszcie Roosevelt stworzył system ubezpieczeń społecznych na mocy ustawy z 1935 roku, „Social Security Act.” Rozbudowana później przez Demokratów sieć opieki chroniąca ludzi ubogich, chorych, upośledzonych w drodze różnego rodzaju świadczeń i zapomóg, jest coraz częściej przedmiotem krytyki ze strony amerykańskiej konserwy określającej *Welfare State* mianem „socjalizmu”. Atakuje się nie samą zasadę pomocy dla najbardziej potrzebujących, lecz sposób jej udzielania w trakcie którego setki milionów dolarów toną w bezdennych kanałach biurokracji. Konserwatywna szkoła chce reform celem przeniesienia odpowiedzialności za opiekę społeczną z państwa na obywateli. Krytycy wtrącają się państwa w „sprawy osobiste”, chętnie posługują się typowym amerykańskim sloganem: *Do it yourself*.

Nie bez racji przeciwnicy tych tendencji pytają: A co zrobić z ludźmi, którzy nie potrafią lub nie mają możliwości zabezpieczenia się na starość? Co zrobić z niezdolnymi do pracy, chorymi, z ofiarami katastrof naturalnych jakie nawiedzają okresowo Stany Zjednoczone? Ale kiedy „siła wyższa” krzykuje plany człowieka nawet zajadli krytycy ingerencji

rządowej podnoszą krzyk jeżeli państwo zbyt opieszale przychodzi z pomocą dla okręgów nawiedzonych trzęsieniem ziemi w Kalifornii czy huraganami na Florydzie.

Znany ekonomista, laureat nagrody Nobla, Paul Samuelson ujął cały problem krótko i rzeczowo: wzrastająca dysproporcja zarobków między bogatymi a ubogimi wymaga utrzymania rozsądnej i skutecznej opieki społecznej, a nie jej likwidowania.

### Grupy nacisku w Kongresie

Swoiste dla ustroju amerykańskiego są funkcjonujące zupełnie otwarcie i legalnie grupy nacisku w Kongresie, tzw. *lobbies*. Polegają one na zdobywaniu dostępu do prawodawców, czy to w drodze prywatnej znajomości, czy na zasadzie przyjaznej wymiany usług, celem przeprowadzenia przez Kongres ustaw korzystnych dla jakiejś grupy politycznej, organizacji społecznej, a najczęściej dla wielkich koncernów przemysłowych. Korzyści dla przemysłu następują przeważnie w formie ulg podatkowych. Ludzie zajmujący się tym procederem rekrutują się z byłych wyższych urzędników państwowych lub członków Kongresu, którzy zakończyli swoje kadencje. Ich najcenniejszą kwalifikacją są znajomości i kontakty, za co liczą sobie drogo.

*Lobbying* jest regulowany ustawowo. Zarejestrowanych lobbistów jest siedem tysięcy. Jedna z podkomisji Senatu w sprawozdaniu za rok 1991 ujawniła, że sześć wielkich koncernów zbrojeniowych wydało ponad 5 milionów dolarów na opłacenie członków swoich grup nacisku. Jak widać, jest to zajęcie intratne. W 1989 roku siedemdziesięciu sześciu byłych kongresmenów dorabiało w ten sposób do swoich emerytur.

W samym założeniu *lobbying* jest jednym z wyrazów demokratycznego ustroju, w którym osoba prywatna, grupa osób lub instytucja, ma prawo do podejmowania inicjatyw w obronie własnych interesów. Praktyka wygląda inaczej niż teoria. Pokusy są duże a grupy nacisku dzieli tylko mały krok od łapownictwa i nadużyć.



### Demokracja na sprzedaż

Pewien kongresman w rozmowie z dziennikarzami powiedział: „Zdobycie mandatu poselskiego jest jednym z najboleśniejszych doświadczeń życiowych, gdyż zobowiązuje do wdzięczności”.

To szczere wyznanie charakteryzuje niebezpieczeństwa amerykańskiego systemu wyborczego. Miliony dolarów płyną z różnych stron na finansowanie kampanii wyborczej, a „okazywanie wdzięczności” prowadzi do sprzedawania się kandydatów grupom nacisku. Mówi się, że Kongres siedzi w kieszeni *Political Actions Committees* – komitetów politycznej akcji – reprezentujących wielki kapitał i wielki przemysł. Pieniądze pochodzą nawet z zagranicy. Przed ostatnimi wyborami prezydenckimi sakiewki Demokratów zasiłała dotacja indonezyjskiego koncernu Lipp Group, co wywołało niemały skandal polityczny. Słyszcy się coraz głośniejsze wołanie o zmianę przepisów finansowania wyborów i ukrócenia nadużyć. Pada hasło: Wyrwać demokrację z uścisku wielkiego kapitału!

Obecnie wpłaty na fundusz wyborczy kandydata są ograniczone ustawowo do 1000 dolarów od osoby prywatnej i do 5000 od komitetów akcji politycznej. Ograniczenia obchodzi się łatwo zasilając fundusz nie bezpośrednio do jego kasy, lecz pośrednio przez kasę partyjną. W ubiegłym roku przemysł i amerykańska finansjera pobiły wszystkie rekordy. Wydano na ten cel 242 miliony dolarów. Próby zreformowania systemu nie dają rezultatu, napotykają stale na opory w Kongresie. Któżby chciał podcinać gałąź na której siedzi?

Czy i jak Ameryka rozwiąże w nowym Millenium gromadzące się problemy? Czy konstrukcja „mostu Clintona” do następnego tysiąclecia będzie dość silna by sprostać rosnącym wymaganiom Amerykanów przywykłych do wysokiego standardu wytwórczości i usług? Czy uda się trudny i delikatny proces synchronizacji gospodarczego potencjału z zaspokojeniem potrzeb obywateli i państwa?

Warunkiem *sine qua non* rozwiązania dokuczliwych problemów – to przywrócenie równowagi budżetowej. Nie

jest to marzenie ściętej głowy. Likwidację deficytu da się osiągnąć w drodze polityki oszczędnościowej. Ameryka musi wreszcie zacisnąć pasa i skończyć raz na zawsze z marnotrawstwem będącym jedną z cech systemu, o czym tyle pisał w swoich bestsellerach zmarły niedawno Vance Packard. Należy położyć kres bezsensownemu wyrzucaniu pieniędzy na groteskowe imprezy przynoszące popularność kongresmenom, które cieszą publikę a kosztują państwo miliony. Dobra gospodarka jest podstawą ładu społecznego.

Mysząc o przyszłości dobrze jest sięgnąć do historii. Ameryka przechodziła zwycięsko burzliwe okresy; kolonizacja, wojna o niepodległość, ekspansja terytorialna, wojna domowa, rewolucja przemysłowa, emancypacja robotników. Bywało, że od klęski do triumfu dzielił ją jeden krok. W grudniu 1941 – Pearl Harbor, w czerwcu 1942 – Midway, rozgromienie floty japońskiej na Pacyfiku. To przejście od porażki do zwycięstwa w tak krótkim czasie stało się możliwe dzięki potędze państwa i walorom narodu. Jeden z japońskich admirałów powiedział: „Atakiem na Pearl Harbor obudziliśmy śpiącego giganta”.

Ameryka rzutuje na kraje postkomunistyczne Europy Środkowo-Wschodniej dwukierunkowo: jest atrakcyjna dla mas, jest pomocna dla struktur państwowych. Warszawskiej ulicy nie objawia się jednak z najlepszej strony. Ruchliwa dzielnica na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej przypomina reklamami przedmieście Chicago albo Detroit: „McDonaldy”, „Hamburgery”, „Fast Food”, „Hot Dogi”; młodzi ludzie w dzemperach i wiatrówkach z amerykańskimi napisami, *rock music*, zaśmiecanie języka niepotrzebną angielszczyzną.

To prawda, że w światowej konstelacji Ameryka ma największą siłę przyciągania. Pochodzi ona z bogactwa kraju i charakteru społeczeństwa. Amerykanie pomagają wyzwolonej od komunizmu Europie nowym wariantem „Planu Marshalla”. Udzielają milionowych pożyczek i dotacji, przysyłają doradców, szkolą specjalistów. Pomagają dlatego, że chcą, że uważają niesienie pomocy za swój obowiązek, że leży to w ich własnym interesie, no i dlatego, że lubią być lubiani.

## Kraj

# Z przedwyborczego notatnika

1.

Komisja Konstytucyjna właśnie przyjęła projekt Konstytucji. Czwieropartyjny kompromis (SLD-PSL-UW-UP) przetrzymał wszystkie ataki i w ostatnim tygodniu marca Zgromadzenie Narodowe powinno tekst przegłosować. Prezydent ma wprawdzie czas do namysłu, ale obiecuje działać prędko, aczkolwiek stratedzy wyborczy SLD nadal mają ochotę opóźnić referendum i połączyć z wyborami. Pozwoliłoby to wycisnąć maksymalną korzyść z porażki, jaką w kampanii konstytucyjnej poniosła prawica, zwłaszcza AWS, i to na własne żądanie (por. *Kultura* 3/97). Wystąpienie Mariana Krzaklewskiego w Zgromadzeniu Narodowym wywołało fatalne wrażenie. W comiesięcznym sondażu OBOP spowodowało spadek notowań AWS aż o 9 punktów, z czego 3 punkty zyskał ROP. Jest możliwe, że teraz część opozycji cichcem wycofa się z kampanii antykonstytucyjnej.

Pisałem już o zaangażowaniu Kościoła w tej kampanii (*Kultura* 3/97). Ks. Józef Tischner podsumował, choć okrężną drogą, skutki tego zaangażowania w recenzji z tomiku „Wyzwoleni, jeszcze nie wolni. Czeski katolicyzm przed i po 1989 roku” czeskiego księdza Tomaša Halika:

„Kościół włączył się w spór, używając jako kluczy pojęć następujących: prawo natury, *invocatio Dei*, wartość życia, naród. Jeśli się dobrze przyjrzeć, to pojęcia te należały również do języka „praw człowieka”, którym wczoraj mówiła antytotalitarna opozycja (...) Dlaczego dziś, gdy Kościół zabierając głos w sprawach konstytucji mówi tym samym językiem, budzie się niepokój i sprzeciw?” Zdaniem autora,

najpierw dlatego, że nie wiadomo, czy Kościołowi „chodzi o ukazanie etycznych granic władzy, czy o to, by z władzy uczynić instrument etyki”. Ale nawet gdyby to się wyjaśniło, „nie zostałyby tym samym rozwiązane wątpliwości co do natury Kościoła i sensu jego obecności w społeczeństwie”. „Spory o władzę sprawiają, że widok istoty Kościoła może się całkiem zamazać (...) Bóg preambuły zastąpi Boga Ewangelii, prawo natury zepchnie w cień prawo Ewangelii, świętość życia przysłoni świętość dobrej woli człowieka, godność narodu pochłonie godność każdej osoby ludzkiej. Ludzie będą pytać: gdzie jest Kościół i jego łaska? A Kościół skryje swą łaskę w cieniu sporów o politykę, jakby zbawienie potrzebowało polityki a nie polityka zbawienia” (*Gazeta Wyborcza*, 15-16 marca 97).

Prof. Michał Głowiński analizował niedawno „dwa języki”, którymi mówi Kościół w Polsce. Ks. Tischner jest najlepiej znanym użytkownikiem jednego z tych dyskursów. Ale nie trzeba sądzić, że drugim – jak mogłoby wynikać z wywodu Głowińskiego – władają najsprawniej tacy tylko kaznodzieje jak ks.ks. Rydzyk i Jankowski, czy takie pisma jak *Niedziela*. 9 marca w kościele św. Krzyża w Warszawie kazanie wielkopostne wygłaszał prymas Glemp. Poświęcone było „wypędzaniu ducha nieczystego”. Rozpocząwszy przytoczeniem za ewangeliami różnych cudów Chrystusowych ksiądz prymas zauważył: „Na tle naturalnej uczciwości ludzi z kręgu pogan jakże inaczej ukazują się postacie synów narodu wybranego, opanowane przez złych duchów. Chrystus, aby ludzi zbawić, musiał podjąć walkę z diabłem i właśnie ta walka idzie jak cień za wszystkimi czynami i działaniami Chrystusa”. Aliści: „W czasach Chrystusa opętania były zjawiskiem częstym, tak jak są konkretną rzeczywistością jeszcze dziś na misjach. Działanie złego ducha jest bardzo elastyczne i tam, gdzie struktury zła silnie oddziałują w społeczeństwie, tam jego obecność nie musi sięgać osób fizycznych (...) Złe duchy z czasów Chrystusa działały metodą – można powiedzieć – chałupniczą. Szatan dostosował swoją inteligencję do poziomu cywilizacyjnego. Dziś nie pozbywa się wcale metod prostackich jak przy naruszeniu miejsc świętych, zbezczeszczaniu cmentarzy czy lżeniu dobra, ale tak samo zręcznie może posługiwać się komputerami,

mass mediami i reklamą. Nadto urabia opinię: bądźcie tolerancyjni, bądźcie otwarci, dziś trzeba być postępowym...” Przykłady szatańskich knoń z ostatniego okresu to: „ograniczenia” stawiane bp. Głodziowi (chodzi zapewne o redukcję budżetu ordynariatu polowego przez Sejm); „rozpromienione twarze zwolenników zadawania śmierci dzieciom poczętym, gdy wreszcie ciało ustawodawcze zaspokoilo życzenie złego”; afisz do filmu Formana „Skandalista Larry Flint” („ale, Bogu dzięki, bo gdyby nie daj Boże, jakiś bluźnierca w miejscu imitacji Chrystusa umieścił Gwiazdę Dawida, upokorzenia mogłyby być większe” – dodał ks. Prymas w stylu Uriasza Heepa); „czasopismo *Nie*, niewątpliwie ośrodek złego ducha, cieszące się na zasadzie koleżeństwa uznaniem bardzo wpływowych ludzi” („nabywanie i czytanie tego pisma nie tylko przynosi wstyd, ale jest grzechem”) (cytat za *Słowem Katolickim* z 10 III).

Problem z językami Kościoła polega na tym, że demonologia prymasa jest dla mas, a Tischnera nauczanie o łasce – dla wybranych.

## 2.

Najbliższe tygodnie wyjaśnia, czy kampania wyborcza opozycji będzie rzeczywiście, jak to czasem zapowiadają jej trybuni, wykorzystywać duże manifestacje protestu. Sprawa wcale nie jest prosta.

Z jednej strony, globalne wskaźniki ekonomiczne są nadal (wyniki za 1996 i prognoza za 1997) dodatnie. Wzrost produktu narodowego brutto słabnie wprawdzie – 7% w 1995, 6% w 1996 i 5,5% prognozowane w 1997 – ale, mimo stale rosnących nakładów inwestycyjnych i importu inwestycyjnego, ciągle starcza na nieinflacyjne pokrycie dla wzrostu płac realnych i konsumpcji. Siła nabywcza przeciętnej płacy brutto podniosła się w 1996 o 5,4 %, przeciętnej emerytury o 2,5%. Wg przewidywań na rok bieżący płace w sektorze przedsiębiorstw wzrosną realnie o 2,5 %, w sferze budżetowej o 5,1%, a konsumpcja indywidualna o 4,5%. Niezależnie od bardziej odległych zagrożeń dla wzrostu, jak zwłaszcza wyraźne przegrzanie importu i kredytu, nikt poważny, również po stronie opozycji nie kwestionuje cytowanych prognoz na rok bieżący. Jeśli do tego dodać spadek bezrobocia, jak to

notują statystyki, lub przynajmniej, po odjęciu efektu manipulacji rejestrarnymi, z których skreśla się coraz nowych bezrobotnych dzięki m.in. ograniczaniu definicji – opanowanie wzrostu bezrobocia, można twierdzić, że w gospodarce nie jest źle.

Ale to byłby wniosek zbyt pochopny i wcale nie jest pewne, że tak będą odczuwać i rozumować wyborcy.

Przede wszystkim, postęp nie sprzyja wszystkim. Wg badania CBOS w styczniu 1997 połowa Polaków zdecydowanie boi się biedy, a ponad jedna trzecia wprawdzie nie boi się aż biedy, ale mimo to sądzi, że im się pogorszy. 35% Polaków uważa, że co drugi Polak jest biedakiem; postęp, mimo wszystko, bo cztery lata wcześniej sądziło tak 65% badanych. Natomiast nadal dwie trzecie Polaków sądzi, że biedy będzie przybywać.

Jest do odczytania w tych wynikach głęboka niepewność społeczna co do materialnych podstaw bytu. O tym, że podłożem lęku jest całkiem realistyczna ocena rzeczywistości, świadczą badania GUS: 13% obywateli dysponuje dochodem poniżej 100 zł na osobę, tzn. znajduje się w nędzy, a licząc wg oficjalnego wskaźnika minimum socjalnego (250 zł na osobę) w strefie biedy jest połowa społeczeństwa. Wreszcie, do różnic w poziomie dochodów trzeba dodać jeszcze głębsze nierówności majątkowe, przede wszystkim mieszkaniowe. Na zdobycie własnego kąta mogą dziś w Polsce liczyć tylko ludzie bogaci, bo po prostu dobrze sytuowanych już na to nie stać.

Wszystko razem wzięwszy istnieje niewątpliwie w Polsce znaczny potencjał społecznego niezadowolenia i jeszcze znaczniejszy – lęku o przyszłość, a kampanie wyborcze to mają do siebie, że takie potencjały snadnie uruchamiają i organizują w aktywny protest.

Z kolei jednak wypada zauważyć, że wszystkie tegoroczne protesty miały charakter punktowy i były najczęściej walką o zachowanie lub zabezpieczenie przywilejów (zbrojeniówka, komunikacja śląska, kopalnia węgla brunatnego w Bełchatowie). W kilku przypadkach w toku są konflikty z okazji zapowiadanych prywatyzacji: załogi chcą sobie zabezpieczyć darmowe (15%) lub ulgowe (20%) akcje, gwarancje zatrudnienia i odprawy (np. Centrala Przemysłu Naftowego). Wydaje się wątpliwe, czy rozsądna strategia wyborcza opozy-

cji może wykorzystać taki protest, zwłaszcza jeśli rozlewa się on na ulice, szczególnie Wiejską i Aleje Ujazdowskie w Warszawie. Jest bardzo znamienne, z jakim godnym dojrzałego demokrata spokojem minister Miller pozwala manifestantom paskudzić czerwoną farbą budynki rządowe. Można podejrzewać, że minister ma na względzie tych wszystkich, którzy wolą wróbla w garści niż awanturę na dachu.

3.

*Experimentum crucis*, choć to brzmi okrutnie, będzie Stocznia Gdańska.

Nie będę opowiadał epepei. Niezależnie od przyczyn dawniejszych – tych obiektywnych jak upadek rynku wschodniego i tych zawinionych, jak życie na kredyt Historii przez duże H, jest faktem, że aktualna koalicja świadomie pozwałała Stocznii samej się utopić. Krążą rozmaite wieści, stanowczo dementowane, jakoby Wiesław Kaczmarek obrał tę strategię zaniechania, żeby się przypodobać Brukseli. Niech to sprawdza Poldek Unger, jeśli potrafi. Sądzę, że zła wola ministra nie była aż tak makiaweliczna. Prościej: szukano, w strategii integracyjno-prywatyzacyjnej rządu odstraszającego przykładu dla przedsiębiorstw i załóg, i zachęcającego przykładu dla zachodnich urzędników i inwestorów.

Rok temu los Stocznii był przypieczętowany. Ale było niezwykle znamienne dla ministerialnej strategii, że do końca łudzono stoczniowców i dozwalano, by ich łudzono. Kontrakt z Schollerem na 5 statków miał przynieść 15 mln dol. straty: nie mówiono tego i nie ogłaszano. Banki wiedziały. Premier Cimoszewicz do ostatniej chwili rozmawiał z bankowcami – i to z państwowymi banków. Różnie można rozmawiać z bankowcami, w rękawiczkach, lub z ręką na gardle... Wygląda na to, że premier rozmawiał po to głównie, żeby było wiadomo, że rozmawia... A działacze związkowi woleli udawać że jest jeszcze szansa, a załoga chciała wierzyć... Jej zresztą najmniej można się dziwić. Zwłoka, jak w wytrawnej socjotechnice, służyła wystudzeniu konfliktu, zmęczeniu opinii, stopniowemu, z beznadziei, wyciekaniu załogi... W końcu zostało ich 3.800 zrozpaczonych ludzi. Trochę podpalonych opon na jezdniach i przewodniczący

komisji zakładowej, Borowczak, wykrzykujący na kolejnym wiecu, że „Ursus się przyłącza...” Cokolwiek by to miało znaczyć, bo do czego Ursus ma się przyłączać? Do upadłości? Aha, jeszcze ks.ks. Rydzyk i Jankowski; Jankowski w najwspanialszym ze swoich ornatów, senatorskiej purpurze z haftowanym Orłem Białym, z kazaniem wyborczym, Rydzyk radośnie klaszczący... Śpiewamy „Boże, coś Polskę”... Ale czy Bóg wojuje z bankami?

Marian Krzaklewski w imieniu AWS i „S” ogłosił Ogólnopolską zbiórkę pieniędzy na Stocznię Gdańską. Zaraz potem Józef Oleksy w imieniu SLD zapowiedział, że upadłość to jeszcze nie koniec. Wojewoda gdański oznajmił tegoż dnia, że wystąpi do sądu o przekazanie mu przez syndyka upadłego przedsiębiorstwa, bo ma pomysł na restrukturalizację, a syndyk nic nie robi... Ale znów Krzaklewski jest zdania, żeby wojewodzie niczego do ręki nie dawać, bo komuch... Rozdrapywanie Stocznii Gdańskiej jeszcze potrwa.

Tymczasem w nadchodzących tygodniach rozstrzygnie się, czy tonąca stocznia posłuży jeszcze opozycji „ostatnią salwą” w kampanii czy też pójdzie na dno bez pożytku dla polityków a prezydent Kwaśniewski założy w historycznej stołówce izbę pamięci.

Głupio i gorzko.

Warszawa, 17 marca 1997

Krzysztof WOLICKI

## Z ukosa

Wieczorem oglądam w telewizji pojedynek polityczny Balcerowicz-Oleksy, czyli SLD contra Unia Wolności. Nie wydaje to się zbyt poważne, więc groteskowo też wygląda za oknami gęsta śnieżycy, której towarzyszy huk grzmotów i flesz błyskawic.

Unia Wolności zaczęła być agresywna wobec postkomunistów, przez wyborczy rozsądek, z lęku by nie wpaść do jednego worka z SLD, i pewnie dlatego, że tak jej do postkomunistów blisko, co śmiertelnie ją samą przeraża. Kiedy się popatrzy na program ekonomiczny, na stosunek do Europy, do spraw społecznych, na styl mówienia i ton, to Unii jest do SLD o wiele bliżej niż do postendecji.

Profesorskość i pewna sztywność Leszka Balcerowicza znakomicie uosabia pewien zasadniczy problem Unii. Nie mówi ona językiem polskiego ludu, poruszając swym ciałem rusza się jak na salonach, których lud nie zna. W rozmowie z narodem należy mówić tylko o jedno piętro powyżej jego pojmowania i jego słownika. Unia mówi o dwa piętra wyżej. Kiedy Balcerowicz wypisuje na sztandarze hasło, że Polska pod rządami SLD za wolno jest decentralizowana, to winien pamiętać, że 80% słuchaczy nie rozumie słowa „decentralizować”.

Czytając pisma naszej postendecji męczyło mnie uczucie, że znam ten zapach, znam go bardzo dobrze, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Zapach zapiekłej niechęci, kompleksów, spiskowej i uproszczonej wizji świata. I nagle przypomniałem sobie. To jest zapach pokojów śledczych na ulicy Rakowieckiej. To jest ton naszych opiekunów, naszych ubeczkich baranków, ich słowa, ich świat. A ileż zbieżności w propagandzie tych pism z propagandą wykuwaną w piwnicach PZPR. Choćby używanie liczby mnogiej wobec przeciwników politycznych. Jak mnie któryś z tych postendeckich ratlerków szarpie za nogawki, to szczekając zawsze używa liczby mnogiej wobec nazwiska.

W pismach postkomunistycznych też wiele zapiekłości i widzenia jednostronnego. Ale ku swemu strapieniu nie znajduję tego zapachu, tej skali pogardy i nie ma spiskowego myślenia. Już naprawdę w tym nieszczęściu wołałbym, aby tam było równie paskudnie, choćby dla równowagi mojego stosunku do przeszłości. Wielu rzeczy nie mogę wybaczyć postendecji, ale że na ich tle postkomuniści prezentują się cywilizowanie, tego nie daruję!

Jak przed wojną, tworzy się podział na dwa obozy. Ten liberalny, oskarżany jest o żydowskość i masońskie koneksje.

Pal licho Żydów, wiadomo, że zabili Chrystusa i rządzą światem, więc Polską też, ale że masoneria w imaginacji już wolnej Polski tak urośnie, to doprawdy osobliwe psychiatryczne zjawisko. A co naprawdę myśli naród? On sam nie jest pewien co myśli. Jak się posłucha starszych ludzi, bo młodzież idzie chyba inną drogą, to widać jak wielki jest bigos w głowach. Ale ludzie bywają też bardzo zdroworozsądkowi. Z badań – „co jest ważne dla warszawiaków” – wynika, że obok bezpieczeństwa, na drugim miejscu znalazła się ochrona środowiska. To coś nowego, znak dojrzenia społeczeństwa. Ale w pobliżu tego zdrowego rozsądku, który nieraz był potwierdzany podczas wyborów, nagle ustawiają działa ciężkiego kalibru, by z nich strzelać zupełnie irracjonalnie. Niepokojąco powszechne jest narzekanie i posądzenie innych, że coś wielkiego zachapali. Właściwie wszystkie osoby, które były lub są na stanowiskach oskarża się, że „dorobili się majątków, pobudowali pałace, nakradli się po brodę”. Oskarżani są po równo ci z lewej, z prawej i z centrum. Jak się tak posłucha tego gadania, to przychodzi głupia myśl, że ludzie tak gadają, bo sami by nakradli, jeśli tylko wleźli w miejsce gdzie kraść się da. Jaka jest skala irracjonalnego myślenia, jak to się będzie przekładać na życie polityczne, jak wpłynie na ekonomię? Takie partie polityczne jak Ruch Odbudowy Polski bazują wyłącznie na ludzkiej frustracji. Sporo tego w Akcji Wyborczej „Solidarność”.

To zabawne obserwować jak się rozmnaża radykalizm, jakby schody do piwnic rodziły następne. Szef ursuskiej „Solidarności” Zygmunt Wrzodak, to był do niedawna wielki faworyt postendeckiej *Gazety Polskiej*. Ale tygodnik nie wydrukował mu tekstu, gdzie pisał, że „NATO to chora, nieskuteczna struktura, do której wstępować nie należy”. Czerwoni i różowi są wedle Wrzodaka za NATO. Wrzodak tekst w końcu wydrukował w pisemku czołowego działacza ROP Antka Macierewicza, byłego szefa MSW i trzasnął w *Gazetę*, a ta mu na odlew.

Od kilku miesięcy obserwuję ze smutkiem jak nowy dziennik *Życie* dryfuje w kierunku szczękościsku prawicowego. Nic mu nie pomoże, jest oskarżany przez prasę postendecką i katolicką, że to tylko kamuflaż dla ukrytego

liberalizmu, bo kiedyś jeszcze jako *Życie Warszawy* dziennik reklamował liczne domy publiczne i usługi seksualne. I mówi się też, że jeden z ważnych redaktorów pisma jest masonem. Natomiast tygodnik *Nasza Polska* donosi, że *Życie* jest wydawane za pieniądze niemiecko-austriacko-szwajcarskich kręgów demoliberalnych.

Niektórzy działacze Akcji Wyborczej „Solidarność” już wiedzą, że ta formacja przetrwa tylko wtedy, jeśli włoży ręce swoich szaleńców w kaftan bezpieczeństwa. Problem, że powinno się zacząć od przewodniczącego.

Dramatem postępczej umiarkowanej jest to, że istotne fragmenty tej formacji mają łatwość dryfowania w kierunku tak radykalnym, że kompromitują na amen swoich bardziej umiarkowanych i rozsądnych partnerów. Szef ROP Jan Olszewski chociaż odbył niezwykłą podróż w kierunku spiskowego myślenia, ma wielkie szanse być zjedzonym przez żuchwy partii, którą stworzył.

Katolickie Radio „Maryja” pod wodzą księdza Rydzyka niezwykle konsekwentnie kompromituje polski Kościół. I Kościół zaczyna się już nie na żarty niepokoić tym radiem, ale nie wie co robić. Ofiarą fanatyzmu księdza Rydzyka padają zwykle ludzie starsi, bo słucha tego radia Polska katolickich emerytów.

Córka moich znajomych, dwunastoletnia dziewczynka, wróciła niedawno od dziadków jakaś nieswoja. Zapytała ich czy dali sobie prezenty na św. Walentego, który to dzień zakochanych przyjął się w Polsce. Dowiedziała się, że jest to komunistyczne święto. A modne dzisiaj dzinsy z dziurami, które dziewczynka miała na sobie, dziadkowie uznali za przejaw satanizmu. Dziadkowie to wszystko wiedzą z Radia „Maryja”. Tak, ksiądz Rydzyk sieje z eteru ciemnotę szkodzącą ręką. I to też jest wolność słowa, ale czemu tę paranoję firmuje Kościół?

Gdzie są granice wolności słowa, czy w ogóle należy je ustanawiać, o tym mówi film Milosza Formana „Skandalista Larry Flynt”. Dotarł on do Polski, a słynne plakaty z mężczyzną rozkrzyżowanym na łonie kobiety wzbudziły trochę protestów, ale bez przesady. Tu zamalowano, tam zdjęto, ale wiele ocalało i naród się nie gorszy. Film nie jest takim arcydziełem jak był reklamowany, ale dotyka

problemu, który w Polsce nabrzmiewa jak wrzód. To są granice wolności słowa i nasza bezradność w ramach demokracji wobec niemoralności i zła. Jak je ograniczać nie niszcząc demokracji? Jednoznaczna niemoralność tych, którzy niegodnie wykorzystują wolność słowa, to jest pismo *Nie*. Ale nie mniej tygodnik *Mysł Polska* gdzie w ramach „katolickiego” światopoglądu sieje się nienawiść. Czyli niemoralność programowo niemoralnych i niemoralność moralistów. U nas ci ostatni łatwo bronią narodu przed seksualnym zgorzeniem, a przyzwalają na głoszenie nienawiści i fobii. Czyli z jednej strony fundamentalizm, zapieczenie moralne, a z drugiej cynizm, pogarda dla wszelkich wartości. To są bieguny, gdy wiele jest postaw pośrednich. Czy cały ten spór o wstęp do projektu konstytucji nie jest konfliktem między tymi co uważają, że moralności nie wolno dekretować, że reguły gry nie spadły nam z nieba jak meteor, że każde ograniczenie wolności słowa zrodzi następne? A tymi, co uważają, że istnieją prawa naturalne, w które należy wtłoczyć ludzi, choćby przymusem? Celowo przerysowuję ten konflikt, ale gdzieś tu leży jego istota.

Ujrzałem to jak na dłoni w jakimś programie naszej telewizji, gdzie nieporadny prowadzący miał dwóch rozmówców. Jeden, przedstawiciel postkomunistów, jowialny, nieco obleśny i cyniczny jegomość. Jego adwersarzem był wojujący z pornografią pravicowy poseł. Pierwszy osobnik bronił wolności słowa, nie zawsze mądrze, ale szczerze.

Obrońca moralności był sztywny, wychłodzony, smutny, niemądry. Gdyby dostał w ręce władzę, ścinałby głowy w imię moralności. Doprawdy zgadzam się z Formanem. Wolę by światem rządziła liberalna, cyniczna komercja, niż jeden ideologiczny głupiec. To już znamy z komunizmu.

Pisałem krytycznie o Marianie Krzaklewskim, szefie „Solidarności” i przewodniczącym prawicowego bloku Akcja Wyborcza, pisałem kpiąco gdy jeszcze nie wykonał swych najbardziej efektownych numerów. Dzisiaj doprawdy trzeba wiele wysiłku, by traktować go poważnie (jego najbliżsi współpracownicy śmieją się z niego lub zżymają się). Problem, że Akcja Wyborcza „Solidarność” ma bardzo poważne szanse na wygranie wyborów, a on nadaje jej ton.

Dla dobra Polski postkomuniści powinni oddać władzę. Z tego wynika, że mamy przed sobą wybór bez wyboru. Skompromitowani oddadzą władzę tym, którzy właściwie już się skompromitowali. Będziemy mieć niezły kabaret polityczny, przy którym rządy postkomunistów będą się wydawały przydługim filmem bez akcji.

W tej chwili gorzej wielki konflikt o konstytucję. Cytowałem w poprzednim tekście fragment preambuły z sejmowej wersji konstytucji, z Bogiem taktownie przywołanym, co wydawało się rozsądnym kompromisem. Okazało się, że nie ma kompromisu. Prymas Glemp mówi, że ten Bóg w proponowanej wersji nie jest prawdziwy. Tadeusz Mazowiecki, współautor pierwotnej wersji, upiera się, że ten Bóg jest prawdziwy. Rada Episkopatu wydaje dramatyczne oświadczenie. Nie godzi się, by konstytucja była uznawana za „najwyższe prawo Rzeczypospolitej Polskiej, w sensie absolutnym, a w konsekwencji by uznać: ‘człowieka’ za najważniejszego ustawodawcę”. Dlatego musi być *invocatio Dei*, czyli odwołanie się do Boga: „jako do ostatecznego Sędziego ludzkich spraw”. Biskupi domagają się zapisu, że małżeństwo może być zawarte tylko między osobami odmiennej płci. Tu duchowni obawiają się sodomy i gomory. Zamiast słowa „obywatele” biskupi domagają się aby był „Naród Polski”.

Marian Krzaklewski rozwija te myśli z właściwą sobie głębią, wygłaszając w Sejmie kuriozalne przemówienie. Z jego wywodów na temat prawa naturalnego powinien skorzystać kabaret. W Polsce nie ma więcej głupoty niż gdzie indziej, ale bywa ona niezwykle aktywna, więc czasami wydaje się, że jest jej więcej niż jest w rzeczywistości.

Mariana Krzaklewskiego miażdży publicznie Władysław Frasyniuk, kiedyś kierowca autobusu, potem „kierowca” podziemia, największy nasz solidarnościowy supermen, bohater stanu wojennego. I to jeden z nielicznych polityków z tych ośmiu lat wolności, który zachował twarz i tyle zdrowego rozsądku. Mówi o wystąpieniu Krzaklewskiego: „to była kampania półprawd i nieprawd, pogardy dla faktów i historii”. Przypomina, że Krzaklewski nie był działaczem podziemia i: „nigdy nie płacił ceny jaką płacili przywódcy podziemia”.

Tak jak postędekja nobilituje postkomunistów, tak

obecna „Solidarność” niszczy mit tego ruchu, zabiera nam jedyny piękny epizod w PRL-u.

Wracając do sporu o konstytucję. Oto jeszcze jedna kość niezgody. Polska w oczach dzieli się na dwa obozy, a postkomuniści zmieniają się w obrońców wartości europejskich i tworzą część obozu liberalnego. A ze sporu wokół konstytucji robi się spór: „golone”, „strzyżone”, jak kłócić się dziad z babą w wierszu Mickiewicza. Polska będzie tonąć a strony będą się kłócić, czy jest wyższość prawa stanowionego czy naturalnego.

Źle, że projekt konstytucji jest niedoskonały, że wychodzi z łona formacji, która wyszła z łona PRL-u. Jeszcze gorzej, że rozkrzyczani przeciwnicy tego projektu mówią głupstwa, a ich projekt, zwany społecznym, jest gorszy.

Bal maskowy w domku pod Warszawą. Nie lubię przebierania się, bo przecież jesteśmy na co dzień poprzebierani i nosimy tyle masek. Ale czego nie robi się dla bliskich. Bal urządziła moja przyjaciółka. W domku bawi się nasza młoda klasa średnia, która ruszyła na Polskę jak Las Birnam, ale zamek nie runął, chociaż kilka baszt płonie a z nich wyfruwają stada demonów. Ta młodzież jest otwartogłowa i sceptyczna. Są liberalni, pracowici, czy raczej zaprzężeni do kieratu nowych czasów. Jak się jednak ich poskrobie, to wychyla głowę jakiś smutek, poczucie bezsensu życia, braku kierunku i jakichkolwiek autorytetów. Uderzająco powszechna jest obojętność lub pogarda dla naszego życia politycznego.

Nazajutrz nagły atak wiosny mimo, że jest zima. Jedziemy na rowerową wycieczkę. Wdycham pełną piersią ciepłe powietrze i dookolną brzydotę. Podwarszawskie miejscowości biją wszelkie rekordy szpetoty. Dlaczego Polska jest taka brzydka? Nieraz pytam siebie, historii, otoczenia. Nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie. Rwane były u nas przez historię wszystkie tradycje, a estetyka to tradycja czułości wobec rzeczy i przestrzeni. To też czas i pieniądze, czas nie był wolny a pieniędzy brakowało. Polskim porażkom towarzyszyło poczucie: nie jesteśmy byle kim, my – naród wybrany, szlachecki i szlachetny.

Wczoraj, gdy otworzyłem drzwi na klatkę schodową, ujrzałem starszą panią, sąsiadkę, która myła schody. Spłoszyła

się gdy mnie ujrzała. Mówi do mnie: „brudzą te koty, jak umyję będzie przyjemniej. I wcale mi nie wstyd, że myję schody, chociaż nie jestem byle co, bo mój mąż był lekarzem”. Ileż ciekawych informacji w tym komunikacie. Kobieta ukazuje swoją dumę, ona jest szlachta, a uszlachetnił ją mąż, lekarz (zginął w Katyniu). Nie jest więc byle co. Klatka schodowa jest sferą zewnętrzną, przyjemnie aby tam było czysto, bo to droga do kaplicy mieszkania, ale w zasadzie wszystko co leży poza mieszkaniem należy do Onych, to strefa niczyja. Od dwustu lat nie w pełni byliśmy u siebie, a PRL stworzył przepaść między tym co moje, co zostało skurczone do pięści, gdy co na zewnątrz stało się zoną niczyją.

Jak to poczucie sąsiadki, „nie jestem byle co”, ma się do estetyki? W Polsce nikt nie był i mało kto dzisiaj jest na swoim miejscu, stąd zakwaszenie duszy, ucieczka w mal-kontenctwo i depresję, lub w paniczną pogoń za sukcesem. Depresja i frustracja rodzą niechlujstwo, a paniczna pogoń kicz i wypindrzenie się. Polska po PRL-u stała się składowiskiem zakurzonych przedmiotów w biurze rzeczy znalezionych. Nic dziwnego, że przywracanie własności prywatnej stało się często rzeczy rozdrapywaniem.

Ale trzeba wracać na rower. Jedziemy więc przez tereny znaczone zaniedbaniem, niechlujstwem. A. proponuje abyśmy odwiedzili pobliski wiejski cmentarzyk. Na tym cmentarzu jest znak przeszłości, grobowiec z początku XIX wieku i garstka grobów z tego czasu. Dalej leżą groby współczesne. Jest w tych grobach jakaś estetyczna bezradność, bliźniacza do szpetoty dzielnic z wielkiej płyty. Lastrico, które udaje marmur i ta geometryczna prostota, jakże podobna do kształtu bloków z fabryki domów. Zawsze mnie raziło, że groby i grobowce w tradycji chrześcijańskiej udają domy, jakby zmarły miał tam mieszkać naprawdę. O ileż bardziej godzi się z naturą śmierci palenie zwłok i urny zanurzone skromnie w trawniku, czyli powrót do świata przyrody. Mijamy świeży grób obrzucony wysokim pagórkciem kwiatów. Kwiaty, które skazuje się na śmierć razem ze zmarłym, jak kiedyś niewolników. Szybka dekompozycja tych kwiatów, ich gnicie, zdradza prawdziwą naturę śmierci i naszą wobec niej bezradność. Na tle cmentarza widzę kilka bloków z lat 70-tych, z wielkiej płyty, bez wątpienia to jest ta sama

dzielnica co cmentarna tylko należy do żywych, do jeszcze żywych. Tam gdzie cmentarzyk ma zagłębienie, widać zbiegowisko małych, skromnych krzyży, to są groby dzieci, wśród podartych gazet i puszek po coca-coli. Tu na uboczu chowa się podobno samobójców. A. pokazuje mi groby swoich bliskich, tu pradziadek, tam wuj, który wpadł pod pobliski pociąg w stanie niezupełnie trzeźwym. Błoto na cmentarzu jest po pachy. Człapiemy ciągnąc rowery przez mały kwartał, gdzie są mogiły żołnierzy września 1939 r. Te proste krzyże są ładne, stoi niedawno zrobiona marmurowa płyta z nazwiskami poległych. Przychodzi mi do głowy niemądra myśl. Może zdarzy się cud i na tej tablicy odnajdę nazwisko mego dziadka, legionisty, zawodowego oficera, który 13 września zginął w obronie Warszawy. Był w chwili śmierci, nie do wiary, młodszy ode mnie. Mało o nim wiem. Ma zawiadłą minę na zdjęciu znalezionym w jego mundurze, w mundurze przekreślonym serią karabinu maszynowego. Na fotografii widać grona odznaczeń, virtuti militari, krzyż walecznych. Matką jego była podobno polska aktorka z wędrownej aktorskiej trupy, a ojcem wysoki rangą austriacki oficer, który umarł tuż przed jego narodzinami. Był więc dzieckiem z „nieprawego łoża”, a matka oddała go polskiej rodzinie na wychowanie. Odciał się od austriackich korzeni do tego stopnia, że gdy pewnego dnia, już po wielu latach, co pamięta moja matka, przybyło do koszar zawiadomienie o dużym spadku z Austrii, zamknął się na kilka minut ze swoją żoną, i spadku nie przyjął. Pamięta też zatłoczony dworzec gdański i jego, który uwijał się pakując na wagony swoją kompanią. Mówił do małej córki: „nie bój się, mnie się kule nie imają”. Ale jego córka wiedziała, że to nie jest prawda, bo w legionach był kilkakrotnie ranny. Sam musiał jednak wierzyć w swoją nieśmiertelność kiedy poderwał swój oddział do ataku, a potem, jak opowiadał jeden z jego żołnierzy, ciężko ranny nie pozwolił załadować się na wóz sanitarny, kazał najpierw odesłać swoich rannych żołnierzy.

Jego grób zginął po wojnie, a ja pamiętam, że moja babcia aż do śmierci wytrwale i nadaremno szukała, gdzie leży jej mąż. Całe moje dzieciństwo upłynęło pod znakiem tych daremnych poszukiwań.



Marmurowa płyta jest nowa, ale nazwiska już się zacierają. Patrzę a moje nieostre spojrzenie pada na nazwisko podporucznika, czytam i mam poczucie, że litery poruszają się jakby były żywe. Układają się w imię i nazwisko, którego szukam. Zamykam oczy, otwieram, sprawdzam imię, datę, zgadza się, dywizja piechoty, 13 września 1939, podporucznik piechoty Wilhelm Buczek.

To prawda, trudno w to wszystko uwierzyć, zaglądałem potem na ten cmentarzyk by się przekonać, że to nie był sen. Szkoda, że nie wierzę w istnienie Bożego palca. Oto bliscy A. i mój dziadek leżą obok siebie na małym wiejskim podwarszawskim cmentarzyku, odkrytym po maskowym balu w słońcu wiosny, która nagle zakwitła w środku zimy.

### SMECZ

## Polska – kraj (prawie) normalny

W pierwszych latach obecnego dziesięciolecia Polska przeżyła ogromne wstrząsy polityczne, społeczne i gospodarcze. Doświadczenia historyczne wykazują, że reformy rynkowe prawie zawsze powodują kryzys trwający od trzech do pięciu lat. Jedynym ostatnio zanotowanym wyjątkiem od tej reguły były reformy chińskie, przeprowadzane bardziej stopniowo i pragmatycznie, ale, trzeba dodać, reformy gospodarcze chińskie nie były połączone ze zmianą ustroju. Można Chińczykom zazdrościć ich mądrości w przeprowadzaniu reform ekonomicznych, ale na pewno nie można im zazdrościć utrzymania dyktatury partii...

Polska jest przykładem historycznych obserwacji porównawczych reformy. W latach 1989-1992 dochód narodowy i poziom życiowy poważnie spadły. W 1993 roku nastąpi-

ło zahamowanie spadku dochodu narodowego i zaczął się okres najpierw wolnego, a następnie zupełnie przyzwoitego wzrostu gospodarczego. Wiarygodność Polski w sferach ekonomicznych bardzo się poprawiła, czego dowodem jest spadek „wskaźnika ryzyka” (wskaźnik ryzyka jest ciągle zbyt wysoki, ale można to tłumaczyć naturalnym konserwatyzmem instytucji oceniających „ryzyko polityczne i gospodarcze” krajów). Normalizację kraju zrozumieli poważni inwestorzy zagraniczni i po okresie skromnych, nieśmiałych ale udanych kroków napływ inwestycji zagranicznych osiągnął zadowalający poziom około 4 miliardów dolarów rocznie. Równie ważny, a nawet ważniejszy jest fakt, że Polska zaczyna przyciągać inwestorów poważnych, myślących kategoriami długofalowymi. Często słyszy się opinie, że byłoby lepiej gdyby zagraniczne inwestycje były kilkakrotnie wyższe. Opinie te są dowodem niezrozumienia mechanizmów gospodarczych: każdy kraj ma ograniczoną zdolność absorpcji inwestycji zagranicznych i zbyt szybki ich wzrost powoduje liczne skutki ujemne. Obecny napływ poważnych kapitałów inwestycyjnych do Polski jest szczęśliwie w granicach zdolności absorbowania inwestycji i zdolności absorpcji nowych inwestycji rosną w miarę normalizacji i postępu gospodarczego.

Postęp i normalizacja nie oznacza braku problemów i to problemów poważnych. Poważnym problemem jest deficyt bilansu handlowego, pokrywanego tylko częściowo przez napływ długofalowych inwestycji. Infrastruktura fizyczna i społeczna (edukacja, opieka społeczna, służba zdrowia) przeżywają kryzysy; struktura rolna jest niezadowolająca, co będzie jednym z poważniejszych problemów wejścia do Unii Europejskiej; niezadowolająca jest też struktura przemysłowa – zbyt wiele gałęzi gospodarki zależy od niskich płac. Wzrasta nierówność dochodów i istnieją zjawiska nędzy; obok regionów cieszących się szybkim wzrostem dobrobytu i zwiększającym się zatrudnieniem, istnieją regiony w których istnieją bezrobocie i bieda. Są to problemy trudne i wymagające ciągłego i inteligentnego wysiłku, aby zapobiec możliwym kryzysom gospodarczym i społecznym. Polska stopniowo wraca do dobrobytu i staje się coraz bardziej wiarygodna, ale niepotrzebne wstrząsy albo błędy w polityce gospodarczej

i społecznej mogą łatwo tę wiarygodność podważyć. Uznając trudności polskiej polityki gospodarczej i społecznej, trzeba podkreślić, że z podobnymi problemami borykała się i boryka większość krajów. Zrozumienie faktu, że Polska staje się krajem normalnym i że poważne trudności kraju są trudnościami krajów normalnych, jest niezbędnym krokiem do inteligentnego przyswajania doświadczeń międzynarodowych.

Być może, że największą różnicą między dzisiejszą Polską a krajami borykającymi się z podobnymi problemami jest naiwna wiara polskich ekonomistów, że postęp gospodarczy i wolny rynek te problemy rozwiążą – podobna wiara istniała w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na Zachodzie, gdzie zaczyna zanikać w wyniku konfrontacji z rzeczywistością. Nawiasem mówiąc „przeciętny obywatel” w Polsce patrzy na istniejące problemy w sposób bardziej realistyczny niż koła decydenckie, zatem jest bardziej zatroskany i staje się coraz bardziej sceptyczny w stosunku do tak zwanych elit.

Powszechnie panującym w Polsce mitem jest mit o zdemoralizowanym społeczeństwie, niezdolnym do solidnego postępu, obciążonym wadami *homo sovieticus*. Postęp wykazany w ciągu ostatnich lat zaprzecza tym twierdzeniom. Pracownik polski jest równie pracowity jak w innych krajach, co podkreślają inwestorzy zagraniczni, a polski menadżer – włącznie z menadżerami wywodzącymi się z dawnej nomenklatury – wytrzymuje konkurencję z kadrą administracyjną Zachodu, czego najlepszym dowodem jest pozostawienie w sprywatyzowanych firmach na kierowniczych stanowiskach ludzi z dawnego okresu. Oczywiście wiele jest wypadków niechlujstwa, niewydajności i nieuczciwości. Ale – to trzeba podkreślić – nie jest to zjawisko istniejące tylko w Polsce. „Zdezorganizowanie linii produkcyjnych, pijaństwo przy pracy, nieliczenie się z potrzebami rynku, biurokracja fałszująca wyniki, brak inicjatywy” to nie opis fabryki polskiej, ale Chryslera przez Lococca kiedy przyjmował prezesurę tej firmy. Dziś Chrysler jest jedną ze wzorowo prowadzonych firm. Gdy General Motors cierpiał na największy w swojej historii deficyt, zarząd przyznał sobie najwyższe w historii bonusy. Podobne przykłady można mnożyć bez końca. Nie oznacza to, że mamy się cieszyć, że w innych krajach też istnieją problemy, ale powinno to

prowadzić do mniej pesymistycznego oceniania naszego kapitału ludzkiego oraz ostrożnego optymizmu, że fatalne sytuacje są do naprawienia. Mówienie o *homo sovieticus* nie zwiększa wiarygodności Polski. Trzeźwa ocena, że tak jak w większości krajów, Polska cierpi na poważne konkretne trudności, ale nie jest przez to krajem anormalnym, powinna być początkiem realistycznej diagnozy sytuacji. Jest rozsądniej myśleć o rozwiązywaniu problemów w oparciu o istniejący potencjał, niż ubolewać nad „straconym pokoleniem” i rzekomym *homo sovieticus*.

Mówi się często o „rozkładzie społecznym w Polsce”. Niewątpliwie mnożą się wypadki godne ubolewania i wzrosła przestępczość w kraju. W pewnym stopniu wzrost przestępstw był wynikiem likwidacji państwa policyjnego. Dawna milicja terroryzowała obywateli, ale terroryzowała też kryminalistów. Szczęśliwie okres ten się skończył i wraca poszanowanie praw obywatelskich, ale świat przestępczy czuje się mniej zagrożony. Należy jednak zaznaczyć, że mimo wstrząsu spowodowanego reorganizacją policji, kiepskiego zaopatrzenia i niekonkurencyjnych uposażeń, jej sprawność zaczyna wzrastać i Polska uniknęła kryminalizacji kraju, co ma miejsce w Rosji. W krajach zachodnich, gdzie aparat policyjny nie zaznał wstrząsów i gdzie dysponuje technicznie znakomitym uposażeniem, lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte były okresem szybkiego wzrostu kryminalizacji. W Polsce kradnie się więcej samochodów, ale wskaźniki morderstw i napadów są niższe niż w wielu krajach – ulice Warszawy ciągle są bezpieczniejsze niż Washingtonu. Ponieważ fala przestępczości przeszła wcześniej na Zachodzie, wiele możemy się nauczyć w dziedzinie zrozumienia czynników społecznych wpływających na przestępczość i skuteczności (i nieskuteczności) środków zapobiegania i zwalczania przestępstw. Na przykład, warte przytoczenia są wyniki badań na Zachodzie o wpływie bezrobocia i niekończenia szkoły na stopień przestępczości. Stwierdzone na całym świecie fakty, że bezrobocie, zwłaszcza wśród młodzieży i kryzys w szkolnictwie zwiększają przestępczość, podczas gdy surowe kary i deklamacje o „wartościach” mają na przestępczość znikomy wpływ, powinny prowadzić do bardziej sensownej polityki społecznej i gospodarczej, i sceptycyzmu w stosunku do pseudo-rozwiązań ideologicznych.

Uznanie faktu, że nie jesteśmy społeczeństwem całkowicie odmiennym i że mamy podobne problemy do innych krajów, z których doświadczeń możemy się uczyć, a nie biadolenie o „upadku moralności” i *homo sovieticus* jest pomocne w rozwiązywaniu naszych problemów.

Normalizacja życia politycznego w Polsce przeszła przez parę etapów: etap entuzjazmu i euforii, etap rozczarowań i współczesny etap sceptycyzmu, pragmatyzmu, zajmowania się problemami codziennymi i myśleniu o własnych interesach. Pragmatyzm i walka o własne interesy (albo interesy własnej grupy) są mniej atrakcyjne niż idealizm, ale trudno zaprzeczyć, że są to zjawiska normalne. Ludzie są zmęczeni (co po tylu wstrząsach jest normalne), często czują się zagrożeni zmianami i są nieufni w stosunku do decydentów. Załamanie się zaufania do sfer rządzących staje się coraz powszechniejszym zjawiskiem. Na przykład, w Stanach Zjednoczonych obserwować można niepokojąco szybki wzrost wydatków na wybory i spadający procent głosujących wyborców (znacznie niższy niż w Polsce). Jest to powodem słusznej troski ludzi myślących, widzących w tym zjawisku brak zaufania do polityków i brak nadziei na zmianę. Szczęśliwie zmęczenie polityką w Polsce ciągle jeszcze nie prowadzi do apatii wyborczej, ale jest zjawiskiem wpływającym na zachowanie się wyborców.

Ku wielkiemu zdumieniu elit politycznych i intelektualnych, Kwaśniewski nie tylko wygrał wybory, ale cieszy się stosunkowo wysokim uznaniem w sondażach. Oczywiście, Kwaśniewski miał szczęście jeśli chodzi o przeciwników, ale jego sukcesu nie można przypisać wyłącznie szczęściu. Bardziej przekonującą hipotezą jest, że Kwaśniewski przedstawia typ polityka najbardziej odpowiadającego w normalizującym się kraju. Uznając historyczną rolę Wałęsy, trudno nie stwierdzić, że był on prezydentem nieudanym, zatem w porównaniu z Wałęsą Kwaśniewski dobrze wygląda. Prezydent „tworzy wiadomości” – każde jego wystąpienie jest notowane w prasie i telewizji. Wystąpienia Wałęsy były krępujące, co świetnie podchwytował Urban w tygodniowej kronice „Pan Prezydent powiedział”. Co gorsze, Wałęsa był politykiem konfliktowym i nieprzewidywalnym, co męczyło wymęczone zmianami społeczeństwo. Wystąpienia Kwaśniewskiego

są „prawidłowo banalne” – prezydent wygląda dobrze, nie zaskakuje tym co robi i mówi; trudno go bardziej lubić, ale nie można się nim niepokoić. Te cechy Kwaśniewskiego posiada wielu polityków zachodnich i dzięki tym cechom uzyskują oni powodzenie. Trudno nie podziwiać Kohla, zarówno za jego pragmatyzm i zdolności wyzyskiwania sytuacji, jak też za jego wizję „pogłębiania Europy”. Ale sukcesy Kohla i możliwość realizowania przez niego wielkich koncepcji politycznych byłyby nieosiągalne, gdyby Kohl nie potrafił uzyskać powszechnego zaufania dzięki swojej przyziemności, tłustemu brzuchowi, dobrotliwemu uśmiechowi, oczywistemu zdrowemu rozsądkowi i umiejętności słuchania obywateli. Trudno porównywać Kwaśniewskiego z Kohlem, ale mają oni cechy wspólne – wyglądają bezpiecznie i wołają pragmatyzm od pouczania – dzięki tym cechom uzyskują zaufanie społeczeństwa. Może bliższy Kwaśniewskiemu jest Clinton, również nie specjalnie lubiany i o niezupełnie poprawnej przeszłości, ale reprezentujący ludzi swego pokolenia i unikający trzymania się krańcowych pozycji.

Gdy Kwaśniewski mówi o „przyszłości a nie przeszłości” nie jest to prawda; Kwaśniewski jest człowiekiem dnia dzisiejszego, co jest jego słabością i siłą. Słabością, bowiem brak wizji przyszłości często prowadzi do kryzysu, ponieważ pozostawione na przyszłość problemy mają tendencję do pojawiania się w zaostrej formie. Siłą, bowiem ludzie żyją teraźniejszością i instynktownie rozumieją, że polityka polega na rozwiązywaniu istniejących i nadchodzących problemów a przeszłości zmienić nie można.

Kwaśniewskiego zwalczała i zwalcza tak zwana elita, ale jej znaczenie jest bardzo ograniczone, zwłaszcza w terenie (nie wolno zapominać, że Polska jest krajem małych miast, nieufnie nastawionych do stolicy). W świecie normalnym, nikt nie lubi „elit”. Spory między grupami politycznymi mało kogo interesują, ale sprawiają wrażenie, że elity są skłócone i nieodpowiedzialne. Jest to też zjawisko normalne – skłócone partie przegrywają wybory i wyborcy zwykle lubią upokarzać tych, którzy starają się ich pouczać.

Kwaśniewskiego zwalczał kler, co miało zapewnić jego przegraną. Polska jest krajem katolickim, najbardziej katolickim w Europie. Ale Polacy dawno już przestali być

pokorną trzódką parafialną. Wystarczy spojrzeć na fakty. Kościół w Polsce – więcej niż w innych krajach – mówi o moralności seksualnej, o grzechu zapobiegania ciąży. Tymczasem przyrost naturalny w Polsce jest podobny do większości krajów uprzemysłowionych. Oznacza to, że regularnie chodzący do kościoła Polacy skutecznie stosują środki zapobiegawcze, zarówno w miastach jak i na wsi. Mówi się o „zalewie pornografii”. „Zalew” jest w tym wypadku niestosownym słowem, stwarzającym wizję zalewania katolickiego kraju przez zdemoralizowany Zachód. Większość mnożącej się literatury pornograficznej, a raczej pół- i ćwierć-pornograficznej, nie jest wynikiem „zalewu z zewnątrz”, ale normalnej reakcji handlowej: istnieje popyt, więc wzrasta podaż. Jest oczywiste, że popyt na pisma i pisemka pół- i ćwierć-pornograficzne jest ogromny, można nad tym ubolewać, ale fakt pozostaje faktem, że miliony Polaków, chodzących do kościoła, kupuje je i czyta, a dziennik katolicki upada. Jest znamienym faktem, że właśnie pół-pornograficzne pisemka leżą na krzesłach u fryzjerów, a fryzjerzy dbają o klientelę i wiedzą co czekający panowie chcą czytać. Jest to zjawiskiem, niestety, normalnym. Nic więc dziwnego, że ludzie z niechęcią słuchają o próbach „oczyszczenia” kiosków. Fakt, że próby walki z pornografią nie wywołują silnych i jawnych sprzeciwów, o niczym nie świadczy. Ludzie nie wyjdą na ulicę aby krzyżeć „chcemy ‘Cats’”, ale w samotności przy urnie wyborczej głosują przeciw tym, którzy cenzurę obyczajową chcieliby wprowadzić.

Ludzie są przywiązani do Kościoła, ale nie wierzą aby Kościół był zagrożony. Widzą Kwaśniewskiego robiącego wszystkie możliwe gesty pojednawcze, widzą, że wielu księżom się dobrze powodzi i mają przesadne wyobrażenie o bogaceniu się kleru. Tak czy inaczej, powiedzenia o „PRL bis” są zbyt sprzeczne z rzeczywistością aby ludzi wzruszać. Niestety, Kościół w Polsce nie wydaje się w pełni rozumieć, że kraj się unormalnia, w dobrym i złym znaczeniu tego pojęcia i, że aczkolwiek ludzie chcieliby moralniejszego społeczeństwa, niekoniecznie myślą, że moralność odnosi się tylko do spraw seksualnych i nie zawsze przyjmują nauki z ambony. Trudno przepowiedzieć czy nienormalny w świecie

spór o wstęp do konstytucji przyniesie Kościołowi i tradycjonalistom więcej szkody niż korzyści na krótką metę, ale na długą metę niewątpliwie Kościołowi zaszkodzi. Upadek wpływów Kościoła w Irlandii jest przykładem wartym przemyślenia.

Akcja powoduje kontrakcję. Sukces SLD – koalicji nie ideowej, ale opartej na ludziach z dawnego PRL przystosowujących się do wolnorynkowej demokracji – musiał prowadzić do podobnej koalicji związków zawodowych zagrożonych powstającym kapitalizmem i tradycyjnych kół antykomunistycznych i proklerykalnych. Siłą AW „Solidarność” jest mocna organizacja w terenie i talent łączenia rozmaitych grup, a nie ideologia (opracowywany przez AWS program wyborczy nie jest programem, ale zbiorem aspiracji – co jest powszechnym zjawiskiem jeśli chodzi o programy wyborcze partii politycznych na Zachodzie). AWS „tworzy wiadomości”: każde przystąpienie jakiegokolwiek grupy stanowi nowinę, zapominaną jeśli chodzi o szczegóły, ale stwarzające wrażenie konsolidacji sił politycznych. AWS słucha ludzi niezadowolonych, albo tych, którzy czują się zagrożonymi, co jest znacznie lepszą strategią wyborczą niż „pouczanie obywateli przez elitę”, na co cierpi Unia Wolności.

Fakt, że najsilniejsze ugrupowania powstały nie na gruncie ideologicznym – prawica i lewica, co powinno oznaczać stosunek do roli państwa, albo wynikać z różnicy zapatrywań na zagadnienia społeczne i gospodarcze – ale na podstawie pamięci historycznej, wydaje się zjawiskiem nienormalnym. Ale, nie zapominajmy, że wiele partii na Zachodzie ma swój początek w dawnych, dziś nie istniejących konfliktach, a ich współczesne orientacje są wynikiem pragmatycznej ewolucji. Podobna ewolucja jest bardzo prawdopodobna w Polsce. Można ubolewać nad niepowodzeniami prawdziwej partii centrowo-prawicowej (Unii Wolności) i prawdziwej partii lewicowej (Unii Pracy), ale nie podziały ideologiczne, ale mocne poparcie w terenie, dobra organizacja i osobowość polityków, z którymi mogą się utożsamiać liczne grupy społeczne, są warunkami powodzenia. Nawiasem mówiąc, politycy którym udaje się skleić udane koalicje, często okazują się dobrzy w sprawowaniu władzy. Zlepianie i utrzymywanie koalicji wymaga pragmatyzmu i

zdolności uzyskania potrzebnych kompromisów a ludzie postawieni przed problemami rzeczywistymi często umieją odsunąć się od walk o problemy zastępcze.

Obraz „kraju normalnego” nie jest koniecznie obrazem apetycznym, ale i rzeczywistość nie jest zwykle apetyczna.

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

## KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Z perspektywy pogranicza

### Głos Innego

*Z pograniczem jest kłopot – tego, co jest ci tak drogie, nie możesz nigdy osiągnąć na własność, zawsze musisz się tym podzielić. A gdyby tak już się stało – na skutek przemocy lub innego zrzędzenia – że nikt oprócz twoich nie upomni się o to miejsce, wówczas okaże się, że tego co było ci tak drogie, już nie ma.*

Nie byłem pewien czy słowa te wypowiedział sam Wiktor Winikajtis, z którym stałem na wysokiej skarpie klasztoru nad Wigrami, czy też był to jakiś inny głos. Dogaśała właśnie jesień 1990 roku. On – z pękiem kluczy, które zabrał ze swej stróżówki na dole, otwierając i zamykając drzwi do kościoła, eremów i katakumb, zapalając i gasząc światła, człapiąc po schodach w górę i w dół – zdążył już wypytać mnie o wszystko, co zamierzam sprowadzając się na pogranicze. Gdy zatrzymaliśmy się na skarpie, spokojnie i na długo zanurzając spojrzenia na wschodnim brzegu jeziora, ja już tylko słuchałem. Czyj to był głos? Dzisiaj nie ma już pomiędzy nami „ostatniego kameduły”, jak nazywaliśmy Wini-kajtisa, a ja w dalszym ciągu prowadzę dialog z głosem, który wtedy usłyszałem, z głosem Innego.

Z początku byłem przekonany, że skrywa się w innym języku, w innej narodowości czy wyznaniu. Nie było to pozbawione sensu. Dostrzegłem także, że zwiększyła się moja wrażliwość na głos ludzi inaczej myślących. A przy tym czułem, że nabieram dystansu do rzeczywistości, staję się

alergiczny na monolog, na ideologię, na wyłączność jednej racji...

Przypominam sobie jak w dzieciństwie przybiegałem do mamy, aby jej opowiedzieć, co wydarzyło się na podwórku i jak to zostałem skrzywdzony przez kolegów. A potem przychodził mój brat i podawał nowe szczegóły, które pominąłem, a do tego inaczej interpretował przebieg całego zajścia. Wściekałem się, że moja opowieść nie może być ostateczną, że brat jest przeciwko mnie, że nie mogę uciąć mu języka, że muszę z nim żyć, że nie mogę utwierdzić mamy tylko w mojej prawdzie. Czyż nie przypomina to sytuacji lekcji historii w szkole w Sejnach, gdy nauczyciel – dajmy na to Litwin – podjąłby się omówienia tematu wojny polsko-litewskiej w latach 1918-1920, mając w klasie uczniów polskich i litewskich? Wolałby mieć tylko litewskich, bo polscy wiedzą swoje. Dlatego pewnie jedni i drudzy po obu stronach granicy chcą mieć czysto polskie i czysto litewskie szkoły. I być może z powodu takich właśnie kłopotów przywołana lekcja jest całkowicie wyimaginowana, bo w szkole w Sejnach mówi się o różnych wojnach na całym świecie, ale nigdy o tej, w której dziadkowie uczniów walczyli ze sobą, o której mówią pamiątki rodzinne i groby pomordowanych odwiedzane ceremonialnie każdego roku.

Z głosem Innego jest kłopot. W szkole udaje się go zmilczeć, ale w życiu nigdy nie udaje się tego milczenia zgłuszyć. Nieznośnie jest z tym żyć, ale tu – na pograniczu – nie można inaczej.

O ileż spokojniejszym miastem byłby na przykład Białystok, gdyby nie taki Sokrat Janowicz. „Pisarz to on jest wprawdzie dobry – tłumaczył mi kiedyś pewien poirytowany dziennikarz – ale to, co on wypisuje, to przekracza ludzkie pojęcie”. Mówiąc to kartkował nerwowo książkę w poszukiwaniu argumentów, które miały obnażyć „brednie tego Białorusina”. Coś tam znalazł, ale nie do końca był usatysfakcjonowany, więc uogólnił tylko krótko: przecież ci ludzie mają wolny wybór, nikt ich nie zmusza do tego by rezygnowali z nauki języka białoruskiego albo podawali się za Polaków. Sami tego chcą. Tymczasem Sokrat upierał się i twierdził, że dopóki tym ludziom nie stworzy się szansy poznania historii i kultury białoruskiej, dopóty nie ma mowy

o ich wolnym wyborze. Ale i sam Sokrat Janowicz nie zaznaje spokoju w swoich Krynkach, do których powrócił z Białegostoku kilka lat temu. I nie chodzi już tylko o miejscowego księdza, dla którego Pan Bóg rozumie jedynie po polsku, nie po białorusku. Z Polakami jakoś by sobie, po tylu latach utarczek, to życie uładził. W końcu wszystkie karty zostały już odkryte i znają się jak łyse konie. Aż tu ni stąd ni zowąd na jego „włościach białoruskich” pojawili się Ukraińcy. Po prostu niektórzy z dotychczasowych „tutejszych” zaczynają określać się jako Ukraińcy. W Bielsku Podlaskim wydają nawet pismo *Nad Buhom i Narwoju*. Uczeni socjologowie, etnologowie i językoznawcy zaczynają pisać o tym poważne dysertacje w oparciu o badania terenowe. Sokrat ma swoje argumenty, sięga po pióro, wdaje się w dysputy. Świadom jest jednak, że nie zdoła uklepać rzeczywistości na kształt swoich racji, że raz uruchomiona dynamika pogranicza kieruje się swoimi prawami, że jego głos to zaledwie jedna piszczałka fletni.

Próbuję oswoić głos Innego, który tak niespodziewanie wtargnął w moje życie tutaj na pograniczu i który nauczyłem się słyszeć. Czasami wydaje mi się, że nie dobiega on wcale z zewnątrz, że to we mnie ktoś mówi, że jest moim głosem, bez którego nie potrafię już być sobą. A jeżeli tak, to czymże jest jego brak, jego stłumienie lub niedosłyszanie?

## 2.

A Pan kim jest? – zapytałem Winikajtisa po tym jak już sam powiedziałem, że jestem Polakiem i chrześcijaninem wychowanym w tradycji katolickiej. On wtedy troszkę cofnął się i skulił jakbym nie mówił normalnie lecz krzyczał, albo mówił co najmniej kilkakrotnie głośniejsz niż tego wymaga nasza rozmowa. W odpowiedzi otrzymałem tajemniczy uśmiech i szemranie w rodzaju „a po co to komu wiedzieć...”, czym zdawał się mówić raczej: „ciszej... rozluźnij się człowieku... spokojnie”. Co chciał przez to powiedzieć? Że lepiej nie zdradzać się z takimi deklaracjami narodowymi czy religijnymi, bo nigdy nic nie wiadomo? Czyżby więc strach pozostały po poprzedniej epoce, bo przecież nie przez

demokrację, czy też moją osobę wywołany? Nie. Nie na to chciał zwrócić uwagę w tym momencie naszej rozmowy. Czułem się raczej jak gość, który swym zachowaniem narusza pewne reguły ustalone dawno temu przez gospodarza domu. Zachowałem się nietaktownie, ale dlaczego? Pomógł mi to lepiej zrozumieć Jerzy Stempowski, który „W dolinie Dniestru” opisał swoje rozczarowanie doznane po przybyciu do Polski centralnej, gdzie spotkał się z „uczuciami narodowymi objawianymi hałaśliwie, wyzywająco, niemal bezwstydnie. Manifestacje takie wydawały mi się czymś w bardzo złym smaku, dobrym co najwyżej dla dorobkiewiczów i prostaków”.

Wydaje mi się, że wiem o co chodziło Stempowskiemu, bo ten „styl” jest w modzie do dzisiaj. Dotychczas go nie dostrzegałem, bo był na tyle powszechny, oczywisty i naturalny, że aż przezroczysty. Wszędzie toczył się nieprzerwany mecz, w którym zadaniem kibiców jest wychwalanie swoich, a zadaniem swoich strzelanie do obcej bramki. Czy na stadionie można zachowywać się inaczej? Widziany z tej perspektywy na przykład dialog Czesława Miłosza z Tomaszem Venclovą o Wilnie, o Polakach i Litwinach, jest obustronnym strzelaniem do własnej bramki, co zwykliśmy nazywać po prostu „samobóją”. Na stadionie jest to klęska, ale oni widocznie – w odróżnieniu ode mnie – nie na stadionie się wychowali. Gdzie zatem? Na pograniczu? Przecież wydawałoby się, że pogranicze to dopiero jest stadion, na którym trwa nieustanna walka jednych przeciwko drugim.

Tymczasem ten głos z rozmowy z Winikajtisem zdawał się mówić o zupełnie innych zasadach obowiązujących w domu mieszkańców pogranicza. Może niewielu już pozostało przy życiu z tych, którzy zachowali pamięć o tych zasadach, może ich dopasowanie do zmieniającej się wokół rzeczywistości było zbyt trudne, może uległy one powszechnemu zapomnieniu... Niemniej jednak pan Wiktor stał na ich straży, władał pewnym zapomnianym językiem. Takich ludzi spotykałem później w różnych miejscach na pograniczach, bez trudu rozpoznawałem ich głos w życiu codziennym, w sztuce, w polityce... Posiedli oni pewną tajemnicę; którą można by porównać do sztuki bycia sobą w wielogłosowym

śpiewie, albo sztuki budowania mostu łączącego strome brzegi rwącej rzeki, który zawiera w sobie kształt spokojnego piękna, wysublimowaną linię, wyszukany ornament i lekkość. Ivo Andrić powiedziałby o nich w swoim języku *neimar* (budowniczy mostu). Cenił ich kunszt najwyżej, świadom, że gdy zostanie zapomniany, Bośnia i cała Jugosławia mogą zamienić się w piekło. Niemała to zresztą sztuka, skoro najmniejsza nieuwaga lub uchybienie pociąga za sobą fałsz, dysharmonię czy destrukcję.

Spotykałem tych ludzi w miejscach przypominających trochę miasteczko z filmu Wenera Herzoga „Szkłane serce”. Mam na myśli sytuację wspólnoty ludzkiej pozbawionej nagle tajemnicy (w filmie jest to tajemnica wytopu specjalnego szkła), która dotychczas czyniła ich życie znośnym, sensownym i pełnym. Gdy ci, którzy do tej pory stali na jej straży, umierają nie pozostawiając po sobie następców, życie – jak mozaika – rozpada się na drobne kawałki, oderwane, kartowate, zagubione i nieświadome całości. Jeśli po takim krachu pojawią się nawet ludzie z dawną wiedzą, nikt już nie będzie rozumiał ich języka, nikt nie będzie słuchał ich głosu, nikomu nie będą potrafili przekazać swej tajemnicy. Żyją samotnie obcy wśród swoich, odchodząc niepostrzeżenie, jak odszedł „ostatni kameduła”.

Tamtego wieczoru Winikajtis najwyraźniej starał się prowadzić mnie na trop owej starej wiedzy. Tak jak przystało na człowieka pogranicza, nie robił tego wprost, ostrożnie obchodził każdy problem dookoła, nigdy zbyt blisko do niego nie zbliżając, zwykle koncentrując uwagę na drobnym szczególe z pobocza głównego wątku, urywając w pół słowa, czasem milcząc, abym mógł nasłuchiwać. Gdy zacząłem dopytywać o sprawy narodowe, o to czy Polak, czy Litwin, czy katolik czy kto tam jeszcze, samym gestem ciała dał mi znać, że tak nie trzeba, że tutaj – wbrew temu, co sobie wyobrażałem – nikt nie klepie o tym na każdym rogu ulicy, nie wyciąga tego przy każdej nadarzającej się okazji. To przyjezdni z zewnątrz o to wypytują. Mój kolega z Sejn zwykł mówić, że jak da „w gębę dla Wowki” to go nie obchodzi, że on jest Rusek i staroobrzędowiec, tylko, że go wkurzył robiąc jakieś głupstwo. Ale dziennikarz może już z tego zrobić sprawę i odczytać mojego kolegę spontanicznego zachowania

i naturalnych odruchów, wszak jest to już „sprawa narodowa” bądź „wyznaniowa”. To paraliżuje. Jednak nie tylko o to chodziło Winikajtisowi powstrzymującemu mnie od dopytywania o deklaracje narodowe. Zapewne nie wchodzi tu w grę żadne względy światopoglądowe, w których można by się doszukiwać chęci ukrycia własnej tożsamości narodowej, jej asymilacji, zatarcia bądź też czegoś w tym rodzaju. Wręcz przeciwnie. Chodzi więc raczej o kwestię smaku, na co zwracał uwagę Stempowski. Pozostaje tylko odczytać zamiysł dawnych gospodarzy domu, którzy przecież, ustalając zasady dobrego smaku, wiedzieli gdzie przebiega granica, za którą zaczyna się już fałsz i zniszczenie. Wielokrotnie później przekonałem się o mądrości życiowej skrytej w błahym, wydawałoby się i fanaberyjnym odczuciu estetycznym owego dżentelmena o szlacheckim rodowodzie z doliny Dniestru.

Gdy w 1995 roku dotarłem do leżącego na północy Bośni miasta Tuzla, toczyła się w nim jeszcze wojna. Spytałem mieszkających tam przyjaciół dlaczego tych, którzy strzelają do nich z okolicznych wzgórz, nazywają „czetnikami”. Okazało się, że nie mają tutaj najistotniejszego znaczenia analogie historyczne, odwołujące się do istniejących w czasie drugiej wojny światowej para-faszystowskich ugrupowań „ustaszy” i „czetników”. Ważniejsze było to, żeby nie nazywać ich Serbami. Dlaczego? Bowiern Serbowie to także sąsiedzi w ich bloku, czasem członkowie ich rodzin, obywatele Bośni. A moi przyjaciele ciągle wierzyli w Bośnię wielokulturową, w której przyjdzie im żyć razem z innymi. Lepiej więc mówić o czetnikach, lepiej nie przywoływać imion narodów, które rozpętały tak demoniczne moce. Wojna przecież się skończy, a żyć trzeba będzie dalej normalnie.

## 3.

Ze strzępów zapamiętanych słów, niedomówień i znaków pozostawionych przez Wiktora Winikajtisa, które często były wówczas dla mnie niezrozumiałe i nieczytelne, staram się dosłyszeć głos Innego. Nie jest to łatwe, przypomina proces rekonstruowania zapomnianego języka, podczas którego pojedyncze słowa czy sformułowania zaczynają w pełni

ujawniać swój sens dopiero wówczas, gdy odkryte zostaną zasady i cały kontekst ich funkcjonowania. Żeby je zrozumieć trzeba zacząć nimi mówić i nimi żyć, trzeba dotrzeć do obyczajowości, w której były zanurzone.

Nie tak dawno temu Stefan Chwin porównał swoją pracę nad „Hanemanem”, powieścią rekonstruującą świat germańsko-słowiańskiego Gdańska, do pracy paleontologa. Podobnego porównania można by użyć w odniesieniu do wielu twórców kultury działających dzisiaj na Pomorzu, Warmii, Mazurach, Śląsku, Łemkowszczyźnie, Podlasiu, Suwalszczyźnie... Taki jest obecnie nasz los, ludzi odnajdujących się już nie tylko w prężnych szrankach państwa narodowego, lecz także na gruzach zaginionej cywilizacji. Poszukując własnego miejsca i siebie samych pochylamy się nad każdym drobiazgiem, nabieramy szacunku do starych przedmiotów, uważnie odczytujemy ślady przeszłości. Wszystko to w nadziei na odkrycie paradygmatu, z którego zostaliśmy wydziedziczni, a który jest hieroglifem tej ziemi.

Tak więc nie o powrót do przeszłości chodzi, a przynajmniej nie tylko o to. Nie jest to kwestia resentymentu i nostalgii, charakterystyczna dla starszych pokoleń. Odczytanie tego paradygmatu jest potrzebne do życia dzisiaj, bowiem ukryty jest w nim klucz do niejednego skarbcza, do bram miasta i regionu, do etosu ludzi mieszkających w środku. Obecnie nie jest już tak ważne dociekanie dlaczego bramy zostały zatrzaśnięte i kto jest temu winien. Ważniejsze jest odzyskanie do nich klucza. Bez niego żyć będziemy, jak dotychczas, niezadomowieni, albo raczej zadomowieni na prowincji, na obrzeżach i peryferiach, przekonani, że tam są nasze korzenie, w tych subkulturach, gettach, w osobnych dzielnicach, w których pobudowaliśmy stadiony. Można tam być Polakiem, Niemcem, Litwinem... Nauczylismy się już tego całkiem nieźle. Ciągłe jednak nie możemy zostać obywatelami środka. Oznacza to, że nie potrafimy współżyć ze sobą inaczej niż tak jak na stadionie. Widać to szczególnie wyraźnie z perspektywy pogranicza. Tutaj szczególnie trudno jest żyć z zapieczętowanym hieroglifem własnego miejsca. Co chwila dochodzi do utarczek, brakuje kompetencji do wspólnego rozwiązywania problemów, próby dialogu kończą się monologami, ludziom otwartym przybywa wrogów, narasta



podejrzliwość wobec tych, którzy pierwsi wyciągają rękę do zgody. A wszystko to nie wiedzieć czemu się dzieje, jakoś tak mimowolnie, poddane sile bezwładu. Przecież nikt tego nie chce, a przynajmniej niewielu jest tych, którzy mają w tym swój interes. Nie wiadomo jednak jak sobie z tym poradzić. Nawet ci, którzy mają najlepsze intencje, przekonani o swojej dobrej woli nie tylko wobec swoich, odnajdują się w końcu w ślepych zaułku z usypanym stosem problemów i – nie potrafiąc iść dalej – zaczynają się cofać, rozgoryczeni i zrezygnowani.

Wrzesień 1995 roku był okresem kolejnego napięcia w Sejnach. Organizacje Litwinów w Polsce napisały skargę do biskupa Ziembę (do wiadomości Watykanu, kardynała Glempa, Episkopatu Litwy itd.) na hierarchię kościelną, która odmawia im posługi duszpasterskiej w języku ojczystym. Oskarżały, zwłaszcza dziekana parafii sejneńskiej, o „świadome działanie szkodzące utrzymaniu poczucia tożsamości narodowej”. Faktem jest, że w kilku kościołach, w których odbywały się dotychczas msze w języku litewskim (m.in. w Sejnach, Żegarach, Smolanach, Suwałkach), w tym okresie przestano je odprawiać. Powodem był brak księdza-Litwina lub znającego język litewski. Być może hierarchia kościelna działała zbyt opieszale, nie doceniając wagi problemu dla Litwinów. Być może trudno było znaleźć kogoś do tej posługi po tym, jak parafianie z Puńska zimno rozstali się ze swoim proboszczem, księdzem Dziermęką, nie wpuszczając go do swych domów, gdy szedł z kołędą. Kryją się za tym wszystkim oczywiście długie historie wydarzeń poprzedzających te fakty. Nie będę ich teraz przywoływał. Teraz ważne jest to, że po tym liście ksiądz Kazimierz Gacki, dziekan parafii sejneńskiej, stracił cierpliwość. *Przegląd Sejneński* opublikował jego wystąpienie pełne żalu i urazy, bardzo agresywne wobec Litwinów. Odpowiedział mu Bronisław Makowski, przewodniczący rady Wspólnoty Litwinów w Polsce, nie podejmując jednak polemiki, ograniczając się do ogólnych stwierdzeń typu: „my, świadomi swych praw i obowiązków w Kościele i państwie...” W obu wystąpieniach trudno było dostrzec choćby delikatnej intencji nawiązania dialogu, poddania w wątpliwość własnych racji, krytyki skierowanej ku własnemu środowisku.

W oczach księdza dziekana Makowski był nacjonalistą, jednym z tych działaczy-krzykaczy, którzy świadomie dążą do konfrontacji i konfliktu, zatruwając tylko życie normalnym ludziom. W oczach przewodniczącego ksiądz był wrogiem Litwinów, przedstawicielem zacofanego ciemnogrodu, z którym nie warto nawet podejmować polemiki.

Ksiądz Kazimierz Gacki całkiem niedawno przybył do Sejnu z najlepszymi intencjami, pełen dobrej woli wobec Litwinów, uważający się za ich przyjaciela. Myśli o sobie jako o osobie bardzo tolerancyjnej i ma do tego sto procent pewności. Przewodniczący Bronisław Makowski, który jest też uznanym historykiem, autorem książki „Litwini w Polsce”, również nie ma złych intencji wobec Polaków. Uważa siebie za obrońcę uciskanej mniejszości w Polsce i osobę bardzo tolerancyjną, co do czego ma też sto procent pewności. Obaj cieszą się szacunkiem wielu osób, a ich myślenie i działanie nie różni się niczym szczególnym od naszego. Tylko, że gdy spotkali się na obszarze pogranicza, doszło między nimi do sporu, którego rachunek przedstawia się następująco: tolerancja i 100% racji plus tolerancja i 100% racji równa się brak tolerancji i konflikt racji.

Oto przykład sporu, jednego z tych, których na pograniczach doświadczamy nieustannie i z którymi nie potrafimy sobie poradzić. Nie wystarczą dobre intencje. Jestem pewien, że przy organizacji zaplanowanego na czerwiec tego roku spotkania twórców kultury polskiej i litewskiej, celem którego jest kolejna próba zbliżenia do siebie Polaków i Litwinów, współpracować będą zarówno ksiądz Gacki jak i przewodniczący Makowski. Już dziś wiadomo, że ksiądz będzie gospodarzem koncertu litewskiej muzyki organowej w bazylice sejneńskiej, a przewodniczący, który przyjedzie by uczestniczyć w samym spotkaniu, dziś służy swą wiedzą i kontaktami organizatorom z Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy. Tak więc, podobnie jak wielu z nas, zaagnazowani są w sprawę, którą uważamy za słuszną i potrzebną. Dlaczego zatem nie wszystko nam się udaje? Z pewnością wiele dało by się powiedzieć o pewnym braku kompetencji. Można próbować to zmienić organizując różnego rodzaju spotkania i szkolenia, ucząc metod rozwiązywania konfliktów i otwartego dialogu. Można powoływać specjalne organizacje, pełno-

mocników rządów, kościołów i mniejszości, czcigodne rady i inne gremia. Można tworzyć i udoskonalać prawo z myślą o mniejszościach, o słabszych, o tolerancji. Wszystko to z pewnością okaże się pomocne i użyteczne, wskaże na zaniedbania i luki, które już dawno powinno się zażegnać. I tylko tyle, nic więcej. Hieroglif pogranicza w dalszym ciągu pozostanie nieodczytany. Tolerancja? Leszek Kołakowski w swej pogadance o tolerancji w telewizji polskiej przekonywał, że jej zasadniczym gwarantem nie jest prawo. Ustawa czy zarządzenie o tolerancji mogą wiele pomóc, ale nie decydują jeszcze o tym, że społeczeństwo w tym państwie będzie tolerancyjne. „Powtarzam: – mówił Kołakowski – tolerancja jest chroniona mniej przez prawo, a więcej przez utrwalanie się obyczajowości tolerancyjnej”.

No cóż, myśleć o sobie jako o człowieku tolerancyjnym – a któż z nas myśli inaczej – to jedno, a nasza tolerancja w sytuacji pogranicza, czyli w sytuacji próby, to drugie. Przez całe lata starałem się doszukać w głosie Innego jakiejś wiedzy o człowieku tolerancyjnym, ale nigdy nie uzyskałem odpowiedzi pozytywnej, podkreślającej istnienie jakichś cech, które można osiąść i tym samym stać się tolerancyjnym. Może to dziwne, ale wszystko wskazywało na to, że chodzi raczej o wyzbycie się czegoś, uciszenie... Dzisiaj myślę o człowieku tolerancyjnym jako o tym, który nie ufa swemu przekonaniu o własnej tolerancji, nie daje się w tym mniemaniu utwierdzić i nieustannie poddaje je w wątpliwość.

## 4.

Od czasu tamtej wieczornej rozmowy z Wiktorem Winikajtisem nie dawała mi spokoju świadomość, że zamieszkuje on obszar, do którego nie mam dostępu. Zazdrościłem mu tego. Kiedy chciał mógł się znaleźć również w moim świecie, którego bramy przekraczał bez trudu. Znał zresztą ten świat na wylot, umiał się w nim sprawnie poruszać. Wielokrotnie rozmawialiśmy o zaszłościach historycznych ciągle żywych na pograniczu. Przychodził czasem do naszej księgarenki w „Białej Synagodze” by zakupić książki Łossowskiego, Makowskiego, Greimasa, Zukasa i innych.

Jego wiedza historyczna była imponująca. Znał źródła napięć i wiedział jak one dzisiaj przebiegają. Trafnie przewidział problemy, które dopadną nowego przybysza, wkraczającego w strefę pogranicza. *Musisz wytrwać w sytuacji pomiędzy młotem i kowadłem, choćby ci doskwierało żes nie-swój. Pozostań nie-swój i nie sądz naiwnie, że uda ci się pogodzić młot z kowadłem. Szukaj raczej dla siebie trzeciej drogi, a ta biegnie zawsze bliżej człowieka niż zbiorowości. Po jakimś czasie może się okazać, że nie jesteś sam. Pamiętaj, że to nie Warszawa, gdzie czasem, by rozwiązać jakiś problem, trzeba wstrząsnąć opinią publiczną, zorganizować protest czy demonstrację, przeprowadzić akcję w mass mediach. Na pograniczu wzniecasz w ten sposób trudny do ugaszenia pożar. Tutaj lepiej nie dotykać żywej rany. Jeśli chcesz trafić w cel, do którego mierzysz, nie patrz nigdy wprost, zawsze trochę wyżej lub niżej, troszkę obok.*

Dobre rady, których dosłuchiwałem się w głosie Innego, doskonale potrafiły zatrzeć granicę pomiędzy otaczającym mnie światem i tym, co najbardziej osobiste. Najwidoczniej chciał, abym nie oddzielał rzeczywistości pogranicza od swych własnych słabości, abym szedł dalej, pozostawiając za sobą granice państwowe, narodowe i kulturowe, kierując się ku prawdzie o sobie samym.

Obserwowałem Winikajtisa jak oprowadzał gości po klasztorze przechodząc płynnie z języka polskiego na litewski. Każdy miał go za swojego, a raczej chciał mieć za swojego, choć wszyscy czuli, że są tylko przechodniami miejsca, które jest jego domem. Znał ich języki i obyczaje. Mimo, że otwierał przed nimi różne drzwi, prowadził ich do katakumb i na wieżę, ostatecznie pozostawiał ich zawsze przed bramą, którą sam tylko przekraczał, wchodząc do samego środka. Tam zamieszkiwał – obywatel środka.

Krzysztof CZYŻEWSKI

## Sprawy i troski

# Mieszkanie, buty, telewizor

*Czy Stocznia Gdańska stanie się znowu kuźnią jutra i czy tym jutrem będzie Polska rządzona przez związki zawodowe?*

Mój syn, wówczas student, był wstrząśnięty rozmową, jaką odbył z przypadkowym przechodniem w parku Commons w Cambridge, stan Massachusetts. Dopiero co przylecieliśmy z pogrążonej w stanie wojennym Polski przekonani, że świat o niczym innym nie mówi i nie myśli. Ale ten przypadkowy przechodzień wcale nie był ciekaw zbrodni ZOMO ani płomienia wolności w podziemiu. – Poza wolnością, czego ludzie u was chcą? – Chcą mieszkań, butów, telewizorów – zaczął wylizywać mój syn. – To zupełnie jak u nas – skonstatował tamten, a na protesty syna, który kiepską podówczas angielszczyzną usiłował przekonać go, że skąd, ludzie w Ameryce mają o wiele wyższe ideały, bo urodzili się pod statuą wolności, odpowiedzieli: – Pewnego dnia przekonasz się, że w gruncie rzeczy ludzie wszędzie są tacy sami.

Czekaliśmy na ten dzień dosyć długo, ale kiedy wreszcie nadszedł, okazało się dokładnie tak, jak mówił ów przypadkowy: ideały od święta, na co dzień mieszkania, buty i telewizory. Materializm, nie ten dialektyczny, ale normalny, życiowy, wypiera idealizm, który jawi się dosyć staroświecko i nawet ma swój wdzięk, jak antyczny klucz od zegara, który już dawno przestał chodzić. Nawet Chińczycy, o których opowiadano takie głupstwa, że idee konfucjańskie każą im lubić stadne wiece i maoistowskie mundurki, odłożyli czerwone książeczki, a wzięli do rąk czekowe. Nie myślę wykpiwać zdań w rodzaju „chcemy godnie pracować i godnie zarabiać”, godność jest ważna, ale w tłumaczeniu na język konkretów oznacza to na ogół „chcemy wygodnie pracować i dużo zarabiać”.

## Za, a nawet przeciw

Tak, jestem przeciwnikiem związków zawodowych, które nader chętnie mówią o godności – nawet, jeżeli noszą dumną nazwę „Solidarność” i nawet, jeśli ponoszą główną zasługę za obalenie komunizmu. Ludzie są wszędzie jednakowi, chcą mieszkań, butów i telewizorów – ażeby im je dać w odpowiedniej ilości i jakości, trzeba pracy nie tyle godnej, co dobrze zorganizowanej. Teoretycznie, owszem, każdy związkowiec powie, że to właśnie taką pracę gorąco popiera. W praktyce jednak jest inaczej: popiera dłuższe wakacje, krótsze godziny, wyższe płace i co najgorsze – obfitsze dotacje.

Nie doszłoby do widowiskowej „śmierci na raty” Stoczni Gdańskiej, gdyby związkowcy nie wymuszali podwyżek płac ponad siły swojego przedsiębiorstwa z nadzieją, że dotacje rządu i tak je wyrównają. Nie upadłyby Warszawskie Zakłady Telewizyjne „Elemis”, gdyby związkowcy z nawykami z czasów monopolu nie opanowali kierownictwa tej wielkiej fabryki: podobnie jak gdańscy stocznioowcy wierzyli, że są niezapłacalni. Nie rozpadłyby się zakłady przemysłu zbrojeniowego, gdyby ich szefowie energię kierowali na znalezienie niszy rynkowej, zamiast (nieskutecznego na ogół) perswadowania własnym załogom, że wypłacić podwyżki nie ma z czego.

Sprawę pogarsza rywalizacja między związkami: OPZZ nie może być gorsze od „S”, więc czerwona sentymenty polityczne odkładając na bok, licytuje się w żądaniach. Na co dzień nie jest tych żądań specjalnie wiele, ale im bliżej wyborów, tym bardziej poziom adrenaliny się podnosi i ton zaostcza. Jak długo zwarty blok SLD wytrzyma te naprężenia między rządem a związkowcami, Bóg jeden raczy wiedzieć, ale z pewnością niejedno ostre słowo podczas posiedzenia klubu poleci: tylko Wałęsa potrafi być jednocześnie za, a nawet przeciw.

## Klasa rządząca nie lubi się przemęczać

Wizja państwa syndykalistycznego, państwa rządzonego przez związki zawodowe przesładuje mnie po nocach. Nawet gdyby to państwo nie było właścicielem blisko połowy gospo-

darki, byłaby to wizja koszmarna. Przez taki koszmar przeszła Wielka Brytania, tak długo rządzona przez Labour Party, której siła płynęła właśnie ze związków, aż się wyborcy opamiętali widząc, że zostawili ich w tyle nie tylko Niemcy, nie tylko Francuzi, ale nawet Włosi! Ale kiedy się wreszcie spostrzegli, że Wielkiej Brytanii grozi spadek do małej III ligi, poparli partię konserwatywną i tak trwają nieprzerwanie od blisko 20 lat.

W czasach PRL pokpiwano sobie z robotników, że klasa rządząca nie lubi się przemęczać. Było w tym więcej racji niż kpiny. Nie przypadkiem tamten ustrój wołał pełne zatrudnienie niż przywoitą wydajność. Gierek mawiał: wolę kolejki przed sklepem mięsnym, niż przed urzędem zatrudnienia. Ale ludzie niekoniecznie tak woleli. Ludzie chcieli mieszkań, butów, telewizorów, których niezdarny system nie mógł im dostarczyć. Mówiąc bez ogródek: system dawał pracę może i godną, ale nie potrafił zmusić innych ludzi, żeby odpowiednio tanio i dobrze te mieszkania, buty i telewizory wytwarzali. Nawet już po roku 1990 we wspomnianych zakładach „Elemis” na jednego pracownika przypadało 27 wytworzonych telewizorów rocznie, podczas gdy u Philipsa w Kwidzynie ponad tysiąc!

### *Po co istnieje stocznia*

Tamten system socjalistycznej gospodarki planowej, stworzyli ludzie, którzy pamiętali kolejki pod urzędem zatrudnienia z czasów przedwojennych. Wtedy robotnicy domagali się pracy. W socjalizmie na odwrót, proszono robotników żeby pracowali. Teraz karta znów się odwróciła. Stoczniovcy w Gdańsku, jak za sanacji, żądają pracy. Tyle że wtedy komuna tym żądaniom przyklaskiwała, a dzisiaj jest obiektem wrogich okrzyków. Wtedy kapitalizm atakowała, dzisiaj go broni jak niepodległości.

Czy stocznia istnieje po to, żeby parę tysięcy ludzi miało zatrudnienie, czy też po to, żeby armator miał statki, a właściciel stoczni zysk? Czy pracy, która jest sposobem wytworzenia statków, mieszkań, butów i telewizorów, a nie celem samym w sobie – można żądać? Rząd Cimoszewicza nie ma

tu wątpliwości – ale czy tę elementarną logikę pojąłby rząd, gdyby związek zawodowy „Solidarność” obalił zniechędzoną komunę i sam objął ster rządów? I czy wtedy robotnicy wytwarzający statki darowałiby w imię solidarności i „Solidarności” kiepską jakość i wysoką cenę swoim kolegom wytwarzającym mieszkania, buty i telewizory?

20 lat temu Polska, jeszcze wtedy Ludowa, kupiła na dogodny kredyt od angielskiej państwowej stoczni kilka statków. Transakcja wywołała zażartą dyskusję w Izbie Gmin. Rządzący wtedy labourzyści twierdzili, że bez tych zamówień stocznia by upadła, a ponieważ Polacy nie mieli czym zapłacić, trzeba im było dać kredyt. – Czy nie bardziej by się opłacało, jeżeli już trzeba było dać brytyjskim stoczniovcom pracę, wyprodukować te statki, wypłynąć nimi na środek Atlantyku i tam zatopić? – spytał jeden z posłów konserwatywnych.

Nic dziwnego, że po tej właśnie kadencji labourzyści utracili władzę i do dzisiaj jej nie odzyskali.

### *Bruk na razie miękki*

A teraz Niemcy, do niedawna niedościgły wzór, największy eksporter świata, symbol rzetelności i wydajności. W latach cudu gospodarczego Niemcy obrośli w sadło, z którym teraz bardzo trudno nadążyć za innymi. Olbrzymie rezerwy dewizowe stopniały, bo miliardy poszły na uzdatnianie wschodnich landów, ale co gorsza – stopniała przysłowiowa niemiecka pracowitość. Znowu okazało się, że człowiek jest istotą ułomną, że nadmiar bezpieczeństwa rozleniwia go, że najpewniejszą drogą do wymuszenia pracy dla innych – jest płaca, a nie jałmużna.

Ta płaca, bodaj najwyższa w świecie (może na równi ze Szwajcarami), jest jednym z głównych zmartwień niemieckiej gospodarki. O wiele tańszy jest robotnik w sąsiedniej Polsce, czy we Francji, nawet w Ameryce – i niemiecki przedsiębiorca, nie zważając na względy patriotyczne, co tylko może wytwarza za granicą. Oglądałem niedawno fabrykę aut BMW w stanie Południowa Karolina: tam owocuje ożywieniem okolicy, która upadała, w co trzecim domu okna były zabite

deskami, a teraz pojawiają się nad nimi szyldy małych kafejek, moteli, warsztatów. Za to w Niemczech nowe setki zwolnionych robotników idą na bruk (na razie niezbyt twarde), padając ofiarą własnego dobrobytu. Liczby są bezlitosne: godzina pracy w stanie Karolina kosztuje 12-16 dolarów, podczas gdy w Bawarii 35-40 dolarów.

Liczba bezrobotnych Niemców zbliża się już do 5 milionów, bijąc rekord powojenny i przywodząc na pamięć początki Hitlera. Kto wie, czy pewnego dnia ci bezrobotni nie zagłosują na partię nacjonalistyczną? Ale na razie o zmartwiegniach społeczno-gospodarczych: niemiecki bezrobotny dostaje zasiłek wyższy, niż amerykański pracownik minimalną płacę. Nic dziwnego, że do pracy się nie kwapi, nic dziwnego, że i tak kosztownych miejsc pracy nie przybywa.

Niemieckie związki zawodowe, dotychczas skłonne do kompromisu, coraz ostrzej pokazują zęby. Już dochodzi do strajków głodowych, już pracownicy zagrożeni zwolnieniami przykuwają się do bramy, już zdarzają się przepychanki z policją. Nasi stoczniowcy, których czeka nieporównanie gorszy los niż niemieckich bezrobotnych, zapowiadają walkę: widzimy w telewizji, jak to robią Niemcy i my pójdziemy tą samą drogą!

### *Wszystkiemu winni komuniści*

Rozwodzę się tak obszernie na temat Anglików i Niemców, bo to zestawienie wielce pouczające: Anglia po latach socjalizmu przestawiła się na kompletnie wolny rynek (tam naprawdę wszystko, co nie jest zabronione, jest dozwolone – a zabronione nie jest niemal nic) i chociaż z gorszego startu – szybuje w górę jak rakieta: najszybszy w Europie Zachodniej wzrost, największy obrót kapitałów, największy przyrost nowych miejsc pracy. Niemcy po latach kapitalizmu zamarzyli o ciepłych bamboszach i mają stagnację połączoną z luksusowym, póki pieniądze się nie skończą, bezrobociem.

Rozgoryczeni stoczniowcy z Gdańska chcą iść drogą niemieckich górników, a nie stoczniowców ze Szczecina, którzy podporządkowali się sprawnemu menadżerowi, zacisnęli pasa, zrezygnowali na jakiś czas z podwyżek płac – i dziś ich stocznia ma portfel opłacalnych zamówień na lata, a oni bezpiecz-

ny i dostatni byt. Rozgoryczeni związkowcy z setek innych przedsiębiorstw wolą wierzyć, że winni wszystkiemu są postkomuniści – niż pogodzić się, jak Anglicy, z myślą że życie jest twarde.

Czego zresztą oczekiwać od związkowców? Komentując protest gdańskich stoczniowców minister pracy i płac, profesor prawa i niedoszły prezydent powiedział: kłopoty robotników byłyby o wiele mniejsze, gdyby w ustawie prywatyzacyjnej dopisano słówko o ich prawie do współdecydowania. Pomijając nawet magiczną wiarę w moc sprawczą paragrafów, ja uważam wprost przeciwnie: ich kłopotów w ogóle by nie było, gdyby związki zawodowe miały mniej do powiedzenia, a szlachetny w założeniu pakt o przedsiębiorstwie nie odstraszał każdego potencjalnego inwestora. Podchody do zakupu firmy zaczynać on musi nie od pytań o jej cenę, markę, technologię czy kooperację, tylko od potwierdzenia, że zamierza spełnić obietnice, jakie już załodze poczyniono i jeszcze coś dołożyć od siebie.

Gorzki paradoks losu polskich robotników polega na tym, że ich aktywna postawa, ich niewątpliwa zasługa w przesunięciu koła historii, ich okupione ofiarami prawo do partycypacji obraca się dzisiaj przeciw nim: małe Węgry przyciągnęły więcej kapitałów zagranicznych, niż 40-milionowa Polska. Ale tam robotnicy nigdy nie wywalczyli sobie prawa do współzrządzenia, a głos decydujący należy do menadżera.

Czy Polacy rozumieją, jakie są zasady tej gry? Czy zdają sobie sprawę, którejdy droga go obfitości mieszkań, butów i telewizorów? Czy pogodzą się z oczywistą prawdą, że nie tylko ludzie są jednakowi, ale i prawa ekonomiczne są uniwersalne? Że dla nas, choćbyśmy byli nie wiem jak ukrzywdzeni przez historię, wyjątku nie zrobią?

Czy też kolejny raz ulegną potoczystej wymowie jakiegoś demagoga, który powie, że my, Polacy, damy sobie radę sami. Albo że wszyscy kradną, tylko on ma ręce czyste. Albo że każdy powinien dostawać godną płacę za godną pracę. Albo obieca jakieś inne gruszki na wierzbie. Na przykład każdemu mieszkanie, buty, telewizor.

*Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI*

## Kartki ze skażonej strefy

Jak skażenie, to skażenie! Obejmuje wszystko. Przyczynia się więc również do przyrostu niewidomych w Polsce. Mamy ich 80 tysięcy, rocznie przybywa dodatkowych 5 tysięcy. Żniwo zbiera cukrzyca (diabetycy często zapadają na oczy), ale przede wszystkim zabójczo działa zatruta ziemia, powietrze, niebo, woda i pożywienie. Wyczuwa to każdy mieszkaniec wszystkimi zmysłami, szczególnie po dłuższej nieobecności w kraju. Ale tu nie o wycucie chodzi, ale o fakty, konkretne fakty z zakresu stanu zdrowia społeczeństwa. W przypadku niewidomych przykładowo, w czystej Szwecji liczba inwalidów wzroku jest dziesięciokrotnie niższa niż u nas. Nie poprawia rosnącej negatywnej statystyki postęp medycyny, chociaż widoczny bardzo w usuwaniu zaćmy i wymianie soczewki. Zabiegu dokonują coraz liczniejsze gabinety prywatne, za bajorńskie – co prawda – sumy. Niestety, całej gałki ocznej wymienić się nie da, jak serca czy innych organów, bo siatkówka, na przykład, jest powiązana ważnymi nitkami z mózgiem. Tak więc niektóre schorzenia wzroku pozostają nieusuwalne.

Mam i ja swoją historię ze środowiskiem niewidomych, ciągnącą się od młodości po dzień dzisiejszy. Zetknęłam się z nimi w ciągu życia kilkakrotnie w różnych sytuacjach i zawsze robiło ono na mnie wrażenie krzepiące poprzez swoją inteligencję, zborność i optymizm. Nic z płąksowości i uzalania się nad sobą. Jest zapewne prawidłowością natury, że brak czy defekt mobilizuje człowieka generalnie, uruchamiając pozostałe siły.

Każde z tych moich zetknięć stanowi dobry temat na dłuższe opowiadanie, tutaj je tylko nakłuję.

Za komunizmu reporterzy brali chętnie na warsztat ludzi niepełnosprawnych. Był to często temat zastępczy, stosunkowo niewinny, bo nie trzeba było za wiele kłamać, czasem można było pomóc, i co tu dużo gadać, ludzie lubią sobie

poczytać o cudzych nieszczęściach.

Wybrałam się więc i ja któregoś razu do podwarszawskich Lasek. Słowo „Laski” nasuwa różne skojarzenia, bo jest to miejsce-azyl o wielorakiej działalności, tradycji i symbolice, ale przecież wszystko zaczęło się od Matki Czackiej i jej pionierskiego ruchu na rzecz niewidomych. Stworzyła w Laskach pierwszą szkołę. Wzorcową do dziś.

Opisałam ją wtedy, w latach siedemdziesiątych, z wielkim zapałem. Te żywe dzieci z przetlenionych inkubatorów, dla których czerń na wieki pozostanie jedynym światłem. Przypatrzyłam się lekcjom, gdzie ich palce biegały po brajlu i po wypukłych mapach jak po klawiszach fortepianu, obejrzałam zawody gimnastyczne, gdzie przeciwne drużyny rozpoznawały się po tym, że jedna była w koszulkach, a druga – „w nagich torsach”, posłuchałam pięknego śpiewu (to nieprawda, że niewidomi są z natury muzykalni, to brak jednego zmysłu udoskonala inne), a wieczorem chłopcy odprowadzili mnie dróżkami na skróty przez las do przystanku autobusowego, daleko lepiej „widząc” w ciemności niż ja.

Ponownie zetknęłam się z Laskami na nowojorskim Manhattanie, kiedy znajoma oznajmiła mi, że we wtorki i czwartki bywa zajęta, bo idzie do „Lasek”.

Manhattańskie Laski polegają na tym, że kilka pań z emigracji, społecznych pracownic Nowojorskiego Komitetu Niewidomych w Polsce – instytucji mającej swoją kilkudziesięcioletnią historię, sięgającą dwóch wielce zasłużonych sióstr Rodzińskiej i Krance z domu Lilpop – instytucji wartej osobnej monografii, otóż w tymże Nowojorskim Komitecie, przy zawalonych biurkach, w wynajętym pokoju siedzą wolontariuszki nad stertami książek telefonicznych z całych Stanów Zjednoczonych i z benedyktyńską cierpliwością, nierzadko z lupą przy oku, wybierają z nich nazwiska o polskim brzmieniu. Następnie, pod wybrany adres kierują zestawy złożone z zaadresowanej zwrotnie koperty oraz wkładu. Wkład stanowi informacja o niewidomych w Polsce wraz z prośbą o datek i czek, który należy wypełnić, a wszystko razem ofrankować i włożyć do skrzynki pocztowej. Doświadczenie dyktuje pracownikom socjologię wyboru.

Listy do bogatych, lekarzy, adwokatów, z reguły pozostają bez reakcji, zwracają się więc raczej nie do profesjonalistów, ale do ludzi mieszkających w zapadłych dziurach a nie w wielkich miastach, a szczególnie, w siedliskach najstarszej Polonii. Listy, które nadchodzą wraz z czekami, mogą stanowić ciekawy przyczynek do historii emigracji.

Oto kilka próbek.

„...mnie się ózbierało kilka tysięcy z banku, to naco bandą leży?”

„...wszystko wysyłam, nic nie sejuję, bo ja żyję tylk na godziny”.

„...ja posyłam na wasze rence dwa tysiące dolary dla nich, co nie widzą na własne oczy”.

Ktoś przeprosza za ortografię: „bo ja samoug, bo w scolie niebył”, ktoś informuje, że wyemigrował jeszcze za caratu, ktoś inny spieszy się z wysyłką, bo ma sto lat. Z zakładu psychiatrycznego pisze pacjent najpoprawniejszą polszczyzną „Wysyłam Szanownemu Komitetowi \$ 20. Ja te pieniądze skombinowałem w pewien sposób, bo ja jestem umysłowo chory”.

Najbardziej wzruszają darowizny za odszkodowania zdrowotne przekazywane w całości oraz czeki jednodolarowe. Tych jest najwięcej. „Załączam jednego dolara na bidne dzieci, to co ja mogę dać...”

Ale właśnie te zwielokrotnione jednodolarówki stanowią podstawę zbieranych sum. Pan Stanisław Świdorski, kolejny społecznik również godny osobnej biografii, dawniej wieloletni pracownik koncernu IBM na kierowniczych stanowiskach, a obecnie dowodzący Nowojorskim Komitetem, postać niezwykła, nie chce mi podać zbiorczych kwot, żeby nie płoszyć przyszłych ofiarodawców. Są tak wielkie. W czasach mocnego dolara, przed reformą Balcerowicza, za te kwoty i przy dynamice działania Świdorskiego zrobiono dla niewidomych w Polsce wszystko, co było najlepszego w świecie w tej materii. Nie tylko wyposażono Laski w najnowsze urządzenia, ale rozbudowano sieć domów pomocy i rehabilitacji w całej Polsce. Jerzy Myszak, obecny prezes Fundacji Pomocy Niewidomym w Polsce, agendy nowej i prężnej, mówi mi, że czeka wizyty Świdorskiego nie tylko ze względu na zasilenie kasy (pieniądze płyną już dziś z różnych źródeł), ale na jego wsparcie psychiczne i logistyczne, niestrudzoną pomysłowość, energię i

wiarę, jaką trudno zachować mieszkając stale w Polsce. Obaj głowią się, jak najlepiej zagospodarować finanse, żeby nie zjadła ich biurokracja. Pan Świdorski jest częstym gościem w Warszawie na Jasnej 22, gdzie mieści się Fundacja, w dawnym domu Centralnego Związku Spółdzielczości Niewidomych, który upadł wraz z całą spółdzielczością inwalidzką.

„Niewidomy Spółdzielca” kolejna nazwa-hasło, nazwa-symbol. Któż mógłby się tego spodziewać, ale to właśnie tam, w skromnym piśmie branżowym Związku Niewidomych, od początku stanu wojennego znalazło przytulisko wielu dziennikarzy wyrzuconych ze swoich redakcji z dnia na dzień. Szczególnie czynny był tam Dariusz Fikus, późniejszy naczelny dziennika *Rzeczpospolita*. Symbioza niewidomych ze światem dziennikarskim zaowocowała nie tylko na łamach, które rozrosły się tematycznie, ale i w bliskich kontaktach osobistych. Pokoje redakcji w siedzibie na Konwiktorskiej 7/9 stały się – podobnie jak kościoły – znaczącym miejscem spotkań opozycji, wymiany nielegalnych druków i myśli. Któż wówczas nie chadzał do „Ślepca”?! Któż nie pamięta tej niepowtarzalnej atmosfery konspiracji i braterstwa, unoszącej się w powietrzu?! Ówczesny naczelny pisma, a obecnie dyrektor Centralnej Biblioteki Związku, niewidomy, Sylwester Peryf, wspomina to zbliżenie nie tylko z łezką, ale jako budującą twórczą wspólnotę. Tak, były to czasy kiedy Polacy spotykali się z Polakami w różnych przekrojach i konfiguracjach społecznych, nigdy – ani przedtem, ani potem, nieosiągalnych. Cóż, było minęło, jak cała tamta epoka.

Ale nie minęły moje kontakty z tym światem. Niemal równocześnie z ukazaniem się w druku mojego „Andersa spieszonego” otrzymałam list firmowy Zakładów Nagrań i Wydawnictw Związku Niewidomych z prośbą nieodpłatnego przegrania książki na kasety dla potrzeb środowiska. Zgodziłam się, nie bez zdziwienia wszakże, że zainteresowała ich taka właśnie pozycja. Wkrótce otrzymałam egzemplarz autorski w postaci kilku świetnie nagranych kaset. Zdziwienie moje wzrosło, gdy to samo nastąpiło po ukazaniu się na rynku „Księcia z Maisons-Laffitte”.

Czy zainteresowania czytelnicze ludzi niewidzących są tak

rozległe, a możliwości organizacyjne Zakładu Nagrań tak dobre, że mogą sobie pozwolić na nagrywanie dość nietypowej literatury? Kto z tego korzysta? Czy to nie trochę działanie, jak to u nas, po megalomańsku, na wyrost, na pokaz? Ale gdy zadzwonili do mnie niewidomi „czytelnicy”, starzy ludzie nie tylko z Warszawy, ale i z Kanady, z wnikliwymi uwagami krytycznymi na temat przesłuchanych pozycji, zmieniłam zdanie i na tyle mnie to zaciekawiło, że postanowiłam udać się do źródła.

Znane mi z dawnych lat zabudowania Związku Niewidomych, na Konwiktorskiej. Przyjmuje mnie inżynier Jan Rodański, szef tutejszego Zakładu Nagrań i Wydawnictw. Dziesięć lat temu, w wieku lat 45-ciu, w pełni sił i intensywnej pracy zawodowej u „Kasprzaka”, na skutek nieuleczalnej choroby siatkówki traci wzrok i ostatecznie ląduje tu, gdzie go spotykam.

Jest figłem losu – a raczej prawidłowością naszej epoki przełomu, że w międzyczasie prężne niegdyś – jak się mówiło – wiodące Zakłady Radiowe im. Kasprzaka bankrutują, a nagrania dla niewidomych przeciwnie, rosną w siłę. Tak więc, mierząc w tych kategoriach, inżynier Rodański nie stracił ani posady, ani znaczenia.

W jego zakładzie nagrywa się 180 pozycji książkowych rocznie, a możliwości pozwalają na rozwój. Studio nagrań w pełni wyposażone w profesjonalny sprzęt i personel, niczym nie różniący się w jakości od zawodowego radia, pracuje od rana do nocy. Długie książkowe pozycje nagrywają najlepsi lektorzy i aktorzy za symboliczną złotówkę. „Za tyle, żeby im się benzyna zwróciła, jak tu przyjeżdżają”. Nie zdarza się, żeby ktoś odmówił, podobnie jest z autorami i tłumaczeniami. Z Zakładu pana Rodańskiego wychodzi produkt najwyższej klasy, nieporównanie lepszy niż analogiczny na całym Zachodzie, gdzie na ogół książki przegrywane dla niewidomych czytają przypadkowi wolontariusze, przechodnie z ulicy.

Odbiorcami nagranych kaset jest Centralna Biblioteka mieszcząca się na miejscu oraz sto bibliotek terenowych posiadających działy książki mówionej. Ciekawe, a właściwie charakterystyczne, dla dzisiejszych czasów, że częstszymi

odbiorcami bywają małe miasteczka, gdzie nie umiera kultura głęboka, a nie wielkie ośrodki.

Zakłady inżyniera Rodańskiego pracują też na eksport. Największym odbiorcą jest Australia (zdarzyło się, że jednego roku zapotrzebowano 30 tysięcy kaset). Bierze też Londyn, Szwecja, Kanada, trochę Francja i Niemcy, najmniej, o dziwo, gdzie Polonia najliczniejsza, USA. Dla indywidualnych zainteresowanych, a podejrzewam, że liczba ich będzie się zwiększać, podaję bez wahania adres:

Zakład Nagrań i Wydawnictw Związku Niewidomych,  
00-216 Warszawa, ul. Konwiktorska 7/9, tel. 312271.

Zgłaszajcie się i zamawiajcie!

*Boom* książki mówionej wynika z sytuacji. Proporcje wiekowe niewidomych zmieniają się. Na skutek działań nowoczesnej okulistyki coraz mniej w nich dzieci, a w związku z wydłużaniem się życia ludzkiego, coraz więcej ludzi starszych. Ci się już brajla nie nauczą tak biegle, żeby czytanie nie było dla nich problemem. Opuszki palców straciły odpowiednią czułość. Brajl, pismo uczone stale w szkołach dla niewidomych, głównie dla poznania cech języka, jego ortografii i interpunkcji, w praktyce staje się powoli pismem historycznym. Ponadto książki brajlowskie to ciężar i przestrzeń. Potężne tomiszczą zajmują teren równy halom fabrycznym. Przykładowo, trzystustronicowa książka czarnodrukowa wymaga sześciu tomów brajla.

Nie ulega więc wątpliwości, że przyszłość należy do książki na kasecie.

Interesują mnie kryteria doboru. Co nagrać, co pominąć z rynkowej oferty wydawniczej. Okazuje się, że doborem kieruje zasada bestselleru. Nagrywa się to co głośnie, o czym się mówi i pisze. Decyzja należy do trzyosobowej redakcji, której przewodniczy on, Jan Rodański. Oczywiście, nie sposób uniknąć własnych preferencji. W ten sposób w pierwszej kolejności na liście znalazła się „Autobiografia na cztery ręce” autorstwa Giedroyc-Pomian, bo jak informuje mnie pan Rodański, wizja polityczna szefa paryskiej *Kultury* była mu bliska od zawsze.

Dużo pozycji podpowiadają sami czytelnicy (niewidomi są pozeraczami książek), bibliotekarze oraz zapowiedzi oficyn wydawniczych, w których połapać się bywa coraz trudniej ze



względu na ich mnogość i zmienność.

Zakład ma parę podstawowych działów: literatury polskiej, literatury obcej, literatury lekkiej, do której należą romansidła i kryminały. Jest też dział lektur szkolnych i pozycji ambitniejszych, jak na przykład poezja, która również cieszy się wzięciem i wcale nie leży na półkach. Zakład nagrał Wisławę Szymborską na długo przed Noblem. Czasopism, prócz własnych, branżowych, Zakład jeszcze nie wydaje, co nie znaczy, że w przyszłości po nie nie sięgnie. Jest przecież w okresie bujnego rozwoju. Są samowystarczalni finansowo, nie muszą czerpać z Fundacji, którą wspomaga między innymi wspomniany Nowojorski Komitet. Ale Jan Rodański zna doskonale Stanisława Świdierskiego. „Był u mnie nie dalej jak wczoraj” – mówi. Też jest zdania, że ten działacz zza oceanu inspiruje i uskrzydla ich pracę.



Wejście w świat niewidomych unaocznilo mi, że istnieją pola w naszej skażonej strefie nie tylko wolne od zarazy, ale takie, z których mogłyby czerpać jak z czystego źródła najlepiej rozwinięte społeczeństwa. Gdyby hasło „Polak potrafi” nie było skompromitowane piętnem swego przeciwieństwa w epoce gierkowskiej, użyłabym go tutaj z całym przekonaniem, ale i z poprawką – Polak potrafi wybiórczo. Jesteśmy niestety jeszcze nadal takim społeczeństwem, któremu nie klei się nic jako całość. W poszczególnych częściach natomiast bywamy *prima sort*. Czy te udane części zlepią się kiedyś do kupy i utworzą sensowną wspólną rzecz – Bóg to wie.

A tematem niewidomych zajęłam się tutaj trochę *pro domo sua*. Otóż szybciej tracę wzrok niż słuch. Więc gdy nadejdzie moja godzina, może po protekcji otrzymam za to w pierwszej kolejności najlepsze nagrane bestsellery?

luty 1997

Ewa BERBERYUSZ

## Ci, co odeszli

### Agnieszka

Agnieszka wstąpiła do STS-u w 1955 roku – po drugim programie. Naszym ideowym przywódcą był wtedy Witek Dąbrowski, najmłodszy poeta pokolenia przyszczatych, już drukowany, co nam bardzo imponowało. Agnieszka przyszła z konkurencyjnego teatrzyku – Dziennikarskiej Spółdzielni Satyrycznej DSS na UW. Zdążyła o nas napisać recenzję w *Po prostu*, niezbyt zresztą przychylną. Jej akces do STS-u traktowaliśmy więc jak rodzaj Canossy i akt zwycięstwa. Całkowicie się wtedy od nas różniła. Nie tylko płcią, ale poglądami. Pochodziła z tak zwanego dobrego, mieszczańskiego domu. Jej ojciec, Wiktor Osiecki, był wziętym pianistą i kierownikiem muzycznym Teatru „Syrena” w Warszawie. Wychowany w Wiedniu, starał się córce wpoić tradycyjne wartości. W epoce stalinowskiej nie było to mało. Ponieważ nie odziedziczyła po nim słuchu, zrezygnował z bólem z lekcji muzyki – natomiast twardo egzekwował naukę języków obcych i trening sportowy. Dzięki temu w wieku lat osiemnastu Agnieszka swobodnie mówiła czterema językami, świetnie grała w tenisa i biła rekordy na pływalni w stylu klasycznym. Gorzej było z klasykami marksizmu.

Papa Osiecki zdecydowanie preferował klasyków wiedeńskich i te poglądy przekazał córce. W domu, jak przed wojną, była gosposia, a Mama nie pracowała. Los sprawił, że właśnie w takiej dziewczynie zakochał się nasz bard w ciemnych okularach Witek Dąbrowski, który w tym czasie jak Majakowski pisał wiersze schodkami i wierzył, że słowo zmienia się w pocisk. Miłość do Agnieszki stała się dla niego prawdziwymi schodami. Z pasją nawracał Ją na swoją Wiarę.

Wyśmiewał gosposię i po mieszczańsku spożywane obiady. Jako dojrzały poeta czuł się odpowiedzialny za teksty Agnieszki, korygował je i kontrolował. Agnieszka te uwagi przyjmowała z nabożną czią należną mistrzowi.

W praktyce okazało się jednak, że Witek dobry w teorii na zebraniu Rady Artystycznej, jako autor jest mało wydajny. Świetny poeta, nie miał talentów satyryka i humorysty, ani wyczucia sceny. W końcu wymagaliśmy od niego jednego programowego wiersza i wyciągnięcie go w terminie było prawdziwą męką. Witek rodził powoli i w bólach. Natomiast Agnieszka tworzyła łatwo, lekko i przyjemnie. Jej teksty (choć nie programowe) w kolejnych programach coraz bardziej się podobały. Pełne polotu i dowcipu, wruszające i śmieszne, znakomicie trafiały w nastroje społeczne. Gdy więc Witek odszedł od nas z powodów ideowych w 1957 roku – dość łatwo to przeboleliśmy. I nie było katastrofy. Gdyby wraz z nim odeszła Agnieszka – taka katastrofa niechybnie by nastąpiła. Agnieszka była bowiem już niezastąpiona. Trudno było sobie wyobrazić STS bez Jej piosenek.

Przywódstwo duchowe od dawna objął Andrzej Jarecki, który sam, lub w spółce z Ziemowitem Fedeckim pisał przewodnie teksty i formułował hasła typu „Mnie nie jest wszystko jedno”. Utwory Agnieszki, często prezentowane w bloku, jak słynny „Cyrk piosenek” z Elą Czyżewską, z którego wyszli sławni „Kochankowie z ulicy Kamiennej” z muzyką Wojtka Solarza – były ozdobą każdego przedstawienia. W tej pierwszej, esteesowskiej erze muzykę do Jej tekstów pisali nasi muzycy: Marek Lusztig, Edward Pałasz, Jerzy Tyszkowski, Stanisław Młynarczyk, Wojciech Solarz i ja. Szybko na Jej talencie poznali się zawodowcy z zewnątrz, z którymi coraz chętniej współpracowała. Najpóźniej docenił Jej „amatorską studencką twórczość” własny Ojciec, z którym wspólnie napisali zaledwie parę utworów. Agnieszka często się z tego śmiała.

Jej najlepsze piosenki z STS-u z miejsca porywały znane gwiazdy estrady, które szybko je nagrywały – co wzbudzało żal w naszym zespole. Agnieszka się tym nie przejmowała, dobro utworu mając przede wszystkim na względzie. Tak było choćby z „Okularnikami”. Nasza Ziuta Utrata-Lusztig zaśpiewała ich na I Festiwalu Piosenki w Opolu, zdobyła

nagrodę, ale rozgłos zawdzięczają nagraniom Sławy Przybyłskiej, Aliny Janowskiej i Zofii Kucówny.

Agnieszka wcześniej wykazała talent *businesswoman*, jak byśmy dziś powiedzieli. Świetnie czuła rynek, ściśle współpracowała z największymi gwiazdami. Gwiazdy rozślawiały Jej piosenki, ale Ona, jako bezsporna gwiazdorka opromieniała je swoim nazwiskiem. Wszyscy zabiegali o teksty Osieckiej. To była firma. Mimo, że nie występowała na scenie jak Wojciech Młynarski czy Stanisław Tym – nie schodziła z niej nigdy. Zawsze w świetle reflektorów, podziwiana i podglądana, na ustach wszystkich. Wiadomo, że jak Agnieszka to Osiecka. Jedna taka sławna Agnieszka...

Jej przyjaźnie są legendarne. Nie ma wybitniejszej postaci, której by nie znała i nie sfotografowała. Galeria jest imponująca. Od Bułata Okudźawy na Wschodzie po Tomasz Harlana i Dawida Halberstama na Zachodzie. A po drodze ile rodzimych sław? Różnych profesji. Aktorzy i lekarze, reżyserzy i malarze, muzycy i pisarze, politycy i playboje, biznesmeni i sportowcy. Wystarczy sięgnąć po niedawno wydaną albumową książkę „Na początku był negatyw”, by przekonać się o tym niezwykłym gwiazdozbiornie. Nie każdy zawodowy fotoreporter może się poszczycić taką kolekcją. Kiedy na to wszystko znajdowała czas? Tak intensywnie i dużo pisząc?

Agnieszka bardzo dawno zrozumiała, że w dzisiejszym świecie naprawdę trafić pod strzechy – można tylko słowem wspartym muzyką, czyli piosenką. Nie poezją śpiewaną, która jest sztuczna i martwa, ale właśnie piosenką. Żywą i prostą. Gdzie słowo z muzyką tworzy nową jakość. Wsparte melodią nabiera niezwykłej mocy. Z pozoru banalny tekst staje się arcydziełem gatunku. Tak jak „Miłość ci wszystko wybaczy” Tuwima i Warsa. Takich małych arcydzieł, które są już współczesną klasyką, Agnieszka ma w swoim dorobku zadziwiająco wiele. I pod tym względem jest niewątpliwie najbardziej popularną poetką w kraju. Właśnie dzięki tej muzycznej formie. Warto wspomnieć, że najbardziej znanym wierszem obecnej laureatki Nobla – Wisławy Szymborskiej jest wiersz „Nic dwa razy się nie zdarza” – zamieniony przez kompozytora Andrzeja Mundkowskiego w piosenkę. Jeszcze w latach sześćdziesiątych...

W życiu prywatnym była fascynująca. Umiała słuchać (szczególnie starszych) ale jeszcze lepiej opowiadać. Bystra obserwatorka, cudownie podpatrywała życie. Z lubością wyławiała śmieszności i absurdy. W miarę dobrotliwa, potrafiła być również złośliwa. Jedną anegdotką lub żartem załatwiała przeciwnika. Rozmowa z Nią była prawdziwą przyjemnością. Nic dziwnego, że od wczesnej młodości największe autorytety chciały ją poznać i swobodnie pogawędzić przy kawie. Łączyła dziewczęcy czar z wyjątkowym polotem i dowcipem. Nie ustępowała w żartach ani Słonimskiemu, ani Minkiewiczowi. Dlatego tak lubili z Nią przesiadywać. Przypominała im legendarne, przedwojenne panie, które z takim talentem i łatwością prowadziły salon literacki.

Podobnie błyskotliwa była w pisaniu. Wyszedłszy ze związanej kabaretowej szkoły, jak ognia bała się nudy. Starając się uwieść widza czy czytelnika i przykuć jego uwagę. Szczególnie w ostatnich albumowych książkach doszła do przekonania, że pokolenia młodzieży wychowanej w kulturze obrazkowej nie można zdobyć samym słowem. Rolę muzyki w tym wypadku spełniało zdjęcie. Co innego widzieć namaszczonego portret artysty, a co innego zobaczyć tegoż w kąpielówkach na plaży jak stroi głupie miny. Okazało się, że jak zwykle ma rację. Każda książka znajdowała się na liście bestsellerów i była masowo czytana. Dzięki Agnieszce dzisiejsza młodzież dowiedziała się o nas więcej niż z innych, bardziej uczonych źródeł. Co ważniejsze, zachęciła do czytania o tych prastarych czasach. W tym rola popularyzatorska Agnieszki jest ogromna. Gdyby nie Ona, działalność naszego STS-u mniej by interesowała. I nie przeszłaby do legendy. Jest niewątpliwie autorką kultową. Na całym świecie ma wielbicieli, którzy kolekcjonują wszystko co napisała. Kasety, płyty, książki. Wiem o tym, bo ilekroć wyjeżdżam z Toronto mam zawsze zamówienia: – Przywieź mi nową Osiecką – mówią. A gdy zdobywam autograf Agnieszki szczęście ich nie ma granic.

Tak było ostatnim razem. Właśnie prośby o autograf i zgodę na wystawienie w Toronto Jej słynnego musicalu „Niech no tylko zakwitną jabłonie” mnie do Niej sprowadziły. Znalazłem się w tym samym mieszkaniu, w którym we wczesnej młodości razem obchodziliśmy imieniny. Pani

Maria Osiecka, już wtedy siwa, miała niewiele ponad lat czterdzieści. Agnieszka z czasem stała się do Niej bardzo podobna. Bardzo przeżyła niedawną śmierć Matki. Pozornie z Nią wojowała, ale była niezwykle mocno związana. Skarzyła się na Jej brak. Mówiła, że niczego w domu nie może znaleźć. Mama na pamięć wiedziała, w której szufladce są różne rachunki i papiery. Mając pełną świadomość swej ciężkiej, nieuleczalnej choroby słowem o niej nie wspomniała. Jak dawniej prowadziła lekką, pogodną rozmowę. Wykazała wyjątkowy hart. I niezwykłą godność. Niejednego mężczyznę nie byłoby na to stać.

Dlatego Jej śmierć uznano za nagłą. Wywołała taki szok. Nikt się jej nie spodziewał – poza Agnieszką. Do końca aktywna, z uśmiechniętą twarzą grała swą rolę jak najlepsza aktorka.

Głód przygody i ciekawość świata towarzyszyły Jej zawsze. W czasach żelaznej kurtyny doprowadziły do *Kultury*. Równo przed czterdziestu laty – w 1957 roku – pierwszy raz się tam zjawiła przewożąc potajemnie maszynopis „Cmentarzy” Marka Hłaski. Potem wróciwszy pod Dijon, gdzie byliśmy z STS-em na winobranii, przywiozła zaproszenie do Maisons-Laffitte. Odtąd datuje się Jej długa i wierna przyjaźń z ludźmi z *Kultury*.

I właśnie wypowiedź o *Kulturze* w filmie dokumentalnym o Zofii Hertz jest ostatnim żywym słowem Agnieszki. Dokładnie w piątek, 28 lutego, zdążyła udzielić twórcy filmu, Jerzemu Sztwiertni, wywiadu w swoim mieszkaniu na Saskiej Kępie. Już chyba następnego dnia nastąpiło nagle pogorszenie, znalazła się w szpitalu. Umarła w nocy z czwartku na piątek (z 6 na 7 marca).

Domyślam się, że w tym filmie jak zawsze ciekawie i żywo mówiła o Zofii Hertz i Zygmuncie (którzy traktowali Ją jak własną córkę), o Jerzym Giedroyciu, Jego bracie Henryku i innych przyjaciółach z Maisons-Laffitte. Od *Kultury* jako dwudziestoletnia dziewczyna rozpoczęła znajomość innego niż PRL świata i na *Kulturze* skończyła. Jest w tym coś głęboko przejmującego. I symbolicznego. Jakieś swoiste przesłanie. I testament.

## Notatki Redaktora

Od dłuższego czasu trwa konflikt polsko-rosyjski w związku z zatrzymaniem polskiego trawlera „Aquarius” na Morzu Ochockim z powodu rzekomego naruszenia przepisów o połowach. Na interwencję naszego MSZ-u centralne władze w Moskwie zapewniają, że jest wydane polecenie zwolnienia statku, a jednocześnie trawler był pod eskortą skierowany do Pietropawłowska na Kamczatce. Nie ma komunikacji z załogą i zapowiada się, że sprawa będzie rozpatrywana przez miejscowy sąd w Pietropawłowsku. Jest to niewątpliwie szykana, która wymaga bardziej energicznej akcji ze strony naszego MSZ-u. Uważam, że należałoby wezwać polskiego ambasadora w Moskwie do Warszawy i przetrzymać go przez czas dłuższy, co jest przyjętym zwyczajem dyplomatycznym wyrażenia swojego niezadowolenia. Przy rokowaniach, które niewątpliwie nastąpią, trzeba nie tylko sprecyzować dokładnie warunki połowów na Morzu Ochockim, ale i sprawę uregulowania komunikacji na Zalewie Wiślanym. Te konflikty są spowodowane nie tylko bałaganem w funkcjonowaniu rządu rosyjskiego, ale również tym nieszczęsnym oświadczeniem ministra Siemiątkowskiego o prowokacyjnej działalności rosyjskich służb specjalnych w Polsce, które mają utrudnić nasze przyjęcie do NATO.

W polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych dzieje się niedobrze. Obecny rok jest dla nas niezmiernie ważny jeśli idzie o rokowania międzynarodowe w związku z przyjęciem nas do NATO i Unii Europejskiej. A tymczasem odwołuje się ambasadorów w Belgii, Kanadzie i w ogóle w państwach członkowskich NATO z powodu zakończenia zwyczajowej kadencji czterech lat. Gdyby w najlepszym wypadku na ich miejsce przyszli ludzie kompetentni, to i tak będą musieli zapoznawać się z sytuacją, nawiązywać kontakty itp. i ich

działalność będzie praktycznie sparaliżowana. Czy nie byłoby znacznie prościej przedłużyć kadencję dotychczasowym ambasadorom i dociągnąć do szczytu NATO z ludźmi, którzy mają kontakty i dobrą pozycję? A do tego wszystkiego stanowisko ambasadora w Grecji jest od dawna nie obsadzone. Wszyscy dotychczasowi ministrowie spraw zagranicznych są w rozjazdach i nie mają czasu zająć się uporządkowaniem Ministerstwa. Ich działalność ogranicza się praktycznie do zdobywania oświadczeń przywódców państw NATO, że będą popierali nasze starania o przyjęcie do tej organizacji. Natomiast nasza polityka nie zajmuje się zupełnie sprecyzowaniem stanowiska Polski w sprawach najbardziej istotnych, jak polityka monetarna, problem albański czy sytuacja w b. Jugosławii.

Obecnie toczy się w parlamencie dyskusja na temat Polonii, zabarwiona demagogią przedwyborczą, w której wysuwa się różne pomysły, jak np.: sprawę podwójnego obywatelstwa czy organizowanie powrotu Polaków z Kazachstanu i innych terenów, nie biorąc pod uwagę ani przepisów międzynarodowych, ani naszych możliwości finansowych by tego rodzaju operacje przeprowadzać.

Przyczyną tego chaosu jest to, że sprawami polonijnymi zajmuje się szereg instytucji – jak Wspólnota Polska czy Senat – które dysponują dużymi środkami materialnymi i prowadzą politykę zupełnie nieskoordynowaną, w wielu wypadkach sprzeczną. Jedynym rozwiązaniem byłby powrót do czasów przedwojennych, kiedy te sprawy były podporządkowane Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Okres przedwyborczy nie sprzyja przeprowadzaniu zasadniczych reform, ale trzeba by przecież przepracować i z nimi wystąpić.

W związku z przygotowywanymi uroczystościami ku czci św. Wojciecha, arcybp gnieźnieński zaprasza prezydentów krajów, w których św. Wojciech prowadził swoją akcję misyjną. Zaprasza się głowy państw, lub ich przedstawicieli, z Niemiec, Czech, Słowacji, Węgier a nawet Rosji (nie wiedziałem o działalności misyjnej św. Wojciecha w Rosji). Czy ta inicjatywa była uzgodniona z rządem? Chciałbym, by ktoś mi wytłumaczył jej sens i potrzebę?

Sprawa bezpieczeństwa. *Polityka* w numerze z 22-go lutego br. podaje, że w Polsce poza samą policją państwową istnieje 53 rozmaitych służb, inspekcji, etc., zatrudniających ponad 320.000 osób. Do tego trzeba dodać pracowników agencji ochrony, co w sumie daje prawie półmilionową armię. Mało tego, zaczyna się mówić o konieczności stworzenia specjalnej jednostki zwalczającej kłusownictwo i nielegalny wyręb lasów. Wszystko to sprawia, że warunki bezpieczeństwa w Polsce ulegają stałemu pogorszeniu, a policja państwowa jest bezradna i bezkarna, czego najlepszym dowodem było zdarzenie, kiedy policjant zabił kilka osób. Nie może on być przesłuchany przez prokuratora, gdyż jest rzekomo chory, a policja uważa to za szykanę i grozi, że odmówi używania broni. Czyżby Polska stawała się nową Albanią?

Sprawa „Ruchu”. W przetargu na prywatyzację „Ruchu” została przyjęta oferta francuskiej firmy Hachette. Okazuje się jednak, że powstało nowe, konkurencyjne konsorcjum i minister Pietrewicz zakwestionował ofertę Hachette’a, uważając, że ich oferta jest zbyt niska.

Sprawa polega na tym, że powstała polska grupa kapitałowa, reprezentująca interesy PSL i częściowo SLD, które w ten sposób chcą wzmocnić swoje możliwości oddziaływania na opinię społeczną. Gdyby się to udało, Stronnictwo Ludowe odgrywałoby rolę wręcz dyktatorską. Jest to afera, która nas niesłychanie kompromituje. Kapitał francuski jest kapitałem bardzo drapieżnym – wystarczy przypomnieć sprawę Żyrardowa z okresu międzywojennego – ale rokowania były prowadzone legalnie i jeżeli nie uzyskano odpowiednich warunków, to winę za to ponosi wyłącznie strona polska. Hachette, ma się rozumieć, nie zamierza ustąpić i czeka nas cały szereg procesów, które niewątpliwie odbiją się ujemnie na ewentualnych inwestycjach zagranicznych w Polsce.

Wrocławską fabrykę wagonów i lokomotyw PAFAWAG została sprzedana międzynarodowej firmie ADTRANZ. Na początek firma ma wyprodukować 50 lokomotyw dla PKP, które będą robione we Włoszech. Dopiero później produkcja

będzie stopniowo przenoszona do Wrocławia. Firma ADTRANZ stara się również o kontrakty na budowę wagonów dla warszawskiego metra i wrocławskich tramwajów. Jest to jaskrawy przykład degradacji polskiego przemysłu. W okresie międzywojennym zakłady Cegielskiego w Poznaniu produkowały znakomity tabor kolejowy, a wyprodukowany bezpośrednio przed wojną nowy typ lokomotyw, który był demonstrowany na światowej wystawie w maju 39 r. w Nowym Jorku, wzbudził wielkie zainteresowanie i propozycje ciekawych kontraktów, które ma się rozumieć, przekreśliła wojna.

Prezydent Kwaśniewski przesadnie interesuje się sportem. Jest projekt zorganizowania olimpiady zimowej w Zakopanem w roku 2006. Tatry nie są najlepszym miejscem na tego rodzaju imprezy, a w każdym razie będzie to groziło całkowitym zniszczeniem gór, które i tak są dewastowane przez ruch turystyczny.

Jesteśmy ostatnio świadkami niepokojącego narastania ruchów socjalnych. W dużym stopniu jest to spowodowane nieudolnością rządu, np. sprawa kopalni Bełchatów. Pospieszono się tam z przyjęciem dymisji dyrektora kopalni bez zbadania słuszności stawianych mu zarzutów. Mamy w Katowicach strajki transportu miejskiego a poza tym, strajki służb celnych, no i przede wszystkim sprawę Stoczni Gdańskiej. Co prawda przemysł stoczniowy na całym świecie przeżywa kryzys, tym niemniej Stocznia Szczecińska pracuje bardzo dobrze i zajmuje 8 miejsce w produkcji europejskiej. Tak samo dobrze funkcjonuje Stocznia Gdyńska. Niestety Stocznia Gdańska było jej upolitycznienie. Bardzo trudno jest łączyć działalność stoczniową z ruchem politycznym. Przyczyniło się do tego nieudolne kierownictwo stoczni od samego jej początku, Solidarność, która zajmowała się bardziej polityką niż sprawami zawodowymi, liczenie na dotacje państwowe oraz różne niefortunne posunięcia, jak np. b. prezydenta Wałęsy, który próbował sprzedać stocznia p. Johnson. Dużą winę ponosi także rząd „postkomunistyczny”, który miał do stoczni stosunek – łagodnie mówiąc – niechętny. Zaczęło się to od usunięcia wojewody gdańskiego Macieja

Płażyńskiego ze względów politycznych, a później brak programu uzdrowienia stoczni, czy nawet decyzji o jej zamknięciu. Trudno utrzymać stocznice tak deficytowe, ale jeśli nie umie się tego problemu rozwiązać, to trzeba było mieć odwagę ją zamknąć i przygotować całą akcję, a przede wszystkim sprawę zatrudnienia stoczniovców, którzy stracili pracę, czy ich przekwalifikowania. Z chwilą gdy konflikt przybrał tak wielkie rozmiary, zaczęto w sposób nieprzemyślany i chaotyczny wysuwać rozmaite propozycje odszkodowań, odprawy, itp. które mają pochłonąć ogromne pieniądze.

Ma się rozumieć, te ruchy socjalne są bardzo podsycane przez opozycję, która wykorzystuje je do celów wyborczych, nie biorąc pod uwagę, że nawet jeśli opozycja zwycięży, to strajkujący nie zadowolą się tym, że p. Krzaklewski może być premierem, ale będą domagali się realizacji swoich postulatów. A więc cały ten skomplikowany problem opozycja odziedziczy. Czy będzie potrafiła go rozwiązać? Osobiście wątpię.

Strajk celników, o którym wspominałem wyżej, powoduje ogromne straty dla Polski. Jednocześnie w Izbie Handlowej w Sztokholmie dyskutowano na temat sytuacji celnej na polskiej granicy, podkreślając, że sytuacja ta jest zupełnie niedopuszczalna. Nieprawdopodobne spiętrzenie biurokratycznych przeszkód, to pozostałość z czasów PRL-u, kiedy to celnik był tak szkolony, aby utrudniać przekraczanie polskiej granicy, a nawet to uniemożliwiać. Od zmiany ustrojowej w Polsce minęło już 8 lat co wystarcza, żeby wyszkolić nowych celników w stylu europejskim a nawet wymienić całą służbę celną. Do czego dochodzi paranoja celna, to przykładem jest wypadek jednego z moich znajomych, który mieszka za granicą. Jego kuzynka, która wysyła mu od czasu do czasu paczkę z książkami, otrzymała pismo z urzędu celnego informujące, że w stosunku do tej przesyłki „wszczęto postępowanie kontrolne, które dało wynik negatywny a należność za procedurę kontroli w wysokości zł 20 (200.000 starych zł) należy natychmiast uregulować”; tę sumę kuzynka lekkomyślnie zapłaciła nie chcąc się procesować. Zresztą wiadomo ogólnie, że w pierwszym rządzie idzie o łapówki, których

wręcz domagają się polscy celnicy. Obecny na posiedzeniu w Sztokholmie min. Wiesław Kaczmarek, dosyć zażenowany, tłumaczył się tym, że to wszystko wynika z „innej tradycji kulturowej”!!! Myślę, że gdyby dyscyplinarnie zwolniono ze służby choć kilku celników, to pozostali szybko by się nauczyli europejskiej „tradycji kulturowej”.

Ogólna liczebność wszystkich sił zbrojnych Rosji wynosi obecnie 2.401.127 osób, w tym wojsk Min. Spraw Wewn. 251.000, federalnej służby granicznej 205.000. Plany redukcji przewidują zmniejszenie liczebności wszystkich sił o około 30 procent. Liczba generałów zmniejszy się z 2.865 w 1996 roku do 2.632 w roku 1998. Reforma armii zajmie 13-15 lat i będzie przebiegała w trzech etapach. W pierwszym – do roku 2000-go – priorytetami będą: redukcja sił zbrojnych oraz rozwój prac naukowo-konstruktorskich; w latach od 2001 do 2005 – zwiększenie wydatków na szkolenie bojowe i częściowe przejście armii na zawodowstwo. Po roku 2005, w 3-cim etapie nastąpi masowe przezbrojenie armii.

Dla 14.000 uczniów 130 polskich szkół na Litwie wydaje się około 140 tytułów podręczników nie tylko do nauki języka polskiego, ale do wszystkich przedmiotów szkolnych. W 1997 roku mają być wydane 23 tytuły. Na Litwie wszystkie podręczniki szkolne są drukowane na zamówienie Ministerstwa Oświaty, wykupowane przez to Ministerstwo i wysyłane do szkół, gdzie uczniowie otrzymują je bezpłatnie. W Polsce w 1996 roku wydano jeden podręcznik do nauki języka litewskiego. Obecnie w Polsce litewskiego jako języka ojczystego uczy się około 1.000 uczniów. Litwini tłumaczą na polski podręczniki litewskie – żeby Polacy mogli się z nich uczyć. W Polsce w jedynym liceum litewskim uczniowie takiej pomocy nie mają – nauczyciele opowiadają im po litewsku polskie podręczniki. Pierwszą i jedyną jaskółką w tym roku będzie przygotowywana przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne historia Litwy w języku litewskim.

Prokuratura Rejonowa Gdańsk-Południe uznała, że

prałat Henryk Jankowski lżył i poniżał Żydów. Stwierdziła jednak, że przestępstwo ma niewielki stopień szkodliwości społecznej i umorzyła postępowanie. Rzecznik prokuratury, Mira Kamirska-Jeżowska, odmówiła udostępnienia uzasadnienia decyzji. W umorzeniu ważną rolę odegrało poręczenie, które za księdza złożył senator Leszek Lanckorzyński, oraz dobre opinie o księdzu i jego dotychczasowa niekaralność. *No comment*, jak mówią Anglicy.

Działalność prezydenta i Rady Miasta Warszawy wzbudza coraz więcej zastrzeżeń. O tych sprawach pisaliśmy wielokrotnie. Ostatnio Rada Miasta sprzedała kilka stołecznych hoteli firmie austriackiej ILBAU. Szef firmy ujawnił, że przed zawarciem transakcji, kilka osób podających, że są związane z konkretnymi partiami politycznymi, proponowało pomoc w zamian za łapówkę. Austriacy twierdzą, że odmówili dania tej łapówki. Sprawą zajmuje się prokuratura. Jedynym rozwiązaniem byłoby ustanowienie komisarza rządowego tak jak to miało miejsce przed wojną. Za rządów Starzyńskiego Warszawa nabrała charakteru miasta rzeczywiście na poziomie europejskim. Idzie tylko o to, by komisaryczny prezydent miasta był fachowcem, wybranym nie według klucza partyjnego. Jeden Podkański wystarczy.

Demonstracje strajkowe i polityczne są coraz bardziej gwałtowne i powodują poważne szkody materialne. Tego rodzaju wandalizm jest nieznanym w cywilizowanym świecie, gdzie przecież nie brakuje manifestacji. Za poniesione szkody powinni płacić organizatorzy, co winno być egzekwowane z całą bezwzględnością w drodze administracyjnej.

REDAKTOR

## Kronika kulturalna

### Wspomnienie o Alicji Iwańskiej

26-go września o godzinie 10.30, w Londynie, zamknęła oczy po raz ostatni Alicja Iwańska. Umierała tak samo świadomie i odważnie, jak żyła przez swoich 78 niełatwych lat. W czerwcu, z bardzo silną chrypką, wróciła do Londynu z kolejnego powrotu do polskiej już Polski, bardzo z niego zadowolona, ciesząc się na następne tam pobyty. Jej książka „Powroty”, czekająca od dwóch lat na publikację u Gebethnera mówi o jej odwiedzinach Polski po 89 roku.

W Londynie w chrypcie rozpoznano zaawansowanego raka płuc – nieuleczalnego. Dano Alicji 2 do 4 miesięcy życia. Były to złe 4 miesiące – kiedy musiała bronić wewnętrznego skupienia przed zewnętrznym niepokojem przenosin z domu do szpitala, do domu, do szpitala, do kliniki i wreszcie do hospicjum. Wbrew tym przeszkodom czytała, pisała listy, pracowała nad korektą swojej książki „Tylko trzynaście”, zbioru rzeczy pisanych w czasie okupacji „do skrytki”. Dożyła jeszcze pięknego jej wydania przez Oficynę Poetów i Malarzy. Nic ją nie bolało, stawała się tylko coraz słabsza.

Poznałam Alę 62 lata temu, kiedy znalazłyśmy się w tej samej 7-ej klasie gimnazjum im. Generałowej Zamoyskiej w Poznaniu. Siedziała o 2 miejsca w prawo ode mnie. Widzę w pamięci jej jaśniejsze od słomy włosy równo obcięte powyżej ramion, jak stojąc wyprostowana w ławce rezolutnie broni swego punktu widzenia, który odbiegał od panującego tam konserwatywnego etosu. Na ósmą klasę i maturę przenieśli ją rodzice do światlejszej szkoły, w Warszawie. Po maturze kolegowałyśmy się blisko na studiach filozofii w U.W., również z późniejszym moim mężem, Henrykiem. Podczas

okupacji widywaaliśmy się często prywatnie i na kompletach uniwersyteckich, i mijaliśmy się w konspiracyjnym podziemiu, nawzajem nieświadomi wykonywanych tam zadań. Po wojnie znaleźliśmy się wszyscy troje na studiach w USA, utrzymywaliśmy ciepłą przyjaźń, ale po pierwszych kilku latach, oddaleni geograficznie, widywaliśmy Alę już rzadziej, choć korespondowaliśmy do końca.

Alicja Iwańska była – i być chciała – osobą niezwykłą. Inteligentna, o bogatej wyobraźni, przez którą filtrowała doznawanie świata i ludzi. Spostrzegała świat zewnętrzny przez odniesienie do swego wewnętrznego, interpretowała osoby, zdarzenia i kultury przymierzając je i porównując do własnych. Z łatwością podejmowała decyzje i formułowała opinie, które otwarcie głosiła, nawet te prowokujące lub urażające. Nie peszyło jej, jeżeli były niepopularne, przeciwnie – miała satysfakcję z wyraźnego rysowania własnego konturu i koniecznej do tego odwagi. W przyjaźni była ciepła i lojalna, ale zawsze na straży własnej niezależności. Wymagała swobody: ale traktowała siebie bardzo surowo. Odczuwała nie tylko prawo, ale i obowiązek życia pełnią swoich możliwości umysłowych i uczuciowych, wbrew spotykającym ją katastrofom i nie chcąc opierać się na innych. Była bardzo pracowita. Prace, które przyjmowała z musu, wypełniała uczciwie, lub z nich rezygnowała. Zadania, które podejmowała z wyboru, wypełniała z entuzjazmem, z pełnym zaangażowaniem i wzbogacała własną pomysłowością. Zawsze po swoim. Dlatego chyba była w Ameryce najszcześliwsza przez 3 lata pracy na Uniwersytecie Chicagowskim, gdzie doceniano jej inwentywność, rozmach i wyobraźnię. I zapewne też w Londynie, przez ostatnią dekadę życia – mając wreszcie dość czasu na pisarstwo oraz na patriotyczną pracę dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

Ale wiejskie dzieciństwo było radosne i wzbogacające. Religijna babka z wielkopolskiego ziemiaństwa, wyzwolona i literacko utalentowana matka, znacznie starszy ojciec, adwokat, społecznie zaangażowany wolnomysliciel, otaczali ją miłością, pobudzali intelektualnie, darzyli zaufaniem i dostarczali zachęty do pracy nad sobą i do wiary w siebie. Uprzywilejowanie społeczne i materialne nie zdemoralizowało Alicji, przeciwnie, zobligowało ją aby nigdy nie korzystać z

przywilejów, zawsze stać na własnych nogach, i maksymalnie rozwijać pracę twórczą.

Od początku wojny, sytuacja Ali była trudna. Wyszędzona, musiała walczyć o byt i opiekować się matką i babką, nie zaniebując studiów i jednocześnie wykonując niebezpieczne zadania konspiracyjne w AK. A potem, po przegranej wojnie, w WiN. W r. 1946 udało się jej uniknąć aresztowania i wyjechać do USA, dzięki amerykańskiemu wujowi, który wtedy przebywał w Polsce z ramienia UNRRA. Żeby nie zboczyć z zaplanowanej drogi życia, Ala podjęła studia socjologiczne na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Wuj pomógł jej stawiać pierwsze tam kroki, ale etos amerykański i ambicja wymagały od niej samodzielności. Wykonywała rozmaite doraźne, nisko płatne prace zarobkowe, żeby podołać swoim skromnym wydatkom. Po trzech latach na Columbii i zdaniu tam wszystkich egzaminów, musiała szukać pracy w USA. Bo powrót do Polski miała odcięty groźbą aresztowania. Zamiłowania i kompetencje Alicji były akademickie i literackie. Zawsze szukała zajęć nauczycielskich i naukowych, a odmawiała „zaprzeczenia się businessowi”. Dopóki nie ustabilizowała się na stałe jako profesor Nowojorskiego Uniwersytetu Stanowego w Albany (1965-85), przechodziła tułaczkę „za pracą”, w niepewności jutra i niejednokrotnie cierpiąc niedostatek.

Lata 1950-52 spędziła na prestiżowym stypendium w Uniwersytecie Chicagowskim, biorąc udział w układaniu programów międzydyscyplinarnych studiów nauk społecznych, i w dyskusyjnych zebraniach ze studentami. Żarłocznie korzystała z wykładów i odczytów, dostępnych w tej wspaniałej nowatorskiej uczelni. Kontynuowała też tam przerwane przenosinami z Nowego Jorku zbieranie materiałów do zaplanowanej rozprawy doktorskiej o polskich imigrantach którzy przeżyli niemieckie obozy koncentracyjne. Chodziło jej o porównanie systemów wyznawanych wartości w dwóch krytycznych sytuacjach osobistych: uwięzienia i emigracji.

Przez rok akademicki 1953-54 wykładała Alicja w muzykańskim *college* w Atlancie (stan Georgia) w zastępstwie urlopowanego profesora. Przeżyła tam głęboko ówczesny *apartheid*, solidaryzując się z czarnymi kolegami i studentami. Przez następny rok wykładała w Talladega College (stan



Alabama), luksusowej protestanckiej instytucji, teoretycznie rasowo zintegrowanej, ale w praktyce prawie zupełnie pozbawionej białych studentów. Nie było tam dla niej przyszłości. Musiała tam bronić swojej wolności akademickiej przed dwoma przeciwstawnymi naciskami – religijnym ze strony władz koledżowych i marksistowskim, ze strony dobrze zorganizowanej wokół koledżu komunistycznej akcji propagandowej.

Między posadami uniwersyteckimi, a także podczas ich trwania, prowadziła Alicja poważne studia. Robiła przez rok badania terenowe dla Wydziału Socjologii Wsi (Uniwersytet w Pullman w stanie Waszyngton). Rok 69-70 spędziła w Chile na intensywnej pracy dla UNESCO nad receptywnością robotniczą na technologiczny postęp. W r. 1980 dokonała ciekawego porównania rządów na obczyźnie: polskiego w Londynie i hiszpańskiego w Paryżu. Chyba najważniejsze były dla niej kilkakrotne pobyty jako obserwator uczestniczący wśród meksykańskich Indian. Rezultaty ogłosiła w książce „Purgatory and Utopia”.

Alicja była sumiennym i twórczym nauczycielem uniwersyteckim. Zawsze życzliwa i pomocna, szczególnie w stosunku do osób poszkodowanych przez sytuację społeczną lub polityczną.

W latach swego amerykańskiego „wygnania” Ala tęskniła do powrotu do Polski i Europy. Po zachodniej stronie Atlantyku identyfikowała się najbardziej z uciśnionymi: amerykańskimi Murzynami lat pięćdziesiątych, Indianami z amerykańskich rezerwatów i Indianami w Meksyku. Alicja nigdy nie polubiła Stanów Zjednoczonych i natychmiast po emeryturze wróciła do Polski... londyńskiej, bo warszawska nie była wtedy jej Polską. A w Londynie zanurzyła się z entuzjazmem w wygnańcze prace polonijne, ze szczególnym oddaniem wykładając i organizując konferencje na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO), który stanowił moralną i umysłową ostoję dla polskiej tam młodzieży.

Nigdy nie przestała być Polką i tylko Polką, i spostrzegła świat w nieustannym porównywaniu z polską kulturą i historią. Alicja była egocentrykiem w tym sensie, że wszystko czego doświadczała, relatywizowała do siebie. Ala nie była egoistką. Była wrażliwa na innych i pomagała im w zdobyciu warunków do samorealizacji. Była serdeczna i niestrudzona. Ale pozostawała uparcie niespełnana. Jej wielka pierwsza mi-

łość i małżeństwo z Janem Gralewskim było związkiem dwóch żyć dążących do pełni. Jedno zgasło 53 lata temu, w katastrofie gibraltarskiej, drugie dopełniło się niedawno.

Alicja zostawiła wiele prac naukowych i literackich. Dla mnie jednak najdroższe są zawsze jej poezje, szczególnie te z lat przedwojennych i z czasu wojny.

Danuta HIŻ

## ŚMIERĆ

*Przed śmiercią nie lękaj się  
klęknąć  
z duszą otwartą.  
Było w życiu  
bolesne piękno.  
Umierać warto.  
Ciało było oziminnym,  
młodym, wschodzącym ciałem.  
Jak ogród zakwitnie w oczach  
przed pierwszym strzałem.  
Do móż wielkich  
tęsknotą  
tęskniło bezwładną.  
Będą morza.  
Jak kamień  
zapadniesz  
na dno...*

Alicja IWAŃSKA

(Warszawa 1940, Zbiorek mimeografowany w Chicago w r. 1958, również w tomiku NIEKTÓRE)

Książki autorstwa Alicji Iwańskiej:

*Wielokąty* (wiersze) Hoesick, Warszawa 1938;

*Wiersze* pod pseudonimem Anna Przeniewska, podziemne wydawnictwo Płomienie, Warszawa 1940;

*Świat przetłumaczony*, Instytut Literacki, Paryż 1968 (Nagroda Kościelskich);

*Karnawały*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1980;

*Wojenne Odcinki* (z Janem Gralewskim), Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1982 (Nagroda Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie) i Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990;

*Ucieczki*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1983;

*Niezdemobilizowani*, Głos (drugi obieg), Warszawa 1987 i Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1988;

*Baśń Amerykańska*, Aneks, Londyn 1988;

*Niektóre* (wiersze), Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1991;

*Właśnie tu!*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1992;

*Potyczki i Przymierza*, Pamiętnik 1918-1985, Gebethner i Ska, Warszawa 1993;

*Kobiety z Firmy*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1995;

*Powroty*, w przygotowaniu do publikacji, Gebethner i Ska, Warszawa;

*Tylko trzynaście*, Wojenne opowiadania, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1996;

*Good Fortune: Second Chance Community*, State College of Washington, 1958;

*Purgatory and Utopia: A Maxahua Indian Village*, Schenkman Publishing Co., Cambridge, Mass. 1977;

*The Truths of others (Nativistic Intellectuals in Mexico)*, Schenkman Publishing Co., Cambridge, Mass. 1977;

*Exiled Governments: Spanish and Polish*, Schenkman Publishing Co., Cambridge, Mass. 1981.

## Szpitala

Tutaj od kilku dni jestem i chciałabym bardzo aby – skoro na wyzdrowienie z tego nagłego raka płuc żadnych szans nie ma – chciałabym aby po 3 miesiącach przerzucania ze szpitala do szpitala – to właśnie wybrane hospicjum stało się moim m.p. ostatnim.

Hospicja – szpitala dla umierających – są zasadniczo rzeczywiście dla umierających ale (ten ruch społeczny zapoczątkowany został o ile mi wiadomo w Anglii i przeszło stuletnie Trinity Hospice jest takim pierwszym hospicjum). Zasadniczo – ale, że w hospicjach podobno łatwiej się umiera, więc amatorów w tym bezrodzinnym kraju jest wielu i przyjmują nie na stałe, lecz na 2 tygodnie. Jeśli się w tym czasie nie umrze – pomagają podobno w umieszczeniu gdzie indziej!

Takie szpitalne wędrówki mogą być nawet ciekawe, ale po 6-tym szpitalnym przemieszczeniu siły już na te dalsze nie mam, mimo resztek towarzyszącej mi zawsze ciekawości.

1.

Jak do więzienia – bo z ulicy i nie spodziewając się zatrzymania – sama, taksówką – bo nagle poczułam się b. słaba – pojechałam do najładniejszego, bliskiego szpitala jak Centre Pompidou lub Tate Gallery. – Kiedy to było – coś około 15 czerwca – i tam po 9-ciu godzinach badań wspaniałymi przychylnymi maszynami – zatrzymano mnie i tak zbadana i zatrzymana wiedziałam już właściwie jaka jest diagnoza.

Ale dopiero drugiego czy trzeciego dnia grono lekarzy, jak z Rembrandta, ale z malutką hinduską lekarką z Kalkuty – wydało oficjalny wyrok. Malutka lekarka w pozycji siedzącego psa wzięła moją rękę w swoją maleńką łapkę, a zdenerwowany lekarz najważniejszy oznajmił że... 2 do 3 tygodni życia bez przedłużających je zabiegów – a z owymi

zabiegami – może nie na pewno – najwyżej 2 do 3 miesięcy przedłużenia.

Mój brak zdziwienia – bo już przecież od tych kilku dni wiedziałam.

I początkowe pogodzenie się z tą tak krótką życiową perspektywą.

Ale wkrótce powrót do swego stylu życia: czyli życie walczącego nawet jeśli nie ma szans na wygraną.

I zdecydowałam się na te przedłużające życie zabiegi. Dzięki nim mogłam jeszcze zobaczyć moje wojenne opowiadania „Tylko Trzyńście”.

Ale przetrucania szpitalne były trudne i stają się coraz trudniejsze.

## 2.

Po kilku tygodniach (przed ewentualnymi przedłużającymi trochę życie zabiegami) musiałam, choć bardzo nie chciałam, wrócić do domu i poddać się gorliwej opiece brytyjskiej humanitarnej i rozbałaganionej biurokracji.

Ale nawet gdyby nie była tak rozbałaganiona i gdyby moje mieszkanie było większe, i tak – i to wiedziałam od razu – powrotu do swego mieszkania bez perspektyw życiowych bardzo nie chciałam. Trudne to było dla wielu do zrozumienia... Czy chciałabym gdybym miała rodzinę? Czy potrafiłabym na tę rodzinę przerzucić swoje życiowe perspektywy? Nie wiem.

## 3.

Nie z tych – z zupełnie innych powodów (w mieszkaniu się po prostu dusiłam z braku powietrza – bez tlenu) po 6-u dniach wróciłam do pięknego szpitala Chelsea-Westminster i tam czekałam kilka tygodni na owe przedłużające życie zabiegi z którymi się w ogóle nie spieszo, opowiadając mi o „priorytetach”.

A te „priorytety” to na pewno i młodszy, i może nawet Angliki, choć tego nie jestem pewna – i na pewno ci, za którymi ktoś z rodziny stoi i walczy. A ja nikogo takiego nie miałam, bo moi Podhorscy na wakacjach we Francji, prze-

konani, że w angielskim szpitalu zaopiekują się mną jak trzeba.

## 4.

Dopiero piękna Dolores Iorizzo – amerykańska Włoszka – moja sąsiadka z Cromwell Rd. zaawanturowała się tak pięknie i gwałtownie, że zdecydowano się mnie przenieść na zabiegi do sąsiedniego szpitala Brompton – szpitala chirurgicznego.

Awantura jej podziąłała bo: wykląda etykę w prestiżowym Kings College – i to etykę medyczną – bo jest wnuczką włoskiej czarownicy... bo piękna jak z obrazu Modiglianiego – bo sławny chirurg z Brompton Hospital, Pastorino – też Włoch – bo sama, dla siebie chciała to moje życie trochę przedłużyć. Po przeniesieniu do Brompton aż 2 operacje: jedna b. ryzykowna pod narkozą, podczas której ów sławny Pastorino zainstalował mi w lewym płucu maszynkę do wypompowywania duszącego mnie w płucach płynu – druga – w prawym płucu (pod lokalnym znieczuleniem) polegająca na jakimś hokus pokus hamującym formowanie się duszącego płynu.

Przy tej pierwszej operacji bardzo chciałam umrzeć wśród zielono ubranych młodych chirurgów, ale ją jakoś przeżyłam.

Ale w sali dla zdrowiejących w tymże szpitalu chwyciła mnie silna infekcja z wysoką gorączką i na to znowu tylko dzięki Dolores Iorizzo zareagowano antybiotykami i jakoś mnie uratowano.

## 5.

W szpitalu Brompton nie mogłam zostać dłużej niż kilka zwyczajowych tygodni. Starłam się o przeniesienie do Trinity Hospice (które poprzednio obejrzałam) ale nie mieli miejsca...

– Więc przeniosłam się tam gdzie miejsce było, do Linden Clinic, prywatnego szpitala dla rekonwalescentów, b. blisko (coś 17 mil) od Reading, ale z widokiem na światła Windsoru. Na pięknej polanie – w szpetnym domu i za... 900 funtów tygodniowo plus liczne dodatki. Był to krok

nieodzowny (bo w szpitalu Brompton nie chcieli mnie już dłużej trzymać) ale wręcz desperacki (szpital, a raczej klinikę poleciła mi Hala Słaboszewicz [?]: tam ją odwiedzałam podczas jej dwóch rekonwalescencji) – desperacki bo decydując się na takie koszty, nic jeszcze nie wiedziałam czy moje amerykańskie ubezpieczenie cokolwiek mi zwróci. (*Teraz już wiem że zwróci ale nie mam pojęcia ile więc musiałam się zdecydować na wydanie swoich wszystkich oszczędności i to w ciągu kilku miesięcy.*)

Ile to? Chyba tylko 3 tygodnie przemieszkałam w Linden w małym pokoiku z pięknym widokiem na światła Windsoru i cudownymi wschodami słońca – z przemiłym młodym lekarzem, Grekiem, który przyjechał do Anglii i Linden tylko 3 dni przede mną i w niczym się nie orientował. Mimo to wydawał mi się dobrym lekarzem i porządnym człowiekiem, nie była to jednak dla mnie opieka jakiej w tym okresie potrzebowałam. Zresztą przez cały czas starałam się o przeniesienie tutaj, do Trinity Hospice i lekarz – Grek był stale na telefonie. Klinika okazała się tym czym zresztą była – nie dla ciężko chorych ludzi lecz dla zdrowiejących i w dodatku b. niekompetentnie prowadzona – i nastawiona na wyciąganie pieniędzy. Do dziś boli mnie ucho, bo gdy wyplątując się ze sznurów tlenowych – zemdlałam i wywaliłam się na taki wiatrak rozdmuchujący powietrze – nikt (w nocy) w tej klinice tego nie spostrzegł i leżałam na podłodze bez tlenu półtorej godziny. To mnie naprawdę przestraszyło i zmobilizowało.

Ryśka (właśnie wrócili z Francji) zadziałała wówczas energicznie i już po kilku dniach przewieziono mnie ambulansem (przeszło godzina podróży z butlą tlenu) tutaj do Trinity Hospice, z której mi znowu niestety grozi „wysiedlenie”. Obiecują jednak, że gdybym w terminie nie umarła, pomogą mi znaleźć podobne – lub jeśli się nie uda – prywatne hospicjum. Tyle o moich szpitalach – oby ten był ostatnim!

Trinity Hospice-Londyn,  
7-go września 1996

Alicja IWANŃSKA  
(*Odpis rękopisu*)

## „Nurt”: poezja i historia

1.

Okres międzywojenny nie był, rzecz jasna, dla współczesnych „międzywojennym”, choć nie brakło przeczuć katastroficznych – te jednak pojawiły się dopiero w późnych latach trzydziestych. Rozpoznanie sytuacji Polski dotyczyły przede wszystkim zagadnień aktualnego życia społeczno-politycznego kraju lub, jak np. w twórczości Witkacego bądź Żnanickiego, podnoszono problematykę ogólnych przemian cywilizacyjnych w Europie. Zagadnienia związane z odzyskaniem niepodległości, konfrontacja ideałów walki wyzwolenczej z rzeczywistością odrodzonej państwowości, były co prawda tematem literatury – wystarczy choćby przypomnieć „Przedwiośnie” Żeromskiego czy „Generała Barcza” Kadena-Bandrowskiego, lecz powieści te miały na ogół wymiar publicystyczny, odwoływały się do spraw doraźnych, rezygnowały na ogół z prób ujęcia kwestii bytu społecznego i narodowego w szerszej perspektywie historycznej.

Wyjątkowym zatem wydarzeniem stała się publikacja trylogii Wacława Berenta, na którą składają się trzy tomy prozy: „Nurt”, „Diogenes w kontuszu” i „Zmierzch wodzów”. Powieści te jednak nie doczekały się w chwili swej publikacji przyjęcia takiego, na jakie ze względu zarówno na swą nowatorskość formalną i wymiar intelektualny zasługiwały<sup>1</sup>. Znamienne jest w tym kontekście wyznanie Miłosza z roku dopiero 1972: „Dość późno zrozumiałem czemu Berent w ponurych latach trzydziestych napisał ‘Nurt’, ‘Diogenesa w kontuszu’ i ‘Zmierzch wodzów’. Mizantrop, odludek, z przerażeniem i odrazą obserwujący przybór nacjonalistyczno-totalniackich bredzeń, nie miał żadnych nadziei, a jego rozpacz równała się tylko rozpaczem innego odludka, Mariana Zdziechowskiego. Dla Berenta już spełniała się jakaś epoka zbio-

1. Wnikliwie analizuje tę problematykę Włodzimierz Bolecki w pracy „Historia i biografia. ‘Opowieści biograficzne’ Wacława Berenta”, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1978.

rowej ślepoty. Żeby jednak pomimo wszystko coś z siebie wykrzesać, zwracał się do tej chwili historycznej, kiedy wbrew prawdopodobieństwu, energia nielicznych przewyciężyła sarmacki marazm, do początków polskiej inteligencji złożonej z publicystów Oświecenia, reformatorów szkolnictwa, oficerów kościuszkowskich i napoleońskich<sup>2</sup>.

Zasadne wydaje się pytanie o to, dlaczego treści Berentowskiego dzieła tak późno objawiły swą wagę i nośność. Nie tylko dlatego przecież, że w niewiele lat po ich publikacji stało się to, co się stało, zaś doświadczenia następnych dziesięcioleci potwierdziły diagnozy polskiego pisarza. Wydaje się, że opór w odbiorze Berenta spowodowany był przede wszystkim tym, co Miłosz w swej rewizji stosunku do Leśmiana nazywa „młodopolskim językiem”. Jest sprawą oczywistą fakt, iż z dzisiejszej perspektywy istnieje pilna konieczność przewartościowania sądów o literaturze pisarzy o młodopolskim rodowodzie, a może nawet całej literatury Młodej Polski. Nie jest bowiem sprawą bez znaczenia fakt, iż właśnie z takich początków wyłoniła się literatura – by przywołać tylko nazwiska Leśmiana, Brzozowskiego, Irzykowskiego, Żeromskiego, Staffa i Berenta (a to starczy już aż nadto, by nie bagatelizować młodopolskiego rodowodu) stanowiąca zadanie dla czytelników końca XX stulecia. Wstręt antymłodopolski wyartykułowany po odzyskaniu niepodległości, a nawet wcześniej, gdyż już po wydarzeniach roku 1905, zrozumiały wówczas, nie musi być brany dzisiaj z całym dobrodziejstwem inwentarza. To jednak zagadnienie na osobną rozprawę – tu jedynie chciałbym rzecz zasygnalizować. O tyle to zresztą interesujące, iż doświadczenie dotyczące Młodej Polski nakłada się na uwagi samego Berenta o niedostrzeganiu, prześlepianiu istotnych wartości kultury jakiejś epoki.

Tu jedynie warto zwrócić uwagę na rolę, jaką Berent przypisuje poezji – bez wątpienia tej właśnie dziedzinie twórczości, która stanowiła jądro poszukiwań literatury młodopolskiej. Pisząc o Karpińskim stwierdza: „Mimo konwencjonalnych ram tych sielanek i pasterek, żywe w nich odczucie

2. Czesław Miłosz: „Prywatne obowiązki”, Paryż 1972, s. 125.

przyrody i ludzi wraz z tchnieniem swojszczyzny w każdej strofie przeniosły się bodaj z jego to pióra na ołówek i pędzel Norblina, za czym Vogla, a z czasem Piwarskiego, Orłowskiego i tylu innych, wyciskając od razu to odrębne, swojskie piętno na rodzącym się malarstwie polskim. Matka sztuk, poezja, posiadała i tu ziarna plemne, bodajże za głównym przyczynieniem się tak rozgłoszonych na długo w Polsce całej sielanki Karpińskiego – gdy dworską poezję stanisławowską zgilotynowały rozbiory; zmiłkła nagle i bez echa. (...) Przy gwałtownej odmianie życia kraju i stolicy cała pole równość tamtej muzy wydawała się młodym jak to wymuskanie postarzanych gładyszów byłego dworu, snujących się teraz, niczym widma cmentarne, po opustoszałych i trawą porośniętych ulicach Warszawy<sup>3</sup>.

Rzecz przy tym charakterystyczna – Karpiński stał się dla Berenta ważnym poprzednikiem Mickiewicza, wprowadzał bowiem, głównie w swych sielankach, w późniejszą duchową przestrzeń Soplicowa: „Z gliny tego wszak pokolenia i czasu ulepił Mickiewicz ostatnie na świecie epos narodowe. Olbrzymia jego sugestia sprawiać oczywiście musi, że i przez tę glinę samą przeświecać będą oblicza uwiecznione w Soplicowie, mimo barw tam wspanialszych, jednak o ‘pół tonu’ za nisko – jak to sobie wyrzucił Mickiewicz po ukończeniu swego arcydzieła<sup>4</sup>. Ową „glinę pokolenia” z pewnością stanowiły powtarzane później sielanki i pieśni Karpińskiego. Nie jest też przypadkiem, że po latach Jarosław Marek Rymkiewicz, odbudowując przestrzeń „kraju mistycznego” stworzonego w poezji Mickiewicza, właśnie w liryce Karpińskiego dostrzegąc znacznie załążki tego sposobu myślenia, choć nie jest do końca pewien, jak owe współzależności się kształtowały: „W moim przekonaniu Karpiński, autor siedmiu czy ośmiu arcydzieł poetyckich, jest największym poetą polskim przed Mickiewiczem. (...) Tu dotykamy czegoś, co jest dla mnie niejasne. Jaki był stosunek Mickiewicza do Karpińskiego i jaka była wiedza Mickiewicza o Karpińskim? Lekcja, jaką Mickiewicz wzięął – jeśli w ogóle wzięął – od Karpińskiego, może być decy-

3. Waclaw Berent: „Nurt. Opowieści biograficzne”, Warszawa 1958, s. 19-20.

4. *Op.cit.*, s. 37.

dująca<sup>5</sup>. Otóż co do owej lekcji Berent nie ma najmniejszych wątpliwości: „Bezpośrednio po upadku i w pierwszym dziesięcioleciu XIX wieku żył w Puszczy Białowieskiej, praboru trzebicielem i anachoretą nieledwie, acz w wielbłądzą skórę nie odziany, Jan Chrzyciel nowoczesnej poezji polskiej. Nie był i on po stokroć wart rozwiązać trzewika u stopy możniejszego, który nastać miał; jednakże jego to właśnie nie tylko naśladował początkowo Mickiewicz, lecz jakże serdecznie go zawsze przeceniał. Ze wszystkich bowiem poetów doby ubiegłej w nim mu się upodobało, że chrzcił swojszczyzną i sercem, gdy on sam wypełnić to miał duchem i ogniem. Sądzono było cichym sielankom starego poety stać się kontrastowym przedśpiewem tej burzy romantyzmu polskiego, co rozpętać się miała duchem i ogniem ponoć nie tylko nad literaturą<sup>6</sup>.”

## 2.

Zatrzymajmy się przy ostatnich słowach cytowanego fragmentu „opowieści biograficznych”: „...nie tylko nad literaturą”. Oto epoka romantyczna, romantyczne gesty i romantyczne wiersze spletają się u Berenta w całość niepodzielną, zaś wywiedzione zostają, jakby paradoksalnie, z doświadczenia oświeceniowego. To doświadczenie, które znamionowała wszechstronna praca zmierzająca do skodyfikowania zasad społeczno-państwowego bytu, zaowocowało w literaturze szeregiem utworów, które określić miały zręby narodowej tożsamości Polaków w przeddzień formowania się w Europie nowoczesnych państw narodowych – tożsamości, która miała stać się fundamentem przetrwania w dobie, gdy naród pozbawiony został bytu politycznego. Jak słusznie bowiem zauważa Ryszard Przybylski: „W tym procesie przekształcania narodu we wspólnotę duchową, zdolną istnieć niezależnie od państwa, kultura staropolska miała znaczenie bez przesady fundamentalne. Toteż prawdziwy koniec Królestwa Polskiego nastąpił dopiero wówczas, kiedy klasycyzm,

5. „Mickiewicz czyli wszystko. Z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem rozmawia Adam Poprawa”, Warszawa 1994, s. 51.

6. Wacław Berent, „Nurt”, *op.cit.*, s. 18-19.

po głębokiej analizie dziejów i literatury I Rzeczypospolitej, ustalił, żeby się tak wyrazić, zestaw wartości ukształtowanych w zamordowanym państwie, które złożyły się na to, co nazywano wówczas za Arystotelesem entelechią narodu, czyli siłą sprawiającą, że naród jest tym, czym jest. Wartości te należało teraz uczynić powszechną własnością Polaków, ich chlebem powszednim, ich mitem, ponieważ stanowiły o tożsamości pozbawionego państwa narodu. Tej wielkiej pracy, bez której dalsze istnienie Polski jako duchowej wspólnoty nie byłoby możliwe, dokonał klasycyzm<sup>7</sup>. Tu, oczywiście, pomieścić także trzeba dzieło Franciszka Karpińskiego.

Dzieło poetów wszakże wpisywało się w szerszą jeszcze perspektywę i ją właśnie odślania w pierwszej części „Nurtu” Wacław Berent, kreśląc między innymi dzieje takich przedsięwzięć, jak Staszicowskie Towarzystwo Królewskie (Towarzystwo Przyjaciół Nauki) czy wychowawcze i naukowe trudy zakonu pijarów. Nie czynił tego zapewne li tylko dla pozyskiwania efektów literackich, lecz także dla wskazania wagi owej tradycji w wyzwolonej Polsce. W tym właśnie czasie, gdy w „Pamiętniku Warszawskim” ukazały się pierwsze fragmenty „opowieści biograficznych” ich autor w liście do Stanisława Pigońa podkreślał: „Na tę drogę Staszicową w budowaniu zarówno duchowej, jak i materialnej przyszłości naszej wkroczyć musi z czasem opinia polska, zaczem i rządy nasze<sup>8</sup>. Upowszechnienie tej postawy, która po równi dbała o rozwój kultury i dobrobytu, było jednym z głównych zadań, jakie pisarz przed sobą stawiał – zaświadcza o tym nie tylko jego dzieło, lecz także szereg wypowiedzi publicznych, w których tradycja „drogi Staszicowej” wydawała mu się najbardziej żywotna. Jedną z nich była mowa wygłoszona z okazji otwarcia Polskiej Akademii Literatury, którą kończyły te słowa: „Pomnika ani Dąbrowski, ani Staszic w Warszawie nie mają. (Pilniejsze i bliższe dzisiejszemu sercu Warszawy będą posągi Kilińskiego i Bogusławskiego). Lecz jak obaj utrudzali się sami za wszystkich, sporni po tylekroć całej

7. Ryszard Przybylski: „Klasycyzm albo Prawdziwy koniec Królestwa Polskiego”, Warszawa 1983, s. 7.

8. Cyt. za: Stanisław Pigoń: „Wiązanka historycznoliteracka. Studia i szkice”, Warszawa 1969, s. 335.

opinii warszawskiej, tak też sami wystawili sobie pomnik, i to w sercu stolicy, stanęli dwiema oporowymi kolumnami 'Pałacu Kultury Polskiej' – za Kopernikiem w Warszawie. Nad wrotami tego gmachu chciano niegdyś wyźłobić w kamieniu słowa, z którymi Staszic oddawał narodowi tę wspaniałą darowiznę swą: – 'Nie dla swoczesnych pożytków, lecz dla dobra i użytku pokoleń przyszłych'<sup>9</sup>.

Pojawiają się tutaj wszyscy bohaterowie „Nurtu” tworząc grono tych, którym społeczeństwo polskie zawdzięczać będzie swe trwanie. Tu właśnie – w dynamice intelektualnej, ale też w nauce czynu – pojawia się nurt historyczny, n u r t dziejów przenoszący ideę suwerennej polskości z obszaru Pierwszej w przestrzeń Drugiej Rzeczypospolitej. Zadaniem, jakie u progu lat trzydziestych ma przyczynić się do umocnienia wolności, staje się podtrzymanie owego nurtu, jego przedłużenie – stąd powinnością, jaką nakłada pisarz na „rządy nasze”, jest podążanie „drogą Staszicową”, której trakt zarysowuje Berent w pierwszym tomie „opowieści biograficznych”. Ta droga jest przede wszystkim drogą odpowiedzialności za państwo i narodową tożsamość Polski.

Budulcem owej odpowiedzialności jest dla Berenta przede wszystkim biografia łącząca w sobie wymiary egzystencjalny i historyczny – takich biografii dostarczały przede wszystkim postacie schyłku epoki oświeceniowej. Ma też rację Włodzimirz Bolecki, gdy podkreśla, że zainteresowanie Berenta przełomem XVIII i XIX oraz postaciami, które tworzą wówczas nurt dziejów, nie wzięło się jak *deus ex machina* z atmosfery „nowej rzeczywistości”. Istnieją wzmianki w tekstach Berenta wskazujące, iż pisarz już w okresie młodopolskim znał część materiału, na jakim oprze później „Nurt”, „Diogenesa” i „Zmierzch wodzów”. Niewątpliwie koncepcja problematyki opowieści biograficznych zarysowała się już w okresie między „Próchnem” a „Oziminą”, a więc w czasie,

9. Waclaw Berent: „Onegdaj. Mowa miana przy otwarciu Polskiej Akademii Literatury” [w:] „Pisma rozproszone. Listy”. Wstęp, opracowanie tekstu, dodatek krytyczny: Ryszard Nych. Fragment Wstępu dotyczący „Idee w ruchu rewolucyjnym” i „Onegdaj” oraz opracowanie tekstu i Komentarze do tych szkiców: Włodzimirz Bolecki, Kraków 1992, s. 254.

kiedy m.in. powstają przekłady Nietzschego, rozprawa „Idea w ruchu rewolucyjnym” i „Źródła i ujścia nietszcheanizmu”. Głównym wnioskiem, jaki Berent wyciąga z pism Nietzschego, a zarazem przyjmuje go za własny, jest Nietzscheańska krytyka kultury europejskiej, a ściślej pytanie o podstawowe wartości kultury, o „istnienie wartości życia”<sup>10</sup>.

Owe „istotne wartości życia” to wartości przekraczające wymiar biografii jednostkowych, realizujące się w swych przedłużeniach. Tak właśnie skonstruowany jest „Nurt”: punktem wyjścia są w nim owe indywidualne zyciorysy naszkicowane w części „Ludzie starodawni”, odnajdujące swe przedłużenia w życiu i czynach spisanych w „Pogrobowcach”.

### 3.

Cykl Berenta, skupiony na biografii, ma stać się w zamyśle autorskim nie tylko poszukiwaniem „istotnych wartości życia”, lecz nadto swoistą wersją „żywotów sławnych mężów” – wersją dostosowaną do zmienionej struktury życia społecznego, wpisaną w przestrzeń społeczeństwa masowego, skupiającego się w obszarach państw narodowych. Wybór przełomu XVIII i XIX stulecia nie pozostawia w tym względzie wątpliwości – właśnie wówczas kształtowała się poczynają struktury społeczeństw współczesnych, zaś *civitas Dei* przekształcała się, jak opisuje Paul Hazard, w „*civitas* ludzi”. To wówczas, jak zauważa ten sam badacz: „Polska, rozdarta wewnątrz, pogrążona w anarchii, niezdolna stawić oporu pożądlivosti sąsiadów i skazana na zagładę, podejmowała z chwilą wstąpienia Stanisława Augusta na tron patetyczne zadanie: zerwie z sarmatyzmem, który kazał jej miłować stare wady, weźmie od zagranicy sekret reform społecznych, które ją ocala, zmieni swoje metody wychowawcze, po filozofię sięgnie do „Encyklopedii”, po logikę do Condillaca, odzyska siły żywotne; ogromny wysiłek podejmowany między kolejnymi rozbiorami, które niebawem miały wykreślić ją z liczby narodów: wyścig z czasem, który miała nadzieję wygrać, a jeśli godo przegra, to przekaże przynajmniej czasom przyszłym wolę

10. Włodzimirz Bolecki, *op.cit.*, s. 124.

przetrwania i odnowy”<sup>11</sup>. Bohaterów owego ogromnego wysiłku opisuje przede wszystkim pierwsza część „Nurtu” – to oni mają stać się wzorcem dla potomnych, ich dzieło ugruntowane w ich biografii.

Porównanie „opowieści biograficznych” z „Żywotami sławnych mężów” Plutarcha opatrzone być musi wszakże pewnym istotnym zastrzeżeniem – to już są „żywoty” kreślone na inną zgoła modłę, prześwietlone przez filozofię nietscheańską. Trafnie zauważa Tadeusz Kijowski, śledząc los tej książki: „Ceniono Plutarcha w wieku Oświecenia; wykształcili się na nim przywódcy wielkiej rewolucji; lekturę ‘Żywotów’ wprowadzono obowiązkowo do szkół wojskowych – rozczytywał się w tej książce Bonaparte, przy czym szczególnie umiłował życiorys Aleksandra Wielkiego. A w Polsce Stanisław Konarski zalecał Plutarcha szkołom pijarskim; Józef Wybicki pisze we wspomnieniach, że prefekt jego zalecił mu czytanie ‘Żywotów sławnych mężów’ zamiast żywotów świętych, które stanowiły dotąd jedyną lekturę umoralniającą i jedyne źródła ‘wzorców osobowych’. W Polsce czytano Plutarcha po francusku. Dopiero w 1801-1805 dokonał nowego tłumaczenia ks. Filip Neriusz Golański, ojciec pijar, i wydał pt. ‘Sławni ludzie i onych porównania – Plutarcha dzieło historyczne, moralne i filozoficzne’. W tym przekładzie zapoznali się z wielkimi mężami Grecji i Rzymu Mickiewicz, Słowacki, Mochacki, Goszczyński, Nabelak – każdy z nich wyznaje, że Plutarch był jedną z pierwszych książek w dzieciństwie czytanych, że nad nim doznawał najpierwszych wzruszeń patriotycznych i snuł najwcześniejsze marzenia o sławie i wielkości. (...) Zajęcie Plutarchem ustaje właśnie wtedy, gdy zjawiają się na horyzoncie najpierw teoretycy pozytywizmu i socjalizmu, a później Nietzsche ze swą własną wizją wielkości”<sup>12</sup>. Berent, który wszak nie tylko czytał, lecz także Nietzschego tłumaczył, bez wątpienia właśnie poprzez jego wizję odczytywał dzieło Plutarcha, jednocześnie jednak nie mógł – zajmując się

11. Paul Hazard: „Myśl europejska w XVIII wieku. Od Monteskiusza do Lessinga”. Tłum.: Halina Suwała, wstęp: Stanisław Pietraszko, Warszawa 1972, s. 389-390.

12. Tadeusz Kijowski: „Listopadowy wieczór” [w:] „Granice literatury”. Wybór szkiców krytycznych i historycznych. Zebrał, opracował i wstępem poprzedził Tomasz Burek, Warszawa 1991, t. II, s. 92

biografiami „Ludzi starodawnych” – tracić jego dzieła z pola widzenia. Tym bardziej przecież, że echa tego dzieła przyniósł także ówczesna literatura polska, jak choćby „Rozmowy zmarłych” Ignacego Krasickiego, który Plutarcha studiował dość pilnie.

Plutarch wszakże – przynajmniej w narracyjnej strukturze „Nurtu” – mógł stać się dla Berenta punktem odniesienia w samej konstrukcji utworu, w owej jego dwudzielności, w której następuje swoiste „odbicie”, odwzorowanie żywotów „ludzi starodawnych” w biografiami „pogrobowców”. Jak bowiem zauważa Przybylski: „Środek klasyczny godził przeciwstawne sobie wartości, ale nie próbował roztopić ich w sztucznej jedności. Tworzył pewien dualizm, którego dwie jedności nie mogły istnieć bez siebie, ale też nie pożerały siebie nawzajem. Toteż czasem środkiem mogło być ‘puste miejsce’, w którym wszakże znajdowała się nieokreślona i niewidzialna siła wiążąca przeciwne człony. Takim nieuchwytnym środkiem w biogramach Plutarcha jest oś bytu przebiegająca między zachowaniem się człowieka (*ethos*) a jego niezmienną naturą (*physis*)”<sup>13</sup>.

Owa „oś bytu” w narracjach biograficznych o „ludziach starodawnych” jest u Berenta łatwo pochwytana, trudniej jednak odnaleźć ją w opowieściach o życiu „pogrobowców”: następuje bowiem istotna przemiana sygnalizowana już w akapicie zamykającym pierwszą część dzieła: „Legenda jak świat stara. Dajdałos był mędrce, badaczem wnętrza ziemi, odkrywca źródeł gorących, złoży miedzi i złota, budowca, wynalazca wszystkich narzędzi pracy ludzkiej – a miał syna Ikara”<sup>14</sup>. To, co właśnie rzuca się w oczy w opisie legendy, to odrzucenie przekonania o „niezmiennej naturze bytu” człowieka. I tu właśnie pojawia się w utworze Berenta tonacja przejęta od Nietzschego. Pojawia się nawet coś więcej: przekonanie o konieczności zmiany owej natury.

Ma to być zmiana ocalająca te wartości, które „niezmienność natura” zatracza w procesie cywilizacyjnego rozwoju. Jedną z nich jest wolność – zarówno w wymiarze jednostkowym i społecznym, państwowym wreszcie. Ocalenie owej suweren-

13. Ryszard Przybylski, *op.cit.*, s. 63.

14. Waclaw Berent: „Nurt”, *op.cit.*, s. 83.



ności staje się sprawą pierwszorzędną w dobie, „gdy Albertrandi, jako pierwszy prezes Towarzystwa, pragnął uratować jego istnienie obrzydliwym oportunizmem wobec najeźdźców” i gdy tenże „w obecności generałów pruskich ją wywodził na jednym z pierwszych posiedzeń Towarzystwa o potrzebie ‘przelania narodowości (polskiej) w bryłę narodu potężniejszego’ (pruskiego)”<sup>15</sup>. I w dobie, gdy do głosu dochodzić poczynają tony barbarzyńskie, „junkierskie” jak je Berent nazywa, zmuszające do obniżenia lotów kultury, dla której „poniżenie książki i sceny polskiej do upodobań ulicy było – widać już przed półtora wiekiem – wskaźnikiem opadu i nieodporu”<sup>16</sup>.

## 4.

Reprezentantem „pogrobowców”, nowym więc Ikarem jest w „Nurcie” przede wszystkim generał Dąbrowski. Jego biografia opowiadana jest w co najmniej trzech nakładających się na siebie, przenikających się wzajemnie warstwach, z których pierwszą tworzą słowa samego bohatera, drugą – relacje jego współczesnych, trzecią wreszcie – nie pozbawione tonacji publicystycznej – komentarze narratora utworu. Owo potrójne oświetlenie postaci ukazywanej przez to w sposób wielowymiarowy tworzy swoisty hologram językowy, który stanowi o oryginalności całego cyklu „opowieści biograficznych” Berenta. I ten właśnie wynalazek wydaje się sprawiać czytelnikom utworu pewne kłopoty w lekturze, gdyż poszczególne smugi narracyjnych oświetleń nie zawsze dają się od siebie oddzielić, wypreparować – szczególnie w wypadku odbiorców, dla których czas terażniejszy Berenta stanowi odległą już przeszłość. Stąd uwagi o „cyklu osobliwych utworów”<sup>17</sup> czy narzekania na „młodopolską” manierę, podkreślanie zawiłej „poetyczności” stylu itp.

W tym kontekście ważna wydaje się uwaga Boleckiego, który omawiając recepcję dzieła podkreślał: „Znamienne, że narrację Berenta traktowano globalnie jako stylizację jedno-

15. *Op.cit.*, s. 87.

16. *Op.cit.*, s. 90.

17. Alina Kowalczykova: „Programy i spory literackie w dwudziestoleciu 1918-1939”, Warszawa 1981, s. 368.

rodną, podczas gdy faktycznie ‘opowieści biograficzne’ nie są ani ‘czystą’ stylizacją na język Oświecenia, ani bezpośrednim językiem dokumentów epoki, ani też jednolitą mową narratora współczesnego czytelnikom lat trzydziestych”<sup>18</sup>. Z drugiej jednak strony nie sposób nie zauważyć, że biografia to język, w którym jest wypowiedzana, zaś z tego punktu widzenia, jeśli ma zachować swą spójność, opowieść musi zostać podporządkowana pewnemu ogólniejszemu założeniu stylistycznemu niż to, które ujawnia się na poziomie zdania czy poszczególnych fragmentów. Tym założeniem jest traktowanie „tekstu” historii jako dialogu – dopiero takie ujęcie pozwala potraktować biografię jako spójną całość będącą zarazem punktem odniesienia dla różnych sposobów jej rozumienia. Żywy dialog o bohaterach dziejów skonstruowany w „opowieściach biograficznych” jest zatem propozycją nieustannego przewartościowywania sądów i opinii na ich temat. Z tej perspektywy „Nurt” i pozostałe utwory cyklu to bez wątpienia projekt „dzieła otwartego” – otwartego zawsze na jakąś „współczesność” jego lektury, której cechą nieusualną jest dopełnienie całości struktury narracyjnej przez „komentarz” odbiorcy.

Historia jest żywym nurtem naszego istnienia, nieustannie toczącym się, zmiennym, nieprzewidywalnym. Kierunek owego nurtu wyznaczają wszakże biografie poszczególnych uczestników owej przemiany, biografie, spośród których wybrane tworzą swoiste „wzorce osobowe”. Można, rzecz jasna, odczytywać je poprzez budowanie analogii między pojawiającymi się w dziejach postaciami tak, jak to czyniono, gdy doszukiwano się w Dwudziestoleciu w portrecie Dąbrowskiego z „Nurtu” szkiców do obrazu Piłsudskiego. Wszakże owe porównania są zawsze tylko częściowo prawomocne. Sprawą o podstawowym znaczeniu dla Berenta jest bowiem nie poszczególne „wcielenie”, lecz dotarcie do owych „istotnych wartości życia” ujawniających się w ludzkich myślach i dziełach. Przy czym nie traktuje Berent historii jako „życia nauczycielki”, której lekcji można się raz na zawsze wyuczyć. W odautorskim wstępie do „Nurtu” przeczytamy bowiem: „Któremuś z klasyków naszych w ich nałogowym słowo-

18. Włodzimierz Bolecki, *op.cit.*, s. 25.

twórstwie przytrafiło się gdzieś powtórzyć za Horacym: muzy głos życiowrotny... Miał on może na myśli nie tylko muzykę najstateczniejszą Klio – wszytkowiedzącą z jej 'stylem' u tablicy? Lub przypomniał może – klasyk – że ta Jowiszowa córka była bądź co bądź muzą eposu? Nie o *logos*, o *bios* historii idzie zawsze w epickim obrazowaniu przeszłości; a więc i w tym najskromniejszym choćby odgałęzieniu współczesnym tego pnia – w opowieści biograficznej<sup>19</sup>. To, oczywiście, charakterystyka jedynie warstwy narracyjnej utworu, która jednak właśnie poprzez „bios” stara się określić każdorazowo od nowa ów wymykający się, zmienny bowiem, „logos” dziejów wyrażany w utworze literackim.

Otóż to właśnie: Berent – idąc tu zresztą tropem myśli nietscheańskiej – podważa samo istnienie jakiegoś „logosu dziejów”. Historia – czy to czyniona, czy pisana (zawsze od nowa) – jest, podobnie jak wolność, zadaniem do wypełnienia, do nieustannego, wymagającego stałej skupionej uwagi rozwiązywania pojawiających się problemów. By to czynić, konieczna jest wiedza i także wewnętrzna dyscyplina, która cechowała właśnie Dąbrowskiego: „Najcenniejszy narodom wszystkim, a najrzadszy u Polaków dar organizacyjny zastanawia dziś głęboko w Dąbrowskim historyków rzemiosła wojennego. Zastanawiał i wtedy, na gorąco: pruski obrońca Gdańska, generał Kalkereuth, nie mógł po swej kapitulacji 'dość nadziwić się, że wojsko polskie w tak krótkim czasie od jego powstania i przy obleganiu w takim porządku zastał'”<sup>20</sup>.

5.

Nie tylko ów „dar organizacyjny” wszakże zastanawia. Oto bowiem: „W papierach jego najbardziej osobistych, wśród pamiętek, zda się, mu najdroższych, znajdują się wszystkie refreny Mazurka (dzisiejszego hymnu), między nimi i zapomniane, a dziś zgoła nieznanne jakieś tam w rymach toasty włoskie i ody polskie na jego cześć pisane, bojowe rymy młodzieży warszawskiej na jego powrót do kraju, nawet laurkowe

19. Wacław Berent: „Nurt”, *op.cit.*, s. 6.

20. *Op.cit.*, s. 269.

powinszowanie żaka od pijarów – ot, za trochę owych rupiec miłosnych w listach i erotykach, jakie pozostawiają po sobie poeci, ta garstka wspominek intymnych człowieka czynu. Nie brak i wstydlivych, jeśli kto chce: skąpych pozostałości jego własnej 'lutni' i kilku liryk Szylerskich, przepisanych starannie z własnych ksiązek, by w swym życiu ruchliwym mieć je zawsze pod ręką. Zastanawia tu najbardziej wiersz z 'Przypowieści Konfucjuszowych' (acz bez podania autora w przypisie). (...) W osobliwym spadku po encyklopedystach stało się imię najtrzeźwiejszego mędrca Wschodu nader częstym wehikułem mistycznych podówczaś 'wtajemniczań' masonów. (...) Kędyż tu, na Boga, mistyce?!... – zachnąć się może niejeden. (...) W onych to czasach, gdy umierano tak na widowni, a strojnie, tak batalistycznie i pejzażowo, mogłaż się komu roić mistyka?! Właśnie wtedy! I to nader licznie, a wojnie na wspan. Miewa bowiem duch ludzki koleje własne, tak po wielokroć niezależne od Ulmów i Austerlitzów; a on to koniec końców zawsze zwycięża – orzekł nie kto inny, jak Napoleon<sup>21</sup>.

W żołnierskim plecaku – niejednym, jak stwierdza Berent – odnaleźć można było wówczas wiersze. To, że Dąbrowski gromadził wierszowane pamiątki osobiste, dziwić nie powinno. Obecność w jego bagażach wierszy Schillera zaświadcza już jednak co innego. Oznacza wychylenie w czas, w którym: „Z najwyższego mianowania Mickiewicza ostatnim Hetmanem Polski został jednak – dla ludu i legendy – Dąbrowski”<sup>22</sup>. Historia zmienia się w poezję a ta dopiero tworzy jej *logos* utwierdzany przez *ethos* konkretnych biografii.

Leszek SZARUGA

21. *Op.cit.*, s. 248-49.

22. *Op.cit.*, s. 268.

## Nagrody

Tegoroczne Nagrody Fundacji Kultury zostały przyznane Stanisławowi Barańczakowi, Jerzemu Grotowskiemu oraz Zbigniewowi Herbertowi. Fundacja Kultury obchodzi w tym roku 5-lecie swojej działalności. W tym okresie m.in. wsparła 85 inicjatyw teatralnych, 48 filmowych, 115 muzycznych i 97 plastycznych. Przyznaje też indywidualne stypendia dla artystów i organizuje konkursy „Promocja najnowszej literatury polskiej” i „Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości”.

Radio „Maryja” dostało Nagrodę Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy „za odwagę przyznawania się do Boga i polskiego domu” oraz za to, „że w tych trudnych czasach, gdy szatan szaleje, Radio ‘Maryja’ rozmodliło Polskę coraz bardziej oplatając ją różańcem”. (Informację podajemy za *Politykę* nr 3 z 18-go stycznia br.).

Redakcja *Rzeczpospolitej* ufundowała Nagrodę im. Dariusza Fikusa, zmarłego w ubiegłym roku redaktora naczelnego pisma. Nagroda w wysokości 30 tys. złotych przyznawana będzie raz w roku za osiągnięcie sukcesu w mediach.

Konkurs dramatyczny poznańskiej Sceny na Piętrze, po rozpatrzeniu przez jury 120-tu nadesłanych prac, wygrała Anna Strońska. Grand Prix w konkursie przyznano jej za sztukę „Zgubny nałóg miłości”. Prapremiera w Poznaniu już w kwietniu.

Nagrody Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich za rok 1995:  
– w dziedzinie literatury pięknej – nagrodę Jolancie Ko-

zak za przekład z języka angielskiego powieści Johna Irvinga „Regulamin tłoczni win” (Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik) oraz dwa równorzędne wyróżnienia Marcie Kudelskiej za przekład z sanskrytu poematu „Bhagawadgita” (Oficina Literacka) i Annie Zielińskiej-Elliott za przekład z języka japońskiego powieści Murakamiego Harukiego „Przygoda z owcą” (Wydawnictwo Wilga).

– w dziedzinie sztuk teatralnych – nagrodę Annie Wasilewskiej za przekład z języka francuskiego sztuki Jeana Geneta „Splendids” (*Dialog* nr 3/95) oraz z języka włoskiego sztuki Roberta Lericiego „Obiad rodzinny” (*Dialog* nr 6/95) i wyróżnienie Halinie Thylwe za przekład z języka szwedzkiego sztuki Ingmara Bergmana „Puszy się i miota” (*Dialog* nr 4/95) i sztuki Juhy Seppali „Niebieska wieża” (*Dialog* nr 10/95) oraz z języka norweskiego sztuki Bjorg Vik „Podróż do Wenecji” (*Dialog* nr 10/95).

– w dziedzinie eseju – nagrodę Stanisławowi Kasprzyśkiemu za przekład z języka włoskiego esejów Guida Ceronettiego „Drzewa bez bogów” (Oficina Literacka) i wyróżnienie Zygmuntovi Simbierowiczowi za przekład z języka angielskiego dzieła Petera L. Bergera „Rewolucja kapitalistyczna” (Oficina Naukowa).

– w dziedzinie nauk humanistycznych – nagrodę Joannie i Adamowi Gajlewiczom za przekład z języka niemieckiego dzieła Maxa Stirnera „Jedyny i jego własność” (Wydawnictwo Naukowe PWN) i wyróżnienie Małgorzacie Sugierze za przekład z języka angielskiego dzieła J.L. Styana „Współczesny dramat w teorii i scenicznej praktyce” (Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo).

– w dziedzinie nauk ścisłych – dwie równorzędne nagrody Piotrowi Amsterdamskiemu za przekład z języka angielskiego książki Rogera Penrose’a „Nowy umysł cesarza” (Wydawnictwo Naukowe PWN) i Kazimierzowi Grygielowi za przekład z angielskiego książki Davida E. Goldberga „Algorytmy genetyczne i ich zastosowania” (Wydawnictwa Naukowo-Techniczne).

– w dziedzinie literatury popularnej – nagrodę Julicie Wronek za przekład z języka angielskiego powieści Winstona Grooma „Gump i spółka” (Wydawnictwa Albatros/Prima). Jury postanowiło nie przyznawać w tym roku wyróżnienia.

Jest zjawiskiem zaskakującym, że nagrody przyznawane są

wyłącznie za przekłady z języków zachodnich. Nie ma wśród nich przekładów z języka rosyjskiego, ukraińskiego, litewskiego, nie mówiąc już o bardzo interesującej literaturze gruzińskiej.

● Nagroda Stowarzyszenia Artystek Szwedzkich za rok 1997 została przyznana mieszkającej w Szwecji malarce Janinie Jasińskiej-Luterek, której wystawa w październiku 1996 w sztokholmskiej „Galerii 17” została przyjęta z wielkim uznaniem.

● Wanda Wiłkomirska i Teresa Chylińska otrzymały przyznaną po raz pierwszy Nagrodę im. Karola Szymanowskiego.

● Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrońskiego przyznawane przez redakcję *Przeglądu Prawostawnego* otrzymali: Andrzej Turczyński, prozaik, poeta i tłumacz; Piotr Trochanowski (Peter Murianka), poeta; Dimitri Pospiełowski, historyk; Mikołaj Hajduk, publicysta i literat.

#### SPRAWOZDANIE FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ ZA ROK 1996

Ze stypendiów Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w roku 1996 skorzystało 28 osób: 14 historyków, 4 polonistów, 3 białorutenistów, 2 historyków sztuki, 2 publicystów, 1 tłumacz, 1 wydawca, 1 pisarz.

20 osób otrzymało stypendia miesięczne po pięć tysięcy

franków francuskich. Większość z nich (15) została zrealizowana we Francji, dwa w Anglii i po jednym w Czechach, w Rosji i we Włoszech. Poza stypendystami z Polski, wśród tej grupy było dwoje z Litwy, i jeden z Ukrainy.

● Pięciu naukowców z Białorusi i trzech z Litwy otrzymało stypendia na pobyt w Polsce (po 1.000 USD).

Program stypendialny zrealizowany został głównie dzięki subwencji Open Society Institute i National Endowment for Democracy.

Zasady przyznawania stypendiów: o stypendia mogą się ubiegać pisarze, publicyści, artyści oraz naukowcy w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Stypendia przyznawane są na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc – na pobyt za granicą. Wysokość jednorazowej dotacji wynosi 5.000 franków francuskich. Ten sam kandydat nie może otrzymać ponownie stypendium wcześniej niż przed upływem pięciu lat.

Podanie powinno zawierać życiorys, informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP  
31, rue de Garlande  
77-220 Tournan-en-Brie  
Francja

#### KOMUNIKAT POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 9.3.1997 r. Dyrekcja Fundacji przyznała dalsze 33 wyróżnienia osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Eligiusz BRULIŃSKI – za pracę nad historią Armii Krajowej, Bożena i Jan CHECHLIŃSCY – za pracę w Stowarzyszeniu „LIVER”, Cecylia CHRZAŚCIK – za działalność na rzecz dzieci niepełnosprawnych, Witold DĄBROWSKI – za pracę w kwartalniku *Scriptores Scholarum* w Lublinie, Ryszard CIEŚLA – za pracę w Filharmonii im. Romualda Traugutta, Anna i Zbyszek DRAŻKOWSCY – za działalność w Fundacji „Między Nami” w Lublinie, Czesław JURCZY-SZYN – za pracę w „Banku Żywności”, Tadeusz KACZYŃSKI – za pracę w Filharmonii im. Romualda Traugutta, ks. Edward KONKOL – za działalność w Stowarzyszeniu „DROGA” w Białymstoku, Joanna KRASNODĘBSKA za pracę w „Banku Żywności”, Adam KWAS – za pracę w miesięczniku *Ziemia Kłodzka*, Liza KYNAST – za pracę w miesięczniku *Ziemia Kłodzka*, Beata MALISZKIEWICZ – za rozwój programu tolerancji w szkołach Opola, Cezary OBRACHT-PRONDZYŃSKI – za działalność obywatelską na terenie Pomorza, Wojciech ONYSZKIEWICZ – za pracę w „Banku Żywności”, Halina OWCZAREK – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej, Stanisław PESTKA – za działalność obywatelską na terenie Pomorza, ks. Jan PIOTROWSKI – za pracę społeczną na terenie Lipowca Kościelnego k/Mławy, ks. Janusz POPŁAWSKI – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej, Petr POSLEDNI – za pracę w miesięczniku *Ziemia Kłodzka*, Maria i Tadeusz PUŁCZYŃSCY – za pracę w Republice Korczakowskiej „DYLINIARNIA” w Krakowie, Barbara i Tomasz SADOWSCY – za działalność we wspólnocie „BARKA”, Stanisław SROKOWSKI – za działalność w *Gazecie Dzieci* we Wrocławiu, ks. Marek WASZTYL – za prowadzenie Hospicjum Opatrzności Bożej w Wołominie k/Warszawy, Barbara WEIGL – za rozwój programu tolerancji w szkołach Opola, Krystyna WYSOCKA – za pracę obywatelską na terenie Jastarni, Tadeusz ZAWADOWSKI – za działalność kulturalną w Zduńskiej Woli, Grzegorz ŻUK – za pracę w kwartalniku *Scriptores Scholarum* w Lublinie, Sławomir ŻUREK – za pracę w kwartalniku *Scriptores Scholarum* w Lublinie

Z wymienionych osób:

6 – otrzymuje wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej

9 – otrzymuje wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singler

6 – otrzymuje wyróżnienia im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowicz

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

– Jan HANASZ

ul. Krasieńskiego 57 m.10, TORUŃ, tel. 2-82-06

oraz

– Anna KONDRACKA

ul. Bogusławskiego 20 m.80, WARSZAWA, tel. 663-26-39

lub też zwracając się wprost do:

POLCUL FOUNDATION,

P.O.Box 193,

ROSE BAY, 2029 Australia

tel. (61-2) 9326 2863 fax (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

## Książki

### Książka o Bronisławie Przyłuskim

W „Szkicach o literaturze emigracyjnej” Marii Danilewicz Zielińskiej (Biblioteka *Kultury* t. 289, 1978) powojenna twórczość Bronisława Przyłuskiego (1905-1980) omówiona została w rozdziale zatytułowanym „Poeci, poeci, poeci” na drugim, a więc nawet typograficznie niezłym miejscu wśród kilku innych twórców o bardziej znanych nazwiskach. Względna anonimowość tego dobrze zapowiadającego się przed wojną poety, współzałożyciela poznańskiej grupy „Prom” i autora tomików „Badyle” (1932) i „Dalekie łąki” (1935) była raczej wynikiem okoliczności zewnętrznych – wojny i emigracji – niż poważniejszym niedostatkiem „boskiej miary”, by użyć terminologii Krasieńskiego. Przyłuski był oficerem zawodowym, wojnę spędził w oflagu w Murnau, a jego późniejsza emigracyjna „kariera” nie była usiana różami: w Anglii długo pracował jako terapeuta w szpitalu psychiatrycznym (mało poetyckie zajęcie), a choć w latach 1958-70 piastował wreszcie lepsze stanowisko (redaktora działu kulturalnego Radia Wolna Europa w Monachium), obowiązki służbowe i wiek nie sprzyjały już zbytnio „wybicciu się” na znaną postać literacką. Mimo, że jego powojenny dorobek jest poważny (siedem zbiorów poetyckich wydanych w latach 1949-73, kilka utworów teatralnych – w tym monumentalny, wysoko oceniony przez krytykę dramat z dziejów Rzymu pt. „Leon I” – oraz świetny przekład z Rilke’go [„Pieśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke”, 1977]), nazwisko Przyłuskiego za jego życia wtopiło się chyba nie całkiem słusznie w szaryną *poetae minores*.

Ten poeta był bardzo charakterystyczny dla nowszej poezji polskiej (tzn. lat trzydziestych i swoistej ich kontynuacji na emigracji powojennej): w dawniejszych jego wierszach wyczuwa się jeszcze szkołę Leśmiana, ale już zrównoważoną względny modernizmem „Skamandra”, zaś po wojnie wyraźnie ewoluuje ona w regiony wytyczone niegdyś przez Norwida, a w owym czasie przez T.S. Eliota – a więc w stronę refleksji moralnej i filozoficznej. Tym bardziej więc „nieobecność” Przyłuskiego w polskiej literaturze, nie podzielonej na emigracyjną i krajową – czyli mówiąc prościej: trudność dostępu do jego rozproszonej lub też niepublikowanej twórczości – z biegiem czasu stawała się coraz bardziej widoczna i (dla historyków literatury tego okresu przynajmniej) wręcz uciążliwa. Nieco zaradziło temu pośmiertne wydanie „Poezji wybranych” (Warszawa 1987) i dramatu pt. „Czas pojednany” (Poznań 1993), ale wciąż jeszcze brak było jakiegoś zbiorowego podsumowania całości dorobku tego poety i dramatopisarza. Zadania tego podjął się pomorski literaturoznawca M.A. Derdowski (co za piękne kaszubskie nazwisko!) w książce\*, której chcę tu poświęcić kilka słów, mimo że z uwagi na nader niestaranne opracowanie jej ostatecznego tekstu może się wydawać pozycją *ad leones*. Jeśli mimo wszystko jako sprawozdawca nie kieruję kciuka ku ziemi – czyli jednak „zdam z niej sprawę” – to z dwóch przyczyn: *primo* doszły mnie słuchy o bardzo ciężkiej chorobie autora w trakcie jej wydawania, co zapewne uniemożliwiło mu końcową adiustację i korektę; *secundo*, mimo nader licznych pomyłek i niedokładności (często czysto typograficznych) książka zawiera sporo materiału, który przyszłym badaczom twórczości Przyłuskiego bardzo ułatwi pracę. Odnosi się to szczególnie do obszernego zbioru najrozmaitszych wypowiedzi na jej temat w prasie emigracyjnej od końca wojny: prawie połowa tekstu to cytaty z nich lub przynajmniej odwołania do korespondencji samego Przyłuskiego, opinii jego respondentów, itd. Widać wyraźnie, że Derdowski bardzo starannie zbadał zarówno twórczość

\* Mirosław Adam Derdowski, „Przekleństwo mowie” (o twórczości Bronisława Przyłuskiego), Wydawnictwo Uczelniane WSP w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1996, str. 146.

samemu poety, jak też jej oprawę krytyczną czy wręcz „życiową” (w sensie opisu szans – a najczęściej ich braku – wystawienia danego dramatu czy też nadania danego słuchowiska), z tego punktu widzenia „Przekleństwo mowie” może być uważane za pozycję pionierską. Szkoda, że okoliczności uniemożliwiły wykończenie książki w formie, do jakiej pretendowała i na jaką (choćby z uwagi na wkład pracy) zdecydowanie zasługiwała. Niemniej warto odnotować fakt, że w ogóle jest – mimo bardzo dalekiego od doskonałości kształtu.

M. BROŃSKI

## Początki Kongresu Polonii Kanadyjskiej

Masowe opuszczanie Polski w latach osiemdziesiątych i później spowodowało osiedlenie się dużej ilości rodaków w krajach, które oferowały wówczas najkorzystniejsze warunki dla imigrantów. Wielu ludzi po latach chudych pragnęło szukać lepszej szansy. Do krajów, które przyjęły spore rzesze polskich imigrantów należy Kanada. Ta liczna nowa emigracja jest odmienna od poprzednich fal, w której części politycznych i wojennych, inne ma cele i inaczej się urządza. Otwiera na tutejszym terenie nową kartę.

Odchodzący ludzie i ich instytucje polonijne stają się już historią i godzi się zapamiętać ich osiągnięcia oraz wysiłki zmierzające nie tylko do budowania materialnych zrębów polskich placówek społecznych i kościołów, ale także dobrej opinii o Polakach, celem utworzenia następnym pokoleniom drogi do równego startu w kanadyjskim społeczeństwie. To wejście nie było dawniej wcale takie łatwe, jak poświadczy wydana z okazji pięćdziesięciolecia istnienia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, a napisana przez długoletniego i wytrawnego

redaktora zasłużonych dla polskich społeczności pism *Głosu Polskiego* a później *Związkowca*, Benedykta Heydenkorna, autora i animatora szeregu prac po polsku i angielsku o emigracji polskiej w Kanadzie.

Praca o rodowodzie i pierwszych krokach Kongresu Polonii Kanadyjskiej ogranicza się do lat 1944-56 i ich zasadniczych problemów, do końca kadencji prezesów wywodzących się ze starej emigracji. Autor przypomina, że polska grupa była różnorodna i rozsiana po olbrzymim terytorium. Cierpiała konsekwencje – bardzo w przeszłości selektywnej i dyskryminacyjnej – polityki imigracyjnej, której niedobry paragraf zniknął dopiero w 1953 roku. Wcześniej emigranci tej dyskryminacji w życiu publicznym i wolnych zawodach nie czuli, mając świadomość, że znajdowali się przecież w nieswoim kraju. Ich potomkowie natomiast, uważani nadal za obcych, bronili się przesadnymi manifestacjami lojalności i przywiązania do przybranej ojczyzny. A warto pamiętać, że jeszcze w roku 1945 premier Kanady Mackenzie King głosił, że Kanadyjczycy nie życzą sobie, by na skutek masowej imigracji uległ zasadniczym zmianom charakter społeczeństwa, że brać będą jedynie specjalnie wyselekcjonowanych kandydatów, a nie wszystkich, którzy chcą osiedlić się w Kanadzie.

Aczkolwiek były wcześniejsze próby zjednoczenia polskich organizacji na terenie Kanady, ograniczały się one do poszczególnych prowincji albo nie obejmowały wszystkich organizacji. Konstytucyjny Zjazd Zrzeszeń w 1931 roku był dramatyczną konfrontacją zwolenników komunizujących organizacji ze stronnikami współpracy z oficjalnymi czynnikami polskimi w osobie konsula generalnego.

Z upływem czasu a także w obliczu kryzysu ekonomicznego więzy organizacyjne się zacieśniały, powstała samopomoc, a wybuch drugiej wojny światowej nakazał większą solidarność. Niespodziewana sytuacja wymagała powstania centralnego organu – Kongresu. Aczkolwiek tak jak w roku 1931, przy powstaniu Kongresu w 1944 obecni również byli polscy dyplomaci, było jasne, że powstająca organizacja była kanadyjska i suwerenna. Za swoje zadanie postawiła sobie zdobycie dla swoich członków należnego miejsca w kanadyjskim społeczeństwie oraz przeciwdziałanie dyskryminacji. Umieściwszy w swoim programie interwencje w sprawie Polski i niesienie pomocy potrzebującym rodakom, pierwszy prezes, J. Grocholski dodał: „Musimy dbać i pamię-

tać o naszej własnej tutaj egzystencji i o losach następnych pokoleń. Kongres Polonii Kanadyjskiej jest organizacją, która dla tych celów została powołana”.

Tymczasem bieżącą agendę stanowiły rozliczne protesty w obronie Polski, ścieranie się radykałów i jawnych komunistów, którzy m.in. próbowali przeszkodzić wpuszczeniu do Kanady zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, których określano mianem faszystów nie chcących wracać do oswojonej przez Armię Czerwoną ojczyzny. W końcu cztery tysiące kombatanów wylądowało w Kanadzie z obowiązkiem odrobienia dwuletniego kontraktu na roli. Upolitycznienie emigracji w Kanadzie osiągnęło wówczas jeden ze swoich szczytów. W takiej sytuacji, niektóre organizacje, jak np. Związek Polaków, akcentowały swoją kanadyjskość i nie uznawały ani Warszawy, ani Londynu. Ku takiemu stanowisku skłaniał się Kongres.

Nowo przybyli mieli odmienne poglądy i inny punkt widzenia na różne sprawy. Jedną z nich była kwestia obywatelstwa kanadyjskiego. Wielu kombatanów utrzymywało, że w Kanadzie byli tylko w gościnie, czasowo, dlatego chcieli pozostać nadal obywatelami polskimi. Starsza emigracja natomiast zachęcała do starania się o obywatelstwo kanadyjskie.

Okres pierwszych prezesów miał się ku końcowi, zaczęli wstępować w szeregi organizacji i do Kongresu dawni kombataneci. Równocześnie w Polsce doszło do krwawych manifestacji i represjonowania Kościoła, do sytuacji wymagających politycznych odpowiedzi w Kanadzie. Rzeczywistość domagała się ciągłej adaptacji i zmian. Już w 1935 roku doszło do zjazdu młodzieży polskiego pochodzenia w Kanadzie. Powstało harcerstwo ale i zaczęły się podnosić inne głosy. W 1966 prezes Kongresu na oświadczenie studenta, że polskie społeczeństwo nie stanowi dlań atrakcji, że woli Anglosasów, przyznał że podobnie myślą jego dzieci i ich koleźcy. Lecz skoro nie mogą być Polakami, to są Kanadyjczykami polskiego pochodzenia i należy z nich zrobić najlepszych ambasadorów Polski.

Te meandry zawiązującego się Kongresu i jego stopniowa transformacja aż po moment pojawienia się bardziej wyrobionych społecznie i ofiarnych przywódców, Heydenkorn uzupełnił poczem postaci, których zasługi pokrótce referuje, a robi to fachowo a zarazem ciepło.

Ponadto w książce znalazły się znakomite aneksy, a

mianowicie wczesny szkic dr Nałęcz-Dobrowolskiego z 1932 roku i swoisty komentarz redaktora *Czasu*, szereg zażartych rezolucji radykalnych partii robotniczych, pisma do prezesa montrealskiego oddziału KPK, treść rezolucji wiecu w Montrealu z 1944 w sprawie granic Polski, memoriał do senatu w sprawie przyjęcia byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych i na końcu list K. Reynerta, którego pokazny zapis majątkowy przesądził o powołaniu katedry historii Polski na uniwersytecie torontońskim.

Dziś, kiedy nowa sytuacja, nowi ludzie i nowe cele nakazują zrewidować założenia i funkcję Kongresu Polonii Kanadyjskiej, rzut oka wstecz na pierwszą dekadę sędziwej instytucji, która od samego początku cierpiała na brak funduszy a więc i większych możliwości akcji, a była i jest ciągle obiektem bezzasadnych roszczeń, może stać się pożytecznym początkiem refleksji i oby zacznem reformatorskich myśli i koncepcji sensownych przekształceń Kongresu w duchu potrzeb i możliwości nowych czasów.

Florian ŚMIEJA

Benedykt Heydenkorn, „Rodowód i pierwszy okres Kongresu Polonii Kanadyjskiej”, The Canadian Polish Research Institute, Toronto 1995.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- Polska-ZSSR. Struktury podległości.* Dokumenty WKP(b) 1944-1949. Oprac. zbiorowe. Str. 312. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN. Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód, Warszawa 1995.
- Politechnika w Powstaniu Warszawskim.* W pięćdziesiąt rocznicę (1944-1994). *Zeszyty Historyczne Politechniki Warszawskiej* Nr 1/1996. Str. 130. Wyd. Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej, Warszawa 1996.
- LEPA (Adam) bp. *Mass media i tożsamość Polaków.* *Zeszyt Niedzieli* nr 1. Str. 71. Częstochowa 1996.
- KAŁUŻA (Roman). *The Life of Stefan Banach.* Str. 137. Wyd. Birkhauser, Boston-Basel-Berlin 1996.
- Wychowawca na czas próby.* Jakiego człowieka chcemy wychować? Praca zbiorowa pod redakcją Krystyny Mroczek. Str. 168. Wyd. „Michalineum”.
- NAYLOR (Konrad T.). *100 postaci, które miały największy wpływ na dzieje Polski.* Ranking. Str. 832. Wyd. PULS, Londyn 1996.



- HUELLE (Paweł). *Pierwsza miłość i inne opowiadania*. Str. 251. Wyd. PULS, Londyn 1996.
- KUSTRĄ (Marian). *Szaleju się nadjadłem*. Str. 62. Włocławskie Wydawnictwo Diecezjalne, Włocławek 1996.
- Przez boje, przez znoje, przez trud*. Kombatantkie losy. Oprac. Kazimierz Patalas. Str. 426. Nakładem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie, Koło nr 13 w Winnipegu, 1996.
- Grzegorz Bednarski, Tadeusz Boruta, Andrzej Kapusta, Aldona Mickiewicz. Wystawa prac rysunkowych 29.10.1996 – 10.01.1997 Galeria – in spe – Warszawa.
- MŁOSZ (Czesław). *Jakiegoż to gościa mieliśmy*. O Annie Świrszczyńskiej. Str. 106. Wyd. ZNAK, Kraków 1996.
- MŁOSZ (Czesław) *Wypisy z ksiąg użytecznych*. Str. 341. Wyd. Znak, Kraków 1994.
- GLEMP (Józef) Cardinal. *Les chemins des pèlerins*. Choix de sermons et d'allocutions. Str. 302. Wyd. Editions du Dialogue, Paris 1996.
- STAFFA (Marek). *Karkonosze*. Str. 302. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- ZAWADA (Andrzej). *Miłosz*. Str. 273. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- KOLBUSZEWSKI (Jacek). *Cmentarze*. Str. 336. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- ZIELINSKI (Adam). *Eine Rückkehr*. Ein zeitgeschichtlicher Roman. Str. 466. Wyd. R.G. Fischer Verlag, Frankfurt/Main 1996.
- BARANOWSKA (Małgorzata). *Tak lekko było nic o tym nie wiedzieć...* Szymborska i świat. Str. 134. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- BIENKOWSKI (Zbigniew). *Przyszłość przeszłości*. Eseje. Str. 215. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- NIKADEM-MALINOWSKA (Ewa). *Koncepcja czasu w twórczości Jurija Trifonowa*. Str. 126. Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1995.
- POESIE PREMIERE. N°6 – Hiver 96-97. Str. 103. Wyd. Association EDITINTER, Soisy-sur-Seine.
- MAREK (Edmond). *Auguste Lacassade – poète reunionnais (1815-1897) et la Pologne*. Str. 28. Seria: Etudes et travaux du C.P.N., Lille 1996.
- MAZGAJ (Marian S.). *Visiting Home in Poland after 33 Years and World War II True Stories*. Str. 187, McClain Printing Company, 1996.
- WOROSZYLSKI (Wiktor). *W dzungli wolności*. Kronika prywatna 1989-1993, z zapisków z rozmaitym opóźnieniem, i innych roztrząsań czasu tego ułożona. Str. 274. Wyd. Biblioteka Więzi, Warszawa 1996.
- HONET (Roman). *Alicja*. Str. 45. Nakładem Stowarzyszenia Literackiego im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 1996.
- JANICZAKÓWNA-SZYKSZNIAN ps. „Sarenka” (Danuta). *Droga do Saratowa i jeden rok katorgi w sowieckim łagrze*. Str. 175. Wyd. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Koło Żołnierzy Kresowych.
- WIADACKA (Hanna). *Nieznany Norwid*. Grafika. Str. 63. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- ŁOBODOWSKI (Józef). *Naród jest nieśmiertelny*. Red. Barbara Truchan. Str. 104. Wydawnictwo WERS, Poznań 1996.
- Wiek Oświecenia* nr 11. W dwusetną rocznicę Powstania Kościuszkowskiego. Str. 305. Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, 1995.
- DERDA (Tomasz). *Deir El-Naqlun: the Greek Papyri*. (P. Naqlun I). Seria Studia Antiqua. Str. 193. Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, 1995.

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

14.1.97

Zmarł w Warszawie Witold Kulerski, redaktor *Gazety Gruzdzkiej*, którą objął po swoim ojcu, Wiktorze Kulerskim. W czasie wojny był sekretarzem Mikołajczyka, członkiem Rady Narodowej z ramienia Stronnictwa Ludowego. Wrócił do Polski w 1946 r. Aresztowany po ucieczce Mikołajczyka. Przebywał w więzieniu w niezmiernie ciężkich warunkach. W 1951 r. odbył się proces, w którym był oskarżony o szpiegostwo i działalność zmierzającą do obalenia ustroju Polski Ludowej. Wypuszczony na wolność w 1954 r. był tłumaczem prac naukowych z zakresu chemii, biologii i medycyny na języki angielski i rosyjski. Odmówił poddania wyroku rewizji.

27.2.97

Zmarł w Warszawie w wieku 73 lat Mieczysław Jagielski, b. wicepremier i sygnatariusz porozumień sierpniowych z 1980 r. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 87 lat Jan Meysztowicz, historyk, dyplomata, tłumacz. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 66 lat Janusz Trybusiewicz. W latach 1956-62 związany z *Po prostu* i Klubem Krzywego Koła, a w latach 1980-82 z ruchem Solidarność.

## ZACHÓD

15.1.97

Książka profesora Andrzeja Walickiego *Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia*, wydana przez Stanford University Press, otrzymała nagrodę Wayne S. Ucinich Prize za rok 1996. Książka ukazała się w tłumaczeniu polskim w PWN pt. „Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii”.

12.3.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt Jerzego Topolskiego, profesora Uniwersytetu Poznańskiego pt. *La vérité post-moderne dans l'histoire*.

13.3.97

Zmarł w Londynie w wieku 93 lat Tadeusz Łada-Zabłocki, publicysta (pseudonim Gwasz), rzecznik prasowy rządu polskiego na uchodźstwie, założyciel znanej firmy wysyłkowej TAZAB.

14.3.97

W Centre du Dialogue w Paryżu Zdzisław Najder wygłosił odczyt „Józef Conrad-Korzeniowski – pisarz trzech kultur”.

24.3.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Związku Litwinów we Francji miał miejsce wieczór, podczas którego m.in. odbyła się konferencja z udziałem p. Irminy Matonyte z Uniwersytetu Wileńskiego i p. Egidiusa Motieki, dyrektora Ośrodka Badań Europy Środkowo-Wschodniej w Wilnie na temat „Stosunki polsko-litewskie w przededniu rozszerzenia NATO”.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1997.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi

par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1997</b>			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6. tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 497 – ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT STO DZIEWIĘTNASTY

zawiera opracowania: „Znicz” (Gen. T. Bór-Komorowski): *Wytyczne społeczno-polityczne na okres powstania*; M. Jackiewicz: *Impresje białoruskie*; T. Mianowicz: *Rok 1981: mity i rzeczywistość; Spotkanie z Adamem Mickiewiczem – Aleksander Herzen i Władysław Mickiewicz*; Mirosław Adam Supruniuk: *Bibliografie emigracyjne; Sprawa Żydów – obywateli polskich w świetle oficjalnych dokumentów oraz praktyki władz radzieckich*; Prof. St. Kot: *Stosunki Ambasad RP w ZSRR z wojskiem (do wiadomości gen. Andersa)*; M. Szeskin, M. Kahan: *Memoriał do gen. Andersa*; J. Osica, A. Sowa: *Rozmowa z Andrzejem Ajnenkiewiczem*; W. Kempfi: *Moje lata uniwersyteckie*; M.M. Drozdowski: *Dziennik doktoranta z 1956 r.*; J.J. Milewski: *Białoruskie formacje wojskowe 1917-1923*; St. Jankowiak: *Sprawa ekstradycji dowódcy Brygady Świętokrzyskiej płk. A. Dąbrowskiego – „Bohuna”*; K. Zamorski: *Epilog dwóch tajnych biur 2 Korpusu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240

Cena F. 90,00